

N I E

D O

LYNN
STEGER STRONG

Przełożyła
Ewa Borówka

S T A

T E K

Lynn Steger Strong

Niedostatek



Przekład Ewa Borówka

Lynn Steger Strong, *Niedostatek*, Lublin 2021

Copyright © for this edition by Fame Art sp. z o.o., 2021

ul. Ceramiczna 6

21-025 Niemce

www.fameart.pl

Wydanie pierwsze w języku angielskim

Want wyd. Henry Holt and Company, Nowy Jork 2020

Copyright © 2020 by Lynn Steger Strong

Wszystkie prawa zastrzeżone

Published by agreement with Aevitas Creative Management, USA
and Book/lab Literary Agency, Poland.

Copyright © for the Polish translation by Ewa Borówka

Przekład Ewa Borówka

Redaktorka prowadząca Kaja Katańska

Managerka pionu wydawniczego Natalia Moskal

Redakcja językowa Ewa Penksyk-Kluczkowska

Konsultacja merytoryczna dr Dariusz Olesiński

Korekta Aleksandra Pietrzyńska

Skład i łamanie Marek Popielnicki

Projekt okładki Gracja Zegarowicz

Druk i oprawa READ ME Łódź

Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

ISBN 978-83-961074-0-4

Dla Petera, Isabel i Luisy

SPIS TREŚCI

2000

2017

1

2

3

4

5

6

7

8

9

Podziękowania

O autorce

2000

JA MAM SZESNAŚCIE LAT, a Sasha siedemnaście, idziemy nocą na plażę, nikogo tam nie ma. Wcześniej urządziłyśmy u niej imprezę, w trakcie której spadłam i zdarłam sobie skórę na kolanie, gdy pewien chłopak wziął mnie na barana, a zrobił to tylko po to, żeby jej zaimponować.

- Zmęczyłaś się, biegaczko? - zapytał.

Oni wszyscy nazywają mnie biegaczką.

Uwolniłyśmy się od towarzystwa. Zdążyłyśmy się już upić i wytrzeźwieć, a po opróżnieniu beczki z piwem, po wysprzątaniu domu jej rodziców, po odholowaniu ludzi do samochodów wyniosłyśmy śmieci do kontenera przy plaży i wbiegłyśmy bosą na piasek. W spokojnym morzu odbija się księżyc; gdy fale się wznoszą, woda rysuje się wyraźnie, metalicznie, a gdy opadają, pogrąża się w granatach i czerniach.

Każda z nas przyniosła po worku pustych puszek i butelek, plastikowych kubków oraz resztek trochę zbyt mocno wypieczonego tortu z proszku oraz sałatki makaronowej z oliwą, czosnkiem, serem i siekanymi pomidorami. Czuć od nas piwem i potem.

Pod nieobecność jej mamy i siostry, które postanowiły towarzyszyć tacie w delegacji, zorganizowałyśmy Sashy spóźnioną o tydzień imprezę urodzinową. Nikt poza nami nie wiedział, jaka to okazja, i nim przyszli nasi starsi znajomi z większej szkoły mieszczącej się kilka kilometrów dalej, przygotowałyśmy talerze, serwetki, noże i widelce, i udawałyśmy, że takie jesteśmy dorosłe. Rozlałyśmy wino do kieliszków, odstawiłyśmy się jak trzeba, a potem wszyscy przyszli i zrobili zdziwione miny, kiedy wskazałyśmy im miejsca przy stole, a następnie przyniosłyśmy tort i nikt nie wiedział dlaczego.

Każda z nas zaliczyła zabawę z piciem piwa z beczki w pozycji do góry nogami i odsłaniały nam się przy tym brzuchy i staniki. Ja

obciągnęłam zsuniętą bluzkę, ona zostawiła swoją owiniętą wokół szyi. Potem znikła na jakiś czas w pokoju siostry z kolesiem, którego znam z bieżni i o którym gadają ciągle moje koleżanki z treningów, a ja w życiu nie zamieniłam z nim słowa.

- Słaba ta impreza - mówię teraz do Sashy.

Może nie mam racji, ale to jedyna osoba na świecie, której mogę mówić takie rzeczy.

- Drętwe towarzystwo - odpowiada.

Zdejmuje bluzkę i spodnie, a ja staram się nie gapić.

- Wszystkiego najlepszego - mówię i myślę: po co zaprosiłyśmy ekipę, której nie lubimy, skoro mogłyśmy spędzić cały wieczór właśnie tak?

Sasha śmieje się i wskazuje brodą moje ciuchy.

- Idziesz?

Mamy styczeń, ale to Floryda, jest ciepło, zdejmuję więc bluzkę i spodnie.

Sił nam nie brak, wypływamy daleko i choć pierwszy kontakt z wodą wywołuje szok, czuję się w niej lepiej, bezpieczniej; na lądzie nigdy nie czuję się tak pewnie.

Po godzinie wracamy do jej domu, bierzemy ciepły prysznic, robimy sobie turbany z ręczników, rozsiadamy się na jej wielkiej kwiecistej kołdrze, Sasha mówi, a ja słucham jednym uchem, bo już po chwili leżę i pozwalam, by jej słowa płynęły nade mną, aż przymykają mi się oczy. Na ogół nie śpiam zbyt dobrze - wędruję pod wysokimi sufitami znieruchomiałego i zbyt rozległego piętra domu rodziców albo czatuję ze starszymi mężczyznami i udaję kogoś, kim nie jestem, ale kiedy jestem z nią, śpię po dziesięć, dwanaście godzin, do samego południa.

2017

1

W TYGODNIU BUDZIK uruchamia się o 4:30 rano, a żeby nie przełączyć na drzemkę, telefon trzymam na stopniu drabinki prowadzącej do łóżka na antresoli, którą zbudował nam mój mąż we wnęce udającej sypialnię. Schodzę po omacku i odnajduję telefon, często spadający na podłogę. Wyłączam budzik, wkładam stanik, legginsy, koszulkę, buty, rękawiczki i opaskę na głowę, łapię klucze i telefon, zamykam za sobą drzwi i biegnę, przebiegam wiele kilometrów, nim wszyscy się obudzą.

O 6:15, już wykąpana i przebrana, zaczynam szykować śniadanie. Czasami, gdy dzieci jeszcze śpią, mąż wślizguje się do mnie pod prysznic i uprawiamy seks. W łazience jest chłodno. Przechyla mnie nad uchwytem przy półce. Przyciska do brudnawych kafelków, unosi mi nogę. Ciało wystaje mi poza chmurę gorącej wody. Skóra sinieje z zimna, dygoczę, marznę i czekam, aż dojdzie.

Do pracy jeżdżę z przesiadką, a żaden z pociągów nigdy nie trzyma się rozkładu. Na pierwszy czekam czasem trzy minuty, innym razem kwadrans. Zdarza się też, że pociąg już stoi, a ja przeciskam się przez bramkę i torby obijają mi się o biodra i plecy, gdy pędzę po schodach, przepycham się przez tłum i wsuwam przez zamykające się drzwi. Często nie znajduję miejsca siedzącego i staram się nie chwycić pobliskich rąk i ramion, gdy pociąg ostro skręca albo gwałtownie hamuje. Próbuję czytać książkę, ale jeśli siedzę, to od razu zasypiam, a jeśli stoję - niemal się przewracam. Trzymam ją nieruchomo otwartą, kostkami i łydkami ściskam obie torby, zapieram się mocno stopami.

Dzień dobry, zespole! – wita mnie apka Google'a, którą kazali mi zainstalować, gdy pół roku temu zaczynałam tę robotę. *Przed tobą pełen radosnej energii dzień w pracy!*

Tymczasem na Twitterze kończy się świat. Grozi nam wojna atomowa, topnieją pokrywy lodowe, w szkole jedne dzieci strzelają do drugich. W pracy noszę koszule z kołnierzykiem, kardigany i eleganckie spodnie z czarnej wełny, a na szyi pęk kluczy; tu nieczęsto wspomina się o świecie za murami.

Raz w tygodniu, czasem częściej, gdy w pociągu uda mi się usiąść, a jestem tak nieprzytomna, że sama nie wiem, co robię, przeglądam uspionego na ogół Facebooka Sashy – zamieściła na nim zdjęcia z czasu studiów i nieliczne późniejsze. Dziewczyna, z którą mieszkała na drugim roku, co kilka lat udostępnia tę samą garstkę starych zdjęć. „Ale byliśmy młode!” – dopisuje za każdym razem. Raz po raz patrzy więc na mnie dwudziestojednoletnia Sasha, jaką doskonale pamiętam: w beztroskiej, wyzywającej pozie, z idealnie regularną twarzą i ogromnymi oczami.

Zaglądam na jej praktycznie nieaktywnego Twittera. Trzy lata temu udostępniła artykuł z „New Yorkera” na temat Miami Beach w kontekście zmian klimatu. Żeby się upewnić, czy jeszcze żyje, zaglądam na Facebooka jej siostry i mamy; czasem przewija się na zamieszczanych przez nie zdjęciach.

Praca: dwie przecznice na północ od stacji metra, ceglany gmach, ogromne i ciężkie podwójne drzwi; mijam wykrywacz metalu i kolejkę dzieci czekających, aż ochrona sprawdzi ich ciała i plecaki. Unoszę kubek z kawą w stronę pracowników obsługi oraz znajomych dzieci.

Kilkoro woła mnie po nazwisku.

Zgłaszam obecność za pomocą rejestratora i rozmawiam z dwiema innymi wychowawczyniami, moimi jedynymi koleżankami z pracy. To czarne kobiety, ja zaś jestem biała; długo mi nie ufały, aż któregoś dnia zmieniły zdanie, ale czasem wydaje mi się, że nie do

końca. Wszystkie jesteśmy starsze niż reszta grona pedagogicznego, a jedna z nich to jedyna poza mną dzieciata osoba w tym budynku. Nie ufały mi, bo nie powinny, bo w ich życiu jest tyle rzeczy, o których nie wiem i których nie rozumiem, bo czasem opowiadam im kłamstwa o swoim dzieciństwie, żeby moje życie wydało im się bliższe.

Chyba ufają mi głównie dlatego, że wszystkie trzy kochamy dzieci, które uczymy.

Przeglądamy różne apki i kalendarze Google z aktualnymi zadaniami i udostępniamy poranną prezentację na temat nowych procedur dla spóźnialskich oraz nowych zasad dotyczących ubioru: wyłącznie czarne skarpetki, koszule i bluzki wpuszczone do spodni i spódnic, obowiązkowy pasek, buty czarne, obuwie sportowe zakazane.

Rano prowadzę lekcje w dwóch klasach, uczę literatury i angielskiego, i wszystko jest w najlepszym porządku, póki jestem sam na sam z uczniami. Czytamy *Hamleta* i dzieci zgłaszają się do odpowiedzi. Obowiązuje mnie podstawa programowa, przewidywalna, skrojona pod kątem testów pamięciówka, ale mam ją w nosie. Głównie czytamy i rozmawiamy. Dzieci pracują w grupach, a potem razem przedstawiają swoje wnioski na flipcharcie. Moi uczniowie to osoby – jak je nazywamy – defaworyzowane: ciemnoskóre lub śniade, korzystające z dofinansowanych lub w ogóle darmowych obiadów. A chujowe, byle jakie wykształcenie, które odbierają tu co dzień od dorosłych wyglądających w większości jak ja, to tylko kolejny przejaw tego wykluczenia.

Na pierwszej lekcji przyłapuję jednego z uczniów z telefonem, chłopak rozbiera mnie uśmiechem pięciolatka, więc nie udzielam mu nagany.

- Odłóż telefon – mówię i staram się przybrać srogą minę.

Obowiązuje nas system dyscyplinowania uczniów za większe i mniejsze przewinienia, ale nawet nie zainstalowałam go w telefonie.

Uczę w tej placówce od pięciu miesięcy – wcześniej odbyłam jeszcze miesięczne szkolenie – i nie udzieliłam dotąd ani jednego oficjalnego upomnienia.

Przydzielony mi nauczyciel wspomagający ma dwadzieścia cztery lata i nie zna się na swoim zawodzie. Nie umie też nawiązywać kontaktu z innymi ani wyjaśnić, czym jest monolog. Stoi za uczniami i usiłuje wlepić im upomnienia, a ja mówię mu, żeby tego nie robił, albo loguję się później do systemu i usuwam wszystkie wymierzone przez niego kary. Mój kolega stoi z rękami założonymi na piersiach i każe uczniom usiąść prosto albo dosunąć należycie krzesła. Mówią do niego „panie De”, a on kręci głową.

- Nie tak mam na nazwisko – odpowiada, a dzieci śmieją się, przepraszają niezbyt szczerze, a po kilku minutach znów mówią „panie De”.

- Panie De – woła któreś – muszę się wysikać.

Nauczyciel zaciska pięści.

- Ale naprawdę, panie De. Już nie wytrzymam.

- Nie teraz.

Podrywam głowę znad sprawdzanego wypracowania i bez słów staram się przekazać tej osobie, kimkolwiek jest, żeby przestała, ale jeśli nie posłucha, to też zrozumiem.

- Idź – mówię dziecku, które nadal domaga się wyjścia do toalety.

Pan De stoi w milczeniu, zaciska zęby, nie spuszcza ze mnie wzroku, a przez resztę lekcji nikt nie odzywa się do niego słowem.

Podczas lunchu siedzę ze swoimi dwiema koleżankami i zamiast zgodnie z zaleceniami strofować dzieci, że mają po sobie sprzątać i nie przeklinać, jedziemy po innych nauczycielach. Gadamy o dwudziestoczterolatkach, moim współpracowniku i innych nauczycielach: dwudziestotrzy- czy dwudziestosześcioletnich, jeden czort. W każdym razie o młodych, prawie wyłącznie białych, nerwowych i pobudzonych, intonujących każdą wypowiedź jak

pytanie. Osobach, które chyba boją się własnych uczniów, poza tym nie umieją uczyć i nikt nie próbuje im w tym pomóc. Mają spełniać wymogi, którym nie potrafią sprostać, przynajmniej sądząc po wynikach testów i klasowej średniej ocen, wpadają więc w panikę i każą uczniom zakuwać, czyli robią dokładnie to, czego robić nie powinni. A gdy ich metody nie działają, przerzucają winę na dzieci.

Oni nie są żadnymi potworami, ci młodzi biali nauczyciele. Obgaduję ich, bo jestem nieuczciwą manipulantką, bo nauczyłam się, że jeśli chcę się zbliżyć do współpracowników, najlepiej skonsolidować się z nimi przeciwko innym współpracownikom lub przeciwko przełożonym, a ja desperacko chcę się sprzymierzyć ze swoimi dwiema koleżankami. Co do tych dwudziestoczterolatek: zdarzało mi się przesiadywać z nimi w sali, która służy za pokój nauczycielski, gdy nikt nie prowadzi w niej lekcji. Są tacy młodzi, a gdybym ich uczyła, zostaliby pewnie moimi pupilami. Piliśmy razem kawę i uczestniczyliśmy wspólnie w szkoleniu. Są na swój sposób uroczy i tak żarliwie mówią o sprawiedliwości społecznej, ale są moimi koleżankami i kolegami z pracy, nie uczniami i uczennicami, i nie rozumieją, najpewniej nie chcą zrozumieć, że pod wieloma względami ich dobre chęci są funta kłaków warte.

Czasami dosiadam się do dzieci ze swojej klasy, tych, które nie przyniosły zadania domowego albo przysypiają na lekcji.

- Chcecie zjeść ze mną lunch? - pytam.

Kręcą głową, ale się uśmiechają. Najczęściej dowcipkują, wyśmiewają siebie nawzajem.

- Pszepani, a wie pani, że Jalen się zakochał w Aminacie, a Razaq to nawet nie przeczytał tego czegoś, za co go pani ostatnio pochwaliła, a Ananda wrzuciła snapa o facecie Nashyi i teraz ze sobą nie gadają, i po lekcjach Nashya jej pokaże.

- Facecie, hm? - mówię, a one się ze mnie śmieją.

- Psze pani, a pani ma faceta?

Kiwam z uśmiechem głową, a one dalej chichoczą.

Po lunchu mam okienko, więc pobieram i drukuję wszystkie paski wynagrodzeń, ponieważ potrzebuję ich do złożenia wniosku o upadłość konsumencką.

- Co słyhać? - pyta jeden z matematyków, gdy korzystam z drukarki w przestrzeni wspólnej. On też ma dwadzieścia cztery lata, nosi krawat, granatową marynarkę i odprasowaną białą koszulę zapiętą zawsze pod samą szyję. Poza tym ma lśniaco białe zęby, idealną sylwetkę i za dużo owłosienia na twarzy. Sprawdzam, czy mam wszystkie paski, a on zagląda mi przez ramię, więc odwracam się, żeby wiedział, że sobie tego nie życzę.

- Dużo radosnej energii - odpowiadam.

Budynek dzielimy z pięcioma innymi szkołami, i drużyna lekkoatletyczna nie ma gdzie trenować, podczas czterech ostatnich lekcji robi to więc w korytarzu. Wychodzę z pokoju socjalnego i przywieram do ściany, czekając, aż dzieci przefruną przez płotki. Jakaś uczennica zahacza czubkiem stopy o podstawę płotka, ten przewraca się z hukiem na ciemną, twardą posadzkę, a dziewczynka upada, podpira się dłońmi o zimne płytki i ani piśnie. Co chwilę zaglądam do torby i upewniam się, czy wzięłam paski. Zerkam na Twittera, sprawdzam w kółko skrzynkę mailową, czytam pobieżnie uczniowskie wypracowania, wystawiam oceny. Nie jestem tak dobrą nauczycielką, jak bym chciała. Brakuje mi konsekwencji i łatwo się rozpraszam. Jednego dnia wpisuję po pięćdziesiąt kilka komentarzy do każdego trzystronicowego wypracowania, po czym zaraz następnego sprawdzam pospiesznie, czy wszyscy oddali prace, poprawiam garstkę błędów gramatycznych i merytorycznych i wstawiam prawie same B. Moich uwag nikt nie czyta, a najbardziej owocne są spotkania z uczniami oko w oko przed lekcjami lub po nich i poświęcanie czasu na dyskusję. Uczniowskie pismo jest najczęściej mało czytelne i po kilkugodzinnej lekturze wysiada mi mózg.

Trzy godziny przed końcem mojej zmiany dzwonią z przedszkola naszej starszej córki. Stale zapominają, że mają dzwonić do mojego

męża, który w tygodniu jest w domu i zajmuje się dziećmi pod moją nieobecność. Nasze dziecko wetknęło sobie do nosa koralik. Mam przyjechać i zabrać je do lekarza. Już chcę powiedzieć higienistce, że ma zadzwonić do mojego męża, ale zmieniam zdanie: odpowiadam, że zaraz będę, i powiadamiam SMS-em szefa, że muszę wyjść. W gronie pedagogicznym tylko moja koleżanka i ja mamy dzieci, więc samo hasło „dziecko” sprawia na ogół, że moim współpracownikom oczy zachodzą mgłą, a oni sami robią się niespokojni i podenerwowani, tak że udaje mi się łatwo wymigać od obowiązków.

Zanim wejdę na stację metra, odbieram telefon z przedszkola z informacją, że udało się wyjąć koralik. Druga higienistka, która miała wcześniej przerwę na lunch, przycisnęła kciukiem niezatkałe nozdrze naszej córki i tak długo dmuchała jej w usta, aż koralik wyskoczył.

- Wobec tego nie musi pani przyjeżdżać - mówi kobieta. - Wróciła do sali, nic jej nie jest.

Ale ja już się ubrałam i wyszłam, idę więc dalej. Mijam stację. Kiedy byłam bardzo młoda, wolna i bezdzietna, potrafiłam całymi dniami chodzić po mieście. Kieruję się teraz na północ, potem na zachód i wreszcie wchodzę do Guggenheima. Wystawiają retrospektywę obrazów, na które składają się proste, surowe linie i barwy. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odwiedziłam muzeum w dniu roboczym; przechadzam się bardzo powoli spiralną galerią, jest cicho i pusto. Długo przyglądam się każdemu obrazowi. Chyba tak właśnie mogą czuć się wierzący, gdy wyobrażają sobie, że obcują z bliska z przejawem boskości.

Z muzeum kieruję się na stację i jadę metrem na południe, a potem wybieram się do kawiarni, w której bywałam często, nim zatrudniłam się na etacie. Poświęciłam sześć lat na studia doktoranckie z brytyjskiej i amerykańskiej literatury, powojennej i późniejszej, tworzonej przez zapomniane lub z rozmysłem wyrzucone z kanonu

pisarki: Penelope Fitzgerald, Anitę Brookner, Jean Rhys, Nellę Larsen i Lucię Berlin. W pewnym momencie żyłam w przekonaniu, że obdarowując ludzi książkami - ukazując im ich bogactwo, ciche, sekretne, przelotne poczucie bezpieczeństwa - robię coś naprawdę pożytecznego. Przez pięć kolejnych lat pracowałam na pół etatu, między innymi jako wykładowczyni, kelnerka i asystentka biurowa. Kiedyś przez pół roku pisałam testy dołączane do kiepskich podręczników pewnego molocha wydawniczego, ale wylali mnie, bo pisałam za długie zdania.

Mam trzydzieści cztery lata i praca w szkole jest moim pierwszym w życiu zajęciem na pełen etat.

Kiedy pisałam magisterkę, a później sprawdzałam prace studentów, przychodziłam do tej kawiarni niemal codziennie. Jeszcze rok temu zaglądałam tu co najmniej raz w tygodniu. Znam imię dziewczyny zza kontuaru, ponieważ pisze się je jak moje, ale inaczej wymawia, z czego sobie żartowałyśmy, gdy pytała mnie o imię, którym miała wezwać mnie do odbioru kawy. Ale gdy tym razem pyta mnie o imię, a ja, w przekonaniu, że mnie pamięta, odpowiadam i się uśmiecham, ona tylko kiwa głową, wklepuje je do systemu i wydaje mi resztę.

Daję jej napiwek, bardzo hojny, i nadal się uśmiecham z nadzieją, że sobie mnie przypomni. Mam przy sobie tę samą książkę, której nigdy nie czytam w pociągu: *Accident nocturne* Patricka Modiano. Otwieram i czytam, treść jest dziwna, magiczna; dochodzi do wypadku samochodowego, a potem prawie nic się nie dzieje. Sączę kawę i odłamuję po kawałku zamówionego ciastka. Dostaję SMS-a od męża z pytaniem, jak mi minął dzień. „Okej” - odpisuję.

Po godzinie od właściwej pory wyjścia z pracy zaczynam się zbierać. Odkąd zaczęłam czytać, po moich obu stronach pojawiły się nowe grupki ludzi. Filiżanka jest pusta. Ciastko zjedzone.

- Cześć, kotku - słyszę po wejściu do windy.

Odwracam się i widzę sąsiadkę.

- Cześć, Josslyn - mówię.

To moja ulubiona sąsiadka. Gdy zadaje mi pytania, zawsze się przysuwa i chwytą mnie za łokieć. Jest po sześćdziesiątce, ale mogłaby uchodzić za czterdziestkę. Nosi obszerne wełniane kardigany w żywych kolorach, a skręcone w ciasne sprężynki włosy przycina na krótko. Ma też wielkie oczy i zawsze czekam niecierpliwie, aż mnie chwyci swoimi szorstkimi, ciepłymi dłońmi.

- Jak leci? - pyta.

- Kijowo.

To taka nasza gra, od sześciu lat, czyli odkąd się tu wprowadziliśmy: na zdawkowe pytanie o samopoczucie nie odpowiadamy nigdy: „dobrze”, „w porządku”, „jako tako” ani „po staremu”.

Śmieje się.

- U mnie to samo - mówi, gdy wysiadamy z windy. - Ucałuj dziewczynki - dodaje i otwiera drzwi do mieszkania.

- Ucałuję - odpowiadam, otwierając własne.

- Jak ci minął dzień? - pyta zza kuchenki mój mąż, gdy wchodzę i zdejmuję buty.

W całym mieszkaniu pachnie cebulą, czosnkiem i papryką poblano. Obejmuję dzieci, przygarniam do siebie, całuję, podwójnie, bo jeszcze od Josslyn. Dwulatka wdrapuje mi się na kolana, żeby się przytulić.

- Dobrze - odpowiadam.

Kąpiemy dzieci, jemy, kładziemy je spać i oglądamy telewizję - rzadko coś na tyle zajmującego, żebyśmy nie majstrowali jednocześnie przy telefonach albo komputerach. I idziemy do łóżka.

Czytam Jean Rhys, *Good Morning, Midnight*: „Gdy siedzę i patrzę na te przekłete lalki, czuję się jak odurzona i zadaję sobie pytanie: jaki też sukces odniosłyby w życiu, gdyby były kobietami?” - mówi

główna bohaterka o porcelanowych lalach zdobionych sklep,
w którym przyszło jej pracować.

Mój mąż zasypia.

O 4:45 biegnę nabrzeżem rzeki, jest lodowato i zaczyna padać, ale biegnę dalej. Wylazły szczury, siedzą na gałęziach i na betonie. Jeden przebiega mi po stopie, podskakuję z wrzaskiem, nikt tego nie widzi.

W metrze oglądam nowe zdjęcie siostry Sashy: zamieszkała z chłopakiem, sprawili sobie psa i zamieściła związły podpis: nasze pierwsze dziecko.

Idę na poranne lekcje, a po lunchu, podczas zebrania rady pedagogicznej, nasz trzydziestojednoletni kierownik wyświetla na tablicy interaktywnej liczbę dwadzieścia pięć na tle wielkiego żółtego kwadratu. Podczas weekendu dwadzieścioro pięcioro z nas nie dopełniło obowiązku wpisania swojego planu lekcji do siatki zajęć, którą dyrektorka utworzyła w ubiegłym tygodniu. W efekcie dostaliśmy od niego maila, długiego i karcącego, z wypunktowanymi zdaniem, napisanego tonem, jakim przemawia się raczej do małego dziecka. Ostatecznie wszyscy poza jedną osobą odesłali wypełnioną siatkę, dodaje kierownik, po czym wyświetla drugi kwadrat, tym razem czerwony, z liczbą dziewiętnaście.

- A tyle z was - mówi, mrużąc małe oczka - nie wyraziło w odpowiedzi skruchy ani wdzięczności za to, że przypomniałem wam o niedopełnionym obowiązku.

Po zebraniu idę do klasy po kurtkę i torebkę. Lekcje na dziś skończone. Powinam gdzieś usiąść i zająć się sprawami papierkowymi, ale nie mamy własnych biurek. Zjeżdżam windą, nikt nie widzi, jak wychodzę. Po drodze kombinuję, że jeśli ktoś mnie zobaczy, powiem, że idę na spóźniony lunch albo muszę odebrać dzieci. Niepojęte, dlaczego nie wyszłam jeszcze wcześniej, myślę po opuszczeniu budynku.

W środku dnia metro jest znacznie mniej zatłoczone. Mogę usiąść i nawet położyć na siedzeniu obie torby. Czytam *Corregidorę* Gayl

Jones: opowieść o dziedziczeniu wzorców przemocy, o tym, jak trudno poznawać, gdy nie wie się o istnieniu przedmiotu poznania, o tym, w jaki sposób można spróbować określić się na nowo.

Naprzeciw mnie śpi jakaś kobieta z wielką plastikową torbą u boku.

Kupuję w kawiarni kawę i ciastko i przez resztę czasu, który powinnam spędzić w pracy, czytam książkę, a potem jadę metrem do domu.

- Jak ci minął dzień? - pyta zza kuchenki mój mąż, gdy wchodzę do domu.

Obejmuję i całuję dzieci, tulę dwulatkę. Kąpię oboje i jemy wszyscy kolację.

- Czytamy razem? - pyta dwulatka, gdy idę poczytać dzieciom do snu.

Wołam męża i kładziemy się wszyscy na łóżku małej. Ja czytam, a ona na mnie siedzi. Czterolatka siedzi tacie na kolanach, a że w pokoju dziecięcym jest cieplej niż w innych pomieszczeniach, w połowie książki przycinam komara. Po godzinie nadal tam leżę i przychodzi po mnie mąż. Pomaga mi uwolnić rękę z łapek dwulatki, asekuruje mnie, gdy wchodzę po drabince do łóżka, po czym idzie za mną i obejmuje mnie w talii.

Nazajutrz o 4:50 rano biegnę pod trasą szybkiego ruchu i widzę mężczyznę ubranego w zbyt lekką kurtkę. Z bliska czuć od niego alkoholem i gdy go wyprzedzam, wydaje z siebie piskliwy wrzask, a ja biegnę co sił w nogach, aż pokonuję z półtora kilometra i mam pewność, że został daleko w tyle.

Sasha polubiła na Facebooku zdjęcie psa swojej młodszej siostry.

W czwartki wykładam wieczorowo w Uptown i trzymam się tej pracy, choć w zasadzie wiem już, że w tej placówce nie mogę liczyć na stałe zatrudnienie; w zasadzie wiem, że w podobnych placówkach etaty to

przeżytek. Trzymam się tej pracy, bo tyle lat poświęciłam na naukę i na co dzień zapominam, dlaczego upatrywałam w niej jakąś wartość. Bo czasem dobrze poudawać, że dostałam to, co zamierzałam dostać.

W te dni zostaję często dłużej w szkole: spotykam się z uczniami i pomagam im w pisaniu prac, ale dziś przychodzi do mnie nauczyciel wspomagający i twierdzi, że chce porozmawiać o „problemach interpersonalnych”, a ja odpowiadam, że właśnie dzwoniли do mnie z przedszkola, po czym wychodzę, jadę do ciemnego baru w Uptown i przed rozpoczęciem zajęć popijam w mroku malinowego drinka z ginem.

Na wieczornych zajęciach czytamy *Kadysz za nienarodzone dziecko* Imrego Kertésza. Uczennica o dziwacznie ufarbowanych na czerwono włosach, która siedzi odsunięta od wspólnego stołu, choć jest dość miejsca, podnosi rękę i mówi:

- Rozmawiając z żoną o Auschwitz, główny bohater uprawia *mansplaining*.

- Ale jej tam nie było i nawet nie próbowała zrozumieć - odpowiadam.

- Klasyka - słyszę.

Przechodzimy dalej.

W czwartki dzieci zasypiają beze mnie, jest już późno i godzinną podróż do domu spędzam w pustym na ogół metrze.

- Wniosek złożony.

Mój mąż mówi o naszej upadłości, a ja jestem jeszcze pijana, czy może już skacowana po drinku sprzed zajęć, i nie chce mi się gadać, więc całuję go, wsuwam mu dłoń pod koszulę i uprawiamy seks na naszej antresoli. Uderzam się w głowę, on mnie przeprosza, po czym dochodzi i zasypia, a ja jeszcze czytam.

Kiedy się poznaliśmy, zaczynałam studia doktoranckie, a on, przynajmniej w pierwszym roku, był jeszcze typem w garniturze. Miałam niewielkie mieszkanie w Uptown, on wymykał się z pracy, ja

wyrywałam się ze szkoły i ruchaliśmy się przy ścianie w przedpokoju, czasem też siedziałam na blacie kuchennym i ścisnęłam dłońmi tandetną okleinę. Oboje szczytowaliśmy, podciągaliśmy majtki, on wracał do pracy, a ja szłam prowadzić popołudniowe zajęcia z kompozycji tekstu, cały czas mając na sobie jego zapach.

Utrzymał się w tej pracy rok, później zaś zaczął robić meble na wymiar dla ludzi w rodzaju tych, z którymi dotąd pracował, a wszystko to z nadzieją, że to jeszcze nie koniec, że pewnego dnia otworzy sklep z ręcznie wyrabianymi meblami z drewna z odzysku. Taka byłam z niego dumna. Byliśmy urodzonymi w latach osiemdziesiątych dziećmi dostatku, chowanymi pod kloszem białasami i choć jego rodzice nie zbijali kokosów ani nie mieli wyższego wykształcenia, oboje dorastaliśmy w przekonaniu, że jeśli zaliczymy kilka obowiązkowych etapów, jakoś damy sobie w życiu radę.

Zamach z jedenastego września nastąpił niespełna dwa tygodnie po tym, jak rozpoczęłam studia; kryzys finansowy nadszedł rok po tym, jak się poznaliśmy. Rozpadliny po tych wstrząsach zauważyliśmy dopiero po latach, wtedy nie byliśmy jeszcze ukształtowani, czuliśmy się tak bezpiecznie, że przegapiliśmy pierwszą serię drgań. Zbyt wiele decyzji oparliśmy na swojej nieaktualnej już wiedzy o kondycji świata, na tym, jak nam go przedstawiono. Nie rozumieliśmy jeszcze, że to obraz nieprawdziwy.

Gdy załamały się rynki finansowe, mój przyszły mąż pracował w Lehman Brothers - firma upadła, świat się walił. Mógł sobie, rzecz jasna, znaleźć podobną pracę, ale przyszło mu, a właściwie nam obojgu do głowy, że nie chce być już zamieszany w abstrakcyjną płataninę wyświetlanych na ekranie cyferek, przez które ważą się ludzkie losy. Mieliśmy zasady czy coś takiego: wiedzieliśmy dobrze, kim nie chcemy zostać ani w czym brać udziału, gorzej za to było z pomysłami, co możemy robić w zamian. Ja miałam jakieś mgliste wyobrażenie o życiu z literatury, ponieważ książki mnie ocaliły i zdawało mi się, że obdarowywanie nimi ludzi, wprowadzanie ich

w arkana tej sztuki to naprawdę coś. Mój mąż myślał o życiu z pracy własnych rąk. Pod tym względem byliśmy bezkrytyczni, zadowoleni z siebie i bezmyślni. Ta ślepa, chybiona wiara we własną nieomyślność napawała nas entuzjazmem i dawała poczucie siły.

Do dziś myślę, że ogólnie rzecz biorąc, lubi to, co robi, oczywiście poza chwilami, gdy ma mało zleceń albo gdy trzeba opłacić rachunki.

5:20, jestem spóźniona. Czytałam do nocy: przypominałam sobie Kochanka Marguerite Duras: „W moim życiu bardzo szybko zrobiło się za późno”. Mijam sprintem mężczyznę po sześćdziesiątce, który podbiega truchtem pod najbardziej stromy pagórek w południowej części parku i po cichu, życzliwie zagrzewa się do wysiłku.

- Za rzadko używasz pierwszej osoby - oznajmia liderka naszego zespołu nauczycielskiego, gdy ja, ona i dwudziestoczworoletka zasiadamy do rozmów na temat „problemów interpersonalnych”.

Mój współpracownik twierdzi, że odnoszę się do niego protekcjonalnie. I wcale się nie myli. Próbowałam mu powiedzieć, że dzieci go nie znoszą, bez wspomnienia o tym, że dzieci go nie znoszą, a teraz nie znoszę go i ja.

Usiłuję to wyjaśnić. Usiłuję jak najdelikatniej, jak najdyplomatycznie wytłumaczyć, że podejmując próby rozmów, zdecydowanie źle dobierałam słowa, że nie powinnam stawiać go w niezręcznej sytuacji i pytać o wiek w obecności innych nauczycieli, ale dzieci nastawiają się przeciwko niemu, bo traktuje je jak przedszkolaki, a to nikomu nie służy.

- Musisz się skoncentrować na tym, za co sama odpowiadasz, na tym, co zrobiłaś w każdej z tych sytuacji ty - oświadcza przewodnicząca. Ma dwadzieścia siedem lat. - Słyszę, że za dużo mówisz o tym, co zrobił on.

Często zwraca się do nas po imieniu, ponieważ tak napisano w książce o kontaktach międzyludzkich i mediacji między

współpracownikami. Wiem o tym, bo książka leży obok, poznaczona samoprzylepnymi zakładkami w kolorze żółtym i różowym.

Prowadzę kolejną lekcję, a potem zbieram swoje rzeczy i idę w stronę Downtown, aż trafiam na drogerię i kupuję duże opakowanie kwaśnych żelków-gąsienic, które przestałam jeść w pierwszej ciąży, bo bałam się, że mocno przetwarzane produkty ze sztucznymi dodatkami przenikną do krwi dziecka, a potem do nich nie wróciłam, bo karmiłam piersią, następnie zaszłam w kolejną ciążę i nie wychodziłam z domu bez dzieci, chyba że do pracy. Nadal karmię piersią, ale i tak je kupuję i otwieram na chodniku w drodze do kina, które pamiętam z czasów, gdy pracowałam siedem przecznic stąd jako kelnerka. Tyle tu podobnych ulic, tak wieloma różnymi osobami na nich byłam. Gdyby ktoś mnie zapytał, dlaczego nie mogę wyjechać, skoro w tym mieście tak trudno żyć niebogatym, odpowiedziałabym, że bałabym się, co się stanie z tymi wszystkimi ludźmi. To miejsce mnie kształtowało jeszcze długo po tym, jak ten etap powinien był się domknąć; tutaj nikt nie patrzył i czułam, że mi wolno.

Tak pewnie czułabym się w domu, gdyby ten, w którym przyszłam na świat, dawał poczucie bezpieczeństwa.

Nasze karty kredytowe są zablokowane, ale jedna z niewyjaśnionych przyczyn jeszcze działa, kupuję więc bilet do kina, rozsiadam się i w biały dzień śledzę w ciemnościach historię życia innych ludzi.

W pociągu do domu odbieram maila od byłej studentki z uniwersytetu, na którym wykładam wieczorowo. Dziewczyna ma dwadzieścia kilka lat, jest młoda i nerwowa. Pamiętam, że miała długie, jasne włosy, a zimą nosiła odsłaniające pępek podkoszulki i spodnie z szerokimi nogawkami. Miała długie blond włosy, na zajęciach zaplątywała je w cieniutkie warkoczyki, które potem ssała i wypuszczała mokre z ust, gdy zgłaszała się do odpowiedzi. Na pierwszej godzinie zjadała białą plastikową łyżeczką duży kubek

jogurtu, a gdy zabierała głos, uderzająco blada skóra na jej nagich rękach i ramionach pokrywała się czerwonymi plamami.

W mailu brak wielkich liter i większości znaków przestankowych: „hej! zastanawiałam się czy jakoś w przyszłym tygodniu mogłabym wpaść do pani na dyżur”. Z powodu chaotycznego zapisu i braku informacji o celu spotkania zaczynam się o nią martwić. „Jestem na miejscu w każdy czwartek” – odpisuję, choć nie mam etatu, a więc i własnego pokoju. „Zgadajmy się”.

- Dziś urodziny Sashy – mówię w sobotę do męża.

Spędzamy razem jeden dzień w tygodniu, ponieważ w niedziele mąż pracuje. Pakujemy przekąski i zmianę bielizny dla obojga dzieci, jedziemy do muzeum Whitney i wchodzimy dzięki tej samej magicznej karcie kredytowej. Dzieci malują obrazy na wzór tych wiszących na ścianach, a potem chodzimy po muzeum, aż dwulatka rzuca się z płaczem na podłogę, bo nie pozwalamy jej dotykać namalowanych ptaków, choć są w jej ulubionym fioletowym kolorze, i jedziemy do domu.

- To zadzwoń do niej – odpowiada mąż. Kiedyś krzywił się na sam dźwięk jej imienia, teraz jednak zaczyna przygotowywać kolację, wyjmuje z lodówki piwo, mówi dzieciom, że jeśli chcą dostać iPada, to muszą posprzątać lego, robi mi drugiego drinka. – Czemu nie? – mówi.

- Sama nie wiem.

- A ona w twoje urodziny zadzwoniła? – pyta.

- Mamusiu... – odzywa się nasza czterolatka. – Kto to jest Sasha? Piszę wiadomość, a ona od razu odpisuje i dodaje emotkę.

Nie cierpię emotek. Jakbyśmy się jakoś nagle umówili, że słowa nie działają. „Przepraszam, że przegapiłam twoje” – dopisuje.

Odczekuję tydzień. W dniu, w którym sama zajmuję się dziećmi, mój mąż zaś pracuje, pozwalam im oglądać telewizję w drugim pokoju, choć na ogół staramy się tego unikać, a na lunch serwuję im batoniki

musli i chipsy. W głowie słyszę cichy głos męża pytającego, jakie produkty białkowe dzisiaj dostały. Prawie całe przedpołudnie czytam książkę, Diamentowy plac Mercè Rodoredy: hiszpańska wojna domowa, młoda maltretowana żona; mąż zmusza ją do hodowania swoich gołębi, bije, nie chce mówić do niej po imieniu, w końcu wyjeżdża na wojnę, a ona i dzieci prawie umierają z głodu, dopóki życzliwy sklepikarz nie uratuje sytuacji oświadczynami.

Popołudnie spędzamy z Josslyn na schodach prowadzących do budynku. Dzieci rysują kredą po chodniku, a ona przynosi kawę, dotyka mnie trzy razy, raz w ramię, dwa razy w łokieć, i krzyczy na dwudziestoparolatka, który pozwala psu wysikać się na ustawiony przez nią kwiatek.

- Jak tam dzieci? - pyta od progu mój mąż, gdy już udało mi się je nakarmić, wykąpać i uśpić czytaniem.

- Świetnie - odpowiadam.

Całuje mnie i zamawiamy tajskie zarcie za pomocą magicznej karty: zostaję na linii, a męczyzna po drugiej stronie idzie przeprowadzić transakcję. Czekam, aż mi powie, że nic z tego, ale po dwudziestu sekundach wraca.

- Dwadzieścia minut - mówi, choć zawsze czekamy ponad godzinę.

„Gratki z powodu ślubu” - piszę do Sashy, gdy jesteśmy już w łóżku, a ja znów czytam i jednocześnie przeglądam Twittera. „Szkoda, że nie wiedzieliśmy” - dodaję. Co jak na mnie brzmi agresywnie, choć sformułowanie wskazuje na bierną agresję, którą przemycam z reguły w bardziej wyrafinowany sposób, ale to czat, poza tym nie jestem pewna, czy w ogóle zależy mi na jej tłumieniu.

Mój mąż śpi, a ja przez dobrą godzinę przewijam na Facebooku zdjęcia z jej kalifornijskiego ślubu. Klikam profile czterech kobiet stojących obok niej, ubranej w koronkową sukienkę bez ramiączek, uśmiechniętej i trzymającej za rękę wysokiego, sztywnego mężczyzny. Jedną z tych kobiet jest jej siostra, która niezupełnie załapała się na idealne rysy matki i Sashy. Mimo to stoi ze

ściągniętymi łopatkami, uśmiecha się do obiektywu i najwyraźniej chce, by ukazał ją dokładnie taką, jaka jest.

MIAŁAM TRZYNAŚCIE, A ONA czternaście lat i właśnie dostałyśmy się do szkoły średniej. Chłopak, w którym chyba się zakochałam, zakochał się w niej, a ja czasem rozmawiałam z nim do późna przez telefon, o niej. Prawdopodobnie zdawało mi się, że jeśli będę słuchać bacznie, milcząco albo odpowiednio długo, zakocha się we mnie. Ale w końcu zerwali ze sobą i przestał dzwonić. I została ona. Wiedziałam o niej wszystko to, za co pokochałaby ją każda żywa istota: co przeżywa, to, że wyraża się jak dorosła, że jest mądra, ale i piękna, a zarazem nie zależy jej na tym, by być cool, przynajmniej nie na tyle, żeby wykorzystywać swoją moc przyciągania ludzi. To czy tamto, jedno czy drugie: nigdy nie umiałam odróżnić, czy chcę ją wielbić, mieć za przyjaciółkę, czy też nią po prostu być – raczej wszystko naraz i jeszcze więcej.

Miałyśmy jeden wspólny przedmiot, nauczycielka przez cały semestr chorowała, osoby przychodzące na zastępstwo czytały przy biurku książki, a myśmy siedziały w ostatniej ławce i gadały, przy czym to słowo w żadnym razie nie wyczerpuje tego, cośmy robiły. Siedziałyśmy na przytwierdzonych do stolików krzesłach, ja z kolanami pod brodą. Sasha nosiła rozpuszczone włosy, a loki spryskiwała jakimś kosmetykiem, przez co pachniała jak dorosła kobieta. Nie pamiętam wypowiedzianych słów, ale czasem zdawały się tak żywe, że musiałyśmy szeptać; nachylałyśmy się ku sobie, aż skrzypiała podstawa ławki. Czasem zaś któraś z nas odzywała się tak głośno, że głowy innych uczniów lub osoby na zastępstwie obracały się w naszą stronę.

- Wiesz co... - zaczyna Sasha i patrzy na mnie uważnie. Ja mam czternaście, a ona piętnaście lat. Chce mnie dotknąć, ale zmienia zdanie. Jesteśmy nierozłączne, rzadko się jednak obejmujemy. Cała jej

rodzina bez oporów dotyka się i przytula, a gdy ktoś wyciąga rękę w moją stronę, nie wiem, co począć z kończynami. – Mogłabyś... – Nadal mi się przygląda. Czuję, jak się czerwienię. Sasha dotyka mojego końskiego ogona. – Mogłabyś być ładniejsza. – Nie mówi po prostu „ładna”. To ważne, że mi to mówi, bez względu na wszystko. Zawsze miała prawo do tego słowa, tę sferę może w każdej chwili bez trudu osiąść. – To znaczy, ty już jesteś ładna. – Uśmiecha się. Nie mogę znieść takiego spojrzenia. – Ale gdybyśmy tak rozpuściły ci włosy... – Zdejmuje mi gumkę. Włosy mam gęste, prawie czarne i wprawdzie zawsze je związuję, ale rozpuszczone sięgają mi za łopatki. Czuję, jak zaokrąglają mi się plecy, zapada klatka piersiowa. – Spróbuj sobie tak leciutko, choć trochę podkreślić oczy.

Uczy mnie tego, czego powinny uczyć matki: jak używać tamponów, nakładać tusz, dobrać stanik. Jak rozmawiać głośno o pomysłach, którym pozwalam się kształtować tylko w głowie.

Czasem po szkole idziemy do niej i spędzamy czas z jej mamą. Jej rodzina ma mniej pieniędzy niż moja. Jestem w wieku, w którym idea pieniądza wydaje mi się dość bezpieczna, gotówka jest dostępna, ale nie stanowi przeszkody, w tym sensie, że zarówno jej obecność, jak i brak wydają mi się równie abstrakcyjne. Ostentacyjnie drogi samochód mojej matki, wakacje dwa razy w roku, nasz olbrzymi dom; w spiżarni u Sashy stoją wielkie pudła płatków i zapas masła orzechowego z odległego o pół godziny jazdy Costco, a jej dom, choć spory, należy do rodziny od pokoleń, ciągle coś się w nim psuje i nikt tego nie naprawia. Moja mama pracuje sześćdziesiąt godzin w tygodniu, a gdy o dwudziestej pierwszej czy dwudziestej drugiej zasiadamy razem do kolacji – bo niewiele wcześniej wraca do domu, ale chce nam jeszcze coś ugotować – razem z ojcem wypytują nas o oceny z testów i moje wyniki na bieżni. Na stole jest zawsze za dużo jedzenia, tyle jedzenia, i wszystko z mlekiem, masłem i serem, a siostra i ja uczymy się z czasem – bo od wczesnego dzieciństwa

słyszemy, że gruby znaczy gnuśny i odrażający - że albo musimy markować jedzenie, albo jeść tylko ten jeden posiłek dziennie. Siedzimy naprzeciw siebie, a rodzice u obu szczytów stołu. Przed kolacją rozmawiają o pracy. Mama gotuje, a tata przygotowuje drinki: półtorej miarki ginu i tonik dla matki, whiskey z colą zero dla siebie. Wypijają je przed kolacją, potem do posiłku wino i piwo, przy czym na jednym się nie kończy. Siostra i ja snujemy się po swoich pokojach albo po okolicach kuchni. Odrabiamy lekcje, oglądamy telewizję. Rodzice przebierają się w stroje domowe: mama zdejmuje garsonkę, tata garnitur. Siadamy przed włączonym telewizorem, ale najpierw przez dwadzieścia minut rozmawiamy.

- Jak tam na treningu? - pyta ojciec.

Moja siostra nie biega i nie znosi tych pytań.

- W porządku - odpowiadam najczęściej. - Dziś ćwiczylismy sprint - dodaję.

Jeśli mam za sobą trening szybkościowy, to wiadomo, że byłam najlepsza. Czasem opowiadam to, co sprawia im największą przyjemność: że podczas interwałów zdarzało mi się wyprzedzać wolniejsze zawodniczki o całe okrążenie, że trener znów odesłał mnie do chłopaków. Nie znoszę biegać z chłopakami, w ogóle się wtedy nie odzywam, a po każdym takim treningu wydaje mi się, że jeszcze bardziej mnie nie cierpią. Każdy musi się utrzymać przynajmniej krok przede mną, więc biegamy szybciej, niż potrzeba. Nikt nie chce dać się pokonać, jest gorąco i parno, wracamy spoceni i zadyszani, wszyscy starannie omijają mnie wzrokiem. Jesteśmy wściekli, z napiętymi mięśniami nóg, rąk i barków; przysysamy się do wody, dziewczyny już czekają po skończonym biegu, prawie bez śladu potu, gadają sobie w najlepsze, a ja polewam głowę wodą i idę sama do samochodu, swojego albo rodziców.

- Jak tam matma? - pyta tata, bo na matematykę chodzę z grupą zaawansowaną, przepisano mnie do niej na prośbę rodziców, o tym akurat lubi rozmawiać.

- W porządku - powtarzam.

Nie jestem taka dobra, jak im się zdaje, poza tym łatwo się rozpraszam. Czuję się jak smarkula, wszyscy sprawiają wrażenie znacznie starszych, a ja siedzę z tyłu i zamiast słuchać nauczycielki, czytam pod ławką książkę. Moja siostra jest mistrzynią retoryki i cieszę się, gdy uwaga przenosi się na nią, na jej ostatnie osiągnięcia i sukcesy lub przygotowania do kolejnej debaty. Nie ma takich dobrych ocen jak ja. Chodzi na mniej lekcji z rozszerzonym programem, gorzej wypada w testach i gdy wreszcie jest jej kolej, ojciec często sprawia wrażenie mniej zainteresowanego. Wiem, że lunch jada sama w sali, w której organizowane są debaty. Jest ode mnie dwa lata młodsza i odkąd ukończyłam szesnaście lat i dostałam samochód, wożę ją do szkoły, ale rzadko rozmawiamy.

Mama Sashy coś piecze i wypytuje nas o chłopaków. Pracuje w podstawówce jako doradczyni zawodowa i jest bardzo mądra. Jeśli siostra Sashy jest w domu, to siedzi z nami i często wtrąca się do rozmowy. Wszystkie trzy ciągle się dotykają. Siostra Sashy poprawia jej włosy albo przerywa czyjąś wypowiedź, pytając, czy może pożyczyć jej kolczyki, gdzie kupiła ten sweter i czy pasowałby do jej sylwetki. Gestykuluje zamasyście i często się wzdrygam, gdy koło niej siedzę. Gdy którakolwiek z nas mówi, mama Sashy patrzy na nią uważnie, a gdy siostry zaczynają się kłócić, ostro i krzykliwe, mówi „Dziewczynki...” takim szczególnym, poufałym tonem, że one patrzą na siebie porozumiewawczo, jakby chciały powiedzieć, że mama się wygłupia, bo mówi do nich jak do przedszkolaków, ale zaraz przestają, spoglądają na nią i cicho przepraszają.

Z nich dwóch to Sasha zachowuje się mniej konwencjonalnie. Częściej kłóci się z matką. Jest też inteligentniejsza, ale i bardziej lekkomyślna, częściej potrzebuje więc wskazówek i uwagi. Siostra nieraz strofuje ją w mojej obecności. Chyba Sasha lubi mnie po części dlatego, że jestem mniej udomowiona, może trochę zdziczała, i przez to łatwiej mną kierować.

Choć moich rodziców nigdy nie ma w domu, zawsze chodzimy do niej. U mnie jest tak czysto, że nieliczne dzieci, które mnie odwiedziły,

czuły się tam nieswojo. Nasz dom jest wielki i przestronny, pełen ciemnego drewna i welurowej tapicerki. Mój pokój mieści się na górze, na końcu długiego korytarza, a pokój mojej siostry – naprzeciwko, na końcu drugiego, więc gdy czasem siedzimy każda u siebie, rodzice po powrocie z pracy muszą do nas dzwonić, żeby sprawdzić, czy jesteśmy.

Na szesnaste urodziny dostaję nowiutki czarny kabriolet, dokładnie taki, o jaki prosiłam – dopiero po latach dociera do mnie, że to coś wstydlivego – i w weekendy jeździmy sobie z Sashą brzegiem oceanu, z odsłoniętym dachem, splątanymi włosami, słońcem igrającym nam na twarzach. Wagaruję sama, bo jej mama ma znajomych w szkole i z pewnością by się dowiedziała. Kiedy dzwonią ze szkoły z informacją, że mnie nie było, kasuję nagrane wiadomości, nim ktokolwiek zdąży je odsłuchać. Jeżdżę na plażę i najpierw biegnę, a potem idę, całymi godzinami, a przy kolacji nikt nie zauważa, że na stopach i we włosach mam jeszcze piasek. Płaczę za kółkiem. Twarz mam spaloną słońcem i opuchniętą; matka pyta mnie o średnią ocen, po czym kiwa głową, gdy patrzę jej prosto w oczy i mówię, że A.

W ostatniej klasie Sasha ma już chłopaka, znacznie starszego od nas wszystkich. Chodzi do państwowego college’u i gra w teatrze studenckim. Myślę, że jest okropny, a potem martwię się, że jestem po prostu zazdrosna: o niego czy o nią, sama już nie wiem. Ma teatralny sposób bycia, gestykuluje i bredzi trzy po trzy, ale ona twierdzi, że go kocha. Godzinami gadamy o nim przez telefon. W weekendy upala nas nocą na plaży i namawia do włamania się na teren basenów przy starym hotelu, gdzie przesiadujemy nago w jacuzzi, cztery czy pięć dziewczyn i ze dwóch jego kumpli na doczepkę – żaden z nich mnie nawet nie tyka – a on tymczasem opowiada nam, gdzie bywał i co robił. Gramy w „Prawdę lub wyzwanie” i my, przyjaciółki, musimy się pocałować. Sasha łapie mnie z tyłu głowy, przywiera wargami do mojej twarzy, a ja oddycham przez nos, dłonie zwijają mi się mocno w pięści.

JEST PIĘĆ STOPNI, więc wkładam podwójne legginsy i dwie koszulki oraz kurtkę, którą kupiła mi pod choinkę matka i która już śmierdzi, bo noszę ją prawie codziennie. Do tego opaska na głowę i rękawiczki. Na palcu wskazującym prawej dłoni mam w rękawiczce dziurę i choć pozostałe części ciała mam zakryte i rozgrzane, po powrocie do domu nie mam czucia w dłoni, a palec jest zdrętwiały i posiniały.

Mąż wślizguje się do mnie, gdy stoję pod natryskiem, zmarznięta skóra piecze pod każdą gorącą kroplą, ręce i nogi mam mocno zaczerwienione. Zaciskam i rozluźniam pięści, żeby przywrócić czucie w dłoni. Mąż odsuwa zasłonę i muszę wyjść z ciepła, żeby go wpuścić. Głaszczę go po plecach, a on wstrzymuje oddech i udaje, że chce mnie ugryźć, po czym nie odzywając się ani się nie dotykając, myjemy włosy, nakładamy odżywkę, szorujemy ręce i nogi, wychodzimy, wycieramy się i ubieramy.

W szkolnej łazience dla personelu kobieta, którą od zawsze lubię, choć prawie ze sobą nie rozmawiamy, maluje właśnie usta.

- Co słyhać? - rzucam, a ona zerka na szminkę i odpowiada:

- Mam nadzieję, że to mnie postawi na nogi.

- Nauczysz mnie? - pytam, choć mogłabym się tylko uśmiechnąć, ale chyba nie potrafię. To, zdaje się, wina mojej matki, że zawsze staram się jakoś zagadać ciszę. - Te torby pozostają jedną z największych zagadek mojego życia - dodaję, wskazując jej bagaż.

Kobieta się śmieje.

- Tobie nie potrzeba szminki - mówi. Jak każda inna pracująca tu osoba jest młodsza ode mnie, no i próbuje być miła.

Uśmiecham się i kręcę głową.

- Moje nieszczęsne córki - mówię.

Ostatnią lekcję prowadzę z dwudziestoczterolatkiem, który przez kwadrans opowiada o tym, że nanoszenie poprawek do wypracowania można przyrównać do dzbanka filtrującego wodę.

- Klarowność i przejrzystość - oznajmia.

Dzieci patrzą na niego szklanym wzrokiem, a dziewczynka z tyłu gra na telefonie w bilard, ale udaję, że nie widzę, a gdy tylko kończy się lekcja, chwytam torbę i kurtkę i zbiegam schodami ruchomymi po dwa stopnie.

Idę przez Broadway i co rusz zerkam na telefon, bo czekam, aż Sasha mi odpisze albo do mnie zadzwoni. Nie chcę, żeby dzwoniła. Za pomocą magicznej karty kredytowej kupuję w sklepie nowe żelki oraz tubkę tego takiego mazidla, które należy nakładać pod oczy, i idę mostem Brooklińskim - choć z reguły rezerwuję go na bieganie - a potem pokonuję pieszo ostatnie pięć kilometrów do domu, mimo że zapada zmrok i jest mi strasznie zimno w uszy.

2

NAJPIERW PADAŁ ŚNIEG, potem deszcz, a teraz chodniki ściał lód. Siadam w łóżku, przewijam strony w telefonie i rozważam wszystkie za i przeciw, jeśli chodzi o poranne bieganie. Jeśli nie pójdę pobiegać, w pracy nie będę w stanie oddychać. Jeśli upadnę i coś sobie złamię, nie będę w stanie oddychać miesiącami. Wkładam podwójne legginsy, koszulkę termiczną i cienką bluzę polarową, obie z długimi rękawami, oraz pikowaną kurtkę od mamy, nadal śmierdzącą. Osłaniam głowę opaską i wkładam rękawiczki, nadal dziurawe, a na szyję polarowy komin, który mogę podciągnąć pod same oczy, gdy zacznę tracić czucie w nosie i wargach. Żeby się nie poślizgnąć, biegnę ulicą, bo chodniki są jeszcze oblodzone i pełno na nich stert śniegu, a samochody, o ile w ogóle jadą, wymijają mnie powoli. Widzę inną biegaczkę, kobietę, starszą ode mnie; przedziera się przez góry śniegu na chodniku i rusza przed siebie.

Podczas lunchu jedna z moich dwóch koleżanek pokazuje mi na YouTube filmik z czarną kobietą, która przygotowuje dla siebie perukę zdobiącą na razie głowę manekina. Kobieta przycina i modeluje włosy, barwi bazę pod kolor swojej karnacji za pomocą czegoś, co wygląda jak kreda, ale według mojej koleżanki wcale nią nie jest. Zakłada perukę na własne włosy zaplecione w ciasne, przylegające do głowy warkoczyki, przesuwając ją w tył, w prawo i w lewo, aż idealnie przylega jej do czaszki.

- I codziennie tak robisz? - pytam i odkładam telefon.

Koleżanka wcina podawane we wtorki paluszki z mozzarelli i frytki, ja nie bardzo umiem się zmusić do zjedzenia ani jednego, ani drugiego.

Śmieje się ze mnie. Zazwyczaj siedzę cicho, bo nie chcę, żeby przestała mi opowiadać takie rzeczy jak dziś rano: gdy piłyśmy trzecią kawę, a do klasy wsypywali się uczniowie, ni stąd, ni zowąd złapała mnie za rękę i szepnęła:

- Noszę perukę, wiesz?

- Nie wiedziałam - odparłam.

A teraz pokazuje mi ten filmik, a potem następny, z inną kobietą i inną odmianą peruki. Objasnia mi nazwy i rodzaje: 4A, 4B, 4C. Wyświetla mi inny filmik z różnego typu warkoczami.

Sama noszę krótkie włosy i wpatrzona w ekran sięgam teraz do nich co chwilę, jakbym się krępowała, że są takie bezobsługowe. Przypominam sobie, jak przed wyjściem z domu przeczesalam je tylko palcami, gdy były jeszcze mokre po kończącym poranny bieg prysznicu.

Przechodzą koło nas dzieci, a koleżanka szepcze mi do ucha:

- Ta ma swoje włosy. - Wskazuje jakąś dziewczynkę, a po chwili następną. - Ta ma treskę, gorzej nie mogła wybrać. - Nachyla się w moją stronę i wskazując dziewczynkę niosącą na tacy podwójną porcję paluszków serowych, szepcze jeszcze ciszej: - A tej pozwolono jakimś cudem użyć prostownicy, choć każdy myślący człowiek wie, że to w zasadzie ukłon w stronę supremacji białych.

Moje koleżanki coraz częściej dzielą się ze mną podobnymi informacjami, ale mają też chat grupowy z trzema innymi czarnymi osobami z grona pedagogicznego szkoły i nie zaprosiły mnie do niego, a ja mam dość oleju w głowie, by się o to nie dopominać. Milczę częściej niż zazwyczaj. Dopuszczam je do głosu i bardzo staram się tylko siedzieć i słuchać, a ilekroć o czymś opowiadają, mam poczucie, że żyłam dotąd w całkowitej nieświadomości, i jestem im bardzo wdzięczna, że choć na tyle mi ufają.

I ja się z nimi zanadto nie spoufalam. Nie wiedzą o moich wyjściach ze szkoły. Nie wiedzą o moich wieczorowych zajęciach. Nie wiedzą, że dopłacamy do mieszkania w dzielnicy, na którą nas nie stać, żeby nasze dzieci mogły pójść do lepszej szkoły niż ta, do której pójdzie dziecko mojej koleżanki, gdy za rok skończy cztery lata.

Dziś zostaję do końca i pomagam uczniom w pisaniu rozprawki, ponieważ nie bardzo zrozumieli temat. Poprosiłam, żeby wybrali dowolną postać z Hamleta i przyjrzeni się, jak autor w miarę rozwoju akcji różnicuje stopień jej obłędu lub karygodności występków. Uczniowie chcą się stanowczo określić: Ofelia jest totalnie szalona, przekonują, Hamlet tylko totalnie broni honoru ojca, mówią. „A tutaj?” – wskazuję inną scenę i zbijam ich z tropu. Nie pisali dotąd wypracowań dłuższych niż dwie strony, nikt ich nie nauczył cytowania źródeł. Ich składnia kuleje, usiłują przelać na papier wpojone im przez innych nauczycieli osobliwe, podręcznikowe wyobrażenie o pisaniu. Przekaz staje się niezrozumiały, więc przysiadam się do nich kolejno i pytam, co chcą powiedzieć, oni odpowiadają, a ja podsuwam: „To może to po prostu napisz?”.

Nie umiem rozgryźć, czy to kwestia ich wieku, czy tego, że pewnych rzeczy ich nie nauczono. Kiedy wykładałam kompozycję tekstu, zauważyłam, że dla moich uczniów wiele rzeczy jest nie do pomyślenia i nie do zrobienia. Ta szkoła rządzi się jednak innymi prawami, których nie pojmuję. Po tutejszych dzieciach oczekuje się czegoś innego, niż oczekiwano się po nas, gdy chodziłam do swojej

izolowanej, białej, zamożnej szkoły. Tutaj zbyt wielu nauczycieli, w tym prawie cała kadra kierownicza, uważa, że nasze dzieci nie umieją myśleć i działać tak, jak robiliśmy to my w naszych szkołach, ale my po prostu nie mieliśmy innego wyjścia. Tu na drodze do indywidualnych poszukiwań staje zawsze dyscyplina. Czasem nauczyciele próbują uczyć metodami, które nam wpajano – „nowocześnie, z naciskiem na poszukiwania i pracę własną” – ale nikt chyba nie wierzy, że dzieci umieją przyswoić informacje inaczej niż za pośrednictwem zwięzłych, wypunktowanych komunikatów ujętych w kartach pracy lub prezentacjach w PowerPoincie, więc nauczyciele się zabezpieczają: uszczuplają i streszczają wiadomości, ponieważ boją się podstawowego kryterium naszych dokonań, czyli punktacji w uczniowskich testach.

Dzieci przyzwyczyły się, że na tym polega nauka. Kiedy zadaję pytania, ale nie podsuwam odpowiedzi, widzę, że są przerażone, bo nikt ich nie nauczył wierzyć we własną zdolność rozumowania, ale też desperacko tych rozwiązań poszukują, a ich umysły są fascynujące, zadziwiające i wyjątkowe.

Na biurku trzymam przyniesiony z pokoju nauczycielskiego zapas doritosów, kitkatów i reese's, i gdy ich pisemne wypowiedzi stają się klarowniejsze, a zdania zaczynają się swobodniej łączyć, robimy sobie przerwy na jedzenie; dzieci pokpiwają z moich kardiganów i odprasowanych spodni, a potem patrzą na mnie przeciągle, przekrzywiają głowy, unoszą brwi i pytają, czy nigdy nie myślałam o zapuszczeniu włosów.

Nazajutrz rano odpuszczam sobie bieganie, bo bolą mnie plecy, nogi i szyja; w zamian puszczam filmik z jogą w małym pokoju przy kuchni i próbuję ćwiczyć, ale szybko się nudzę. Kobieta przemawia do mnie jak do dziecka i chce mnie ukoić. Ściszam ją, wyciągam się na macie i leżę z zamkniętymi oczami, aż włączą na mnie wybudzone jednocześnie dzieci, a dwulatka wkłada mi rękę pod koszulkę i domaga się karmienia.

Siedzę na zebraniu rady. Dyskutujemy, czy nowy zapis w regulaminie zakazujący noszenia turbanów to ukłon w stronę profesjonalizmu czy rasizmu oraz jakiego rodzaju obuwi ortopedyczne możemy dopuścić, z zaświadczeniem od lekarza. Kilka razy zabierałam głos na podobnych zebraniach, a szef prosił mnie później na boku, żebym już tego nie robiła, siedzę więc cicho i czytam wiadomości w telefonie.

Piszę z koleżanką ze studiów, Leą, która po trzech rundach in vitro zaszła wreszcie w ciążę i właśnie dowiedziała się, że będzie miała bliźnięta.

Dostaję maila, że pewna chilijska pisarka - w nawiasie link do jej biogramu w Wikipedii - chciałaby wziąć udział w moich czwartkowych zajęciach na uczelni. „Zapoznała się z twoim programem i odniosła się do niego z entuzjazmem”. Siedzę z tyłu sali ze swoimi dwiema koleżankami, szef gada, a one patrzą na mnie. Zgodnie z zawartą w mailu prośbą wysyłam chilijskiej pisarce informacje o książce, którą właśnie czytamy, i odkładam telefon na blat, ekranem do dołu.

Po zebraniu mam jeszcze jedną lekcję, zarządzam debatę o tym, czy duch z Hamleta jest prawdziwy. Żeby zachęcić uczniów, zapowiadam, że temu, kto wygra, stawiam lunch. Daję im dziesięć minut na przygotowanie argumentów wstępnych. Następnie dopracowują kontrargumenty, później przychodzi czas na zadawanie pytań, a ja dopinguję obie strony: wskazuję luki w тезach oponentów i podpowiadam, jak podane przez nich przykłady można obrócić na swoją korzyść. Robi się głośno.

Dwudziestoczworoletka stoi w milczeniu pod ścianą. Może notuje w myślach, co powie szefowi, gdy pójdzie do niego z wnioskiem o moje zwolnienie. I co z tego, że mnie zwolnią? A potem podchodzi do mnie uczennica i wskazuje mi fragment tekstu, który według niej może pomóc jej drużynie, a ja myślę sobie, że jeśli dwudziestoczworoletka odbierze mi tę pracę, zagrozę mu, że posunę się do rękoczynów.

Gdy dzieci obmyślają argumenty końcowe, sprawdzam skrzynkę. „Co za zaszczyt, nie mogę się doczekać” – odpisuje chilijska pisarka.

Dyżur na korytarzu na drugim piętrze. Czytam *Kobietę w punkcie zero* Nawal as-Sadawi: „Przez całe życie poszukuję czegoś, co przepełni mnie dumą, sprawi, że poczuję się lepsza od królów, książąt i władców” – mówi w oczekiwaniu na wyrok śmierci Firdaus, bohaterka książki.

Dostaję wiadomość o uczennicy, szesnastolatce z zaburzeniami, która w przyływie lęku wychodzi z klasy. Podczas zebrania dowiedzieliśmy się, że występuje u niej nasilony odruch ucieczki. W chwilach paniki wychodzi z klasy, czasem ze szkoły, i robi to często. Na czacie Google regularnie dostajemy powiadomienia, że znikła.

„Czy ktoś może sprawdzić toaletę na drugim piętrze?” – pyta ktoś na czacie.

„Już się robi” – odpisuję.

– Kayla? – mówię, zaglądając pod drzwi kabin.

Stojąca przed lustrem uczennica z mojej klasy przywołuje mnie gestem.

– Ostatnia kabina – mówi bezgłośnie.

Pukam, Kayla otwiera powoli drzwi.

– Nie znam pani.

Nie uczę w dziesiątych klasach. Przedstawiam się i wyjaśniam, czego uczę.

– Jeszcze się nie wysikałam – odpowiada.

Piszę na czacie. Mijają minuty, a z kabiny nie dochodzi żaden dźwięk. Czubki czarnych sznurowanych butów zwracają się ku sobie.

Kayla wychodzi, nie słysząc spluczki. Odkręca wodę i myje ręce, raz, drugi i trzeci.

– Chodź, Kayla – mówię. – Musimy wracać do klasy.

Nie patrzy na mnie. Jeszcze raz myje ręce, chwytając ręcznik papierowy, umieszcza go między palcami, składa w ciemnobrązowy kwadracik i wrzuca do kosza.

Wychodzimy z toalety, a ja nie jestem pewna, czy wolno mi jej dotykać. Nie wiem, jak inaczej dopilnować, żeby nie uciekła. Staram się mówić spokojnie i jej nie karcić. Muszę napisać do pedagogażki i dowiedzieć się, dokąd ją zaprowadzić, piszę więc jednym palcem, a drugą rękę zostawiam wolną na wypadek, gdyby Kayla rzuciła się do ucieczki. Jest wyższa ode mnie, ale zostaje w tyle o pół kroku. Dwa razy próbuje zawrócić do toalety, ale chwytam ją za plecak i ni to zaganiam, ni to prowadzę w górę po schodach.

- Jaki jest twój ulubiony przedmiot? - pytam głupawo, bo jakoś nie umiem inaczej zagadać.

- Nauki przyrodnicze - odpowiada.

- Super. Też je lubię.

U szczytu schodów próbuje się wyrwać w lewo, choć ja skręcam w prawo, i znów muszę ją złapać za plecak, żeby nie uciekła. Jest szybka i przebiegła, powiedzieli nam na zebraniu. Otaczam ją ramieniem, ale po chwili puszczam, żeby zapukać do gabinetu pedagogażki, a wtedy znika w głębi korytarza.

- Kayla, wracaj! - wołam. - Dopiero tu była - dodaję, bo z gabinetu wyszła pedagogażka, a Kayla zapadła się pod ziemię.

Wychodzę po dyżurze. Na schodach ruchomych mijam dwudziestoczterolatka. On wjeżdża, a ja zjeżdżam, wbijam w niego nieruchome spojrzenie, aż w końcu odwraca wzrok.

Żeby przestawić się z pracy dziennej na wieczorową, potrzebuję na ogół jakieś pół godziny. Wieczorami uczę na studiach drugiego stopnia. Słuchacze są znacznie starsi i płacą za naukę. To zajęcie wymaga ode mnie większej dyscypliny intelektualnej, ale jest też łatwiejsze, ponieważ nie muszę przekonywać studentów, że warto się przykładać. Ponieważ ich życie przypominało dotąd moje. I nie obchodzę się z nimi tak ostrożnie; ich dodatkowe potrzeby wydają mi się mniej istotne i łatwiejsze do spełnienia.

Znikam na godzinę w przydzielonym gabinecie i jeśli studenci nie chcą się ze mną spotkać, czytam książkę, którą mam właśnie omawiać, przeglądam Twittera albo piszę do męża, żeby wysłał mi filmiki z naszymi dziewczynkami. Jeśli mam na sobie żakiet, to go zdejmuję. W tym roku za pomocą magicznej karty dwa razy kupiłam sobie T-shirt po tym, jak spojrzałam w lustro w drodze do Uptown i uznałam, że wyglądam zbyt biurowo, żeby wyklądać literaturę na studiach uzupełniających.

Z linku w treści maila z dziekanatu dowiedziałam się, że chilijska pisarka jest po pięćdziesiątce i napisała pięć powieści, z których trzy przełożono na angielski. Ma drugiego męża i dorosłego syna. Na zajęciach siada koło mnie przy stole konferencyjnym i rozmawiamy o *A paixão segundo G.H.* Clarice Lispector, książce, w której pisarka podjęła próbę odarcia słów z ich znaczenia. „Czym byłam, zanim weszłam do pokoju?” – pyta G.H. Większości obecnych powieść się nie podobała. Powiedziałam im, że podobać czy niepodobać nie ma tu nic do rzeczy, ale oni nigdy nie mogą się powstrzymać przed rozpowiadaniem naokoło, czy dana książka im się podoba, czy nie.

- To trudna powieść i czytelnik nie bardzo ma się na czym oprzeć, trudno mu wnikać w treść – mówię. - Tylko po co taki zabieg? – pytam.

Gdy wykładam, za dużo gestykuluję. Bohaterka książki stoi w progu pokoju i obserwuje powolną śmierć karalucha, któremu odcięła drzwiami głowę, a następnie połyka jego wnętrzności.

Przed końcem zajęć studentka o podkreślonych ciemną konturówką powiekach i długich kręconych włosach podnosi rękę, bo chce się podzielić wrażeniami z lektury.

- Czułam się jak rozjechana walcem.

Niektórzy się śmieją, a ja odpowiadam:

- Czyli za sprawą autorki coś poczułaś. Czy osiągnęła zatem swój cel?

Chilijska pisarka nie odzywa się słowem. Robi notatki. Uśmiecha się i kiwa głową, ilekroć na nią patrzę, a gdy studentka mówi o walcu,

parska śmiechem.

- Taka jestem wdzięczna - mówi po zajęciach.

Uśmiecham się i nie wiem, jak powiedzieć, że nie ma powodu.

- Mogę cię zaprosić na kolację? - pyta.

Jestem głodna, a dzieci już śpią.

- Jasne - odpowiadam.

Bierzemy na pół cheeseburgera. Pisarka mówi, że sama nigdy nie zjada całego, a ja, choć padam z głodu, bo cały dzień nic nie jadłam, nie odmawiam, bo zachwyca mnie taka poufałość. Jednym ruchem przekłada na mój talerz połowę frytek i dość szybko zjadamy prawie wszystko, niemal się nie odzywając.

Początkowo rozmawiamy o książkach i o mojej pracy. Opowiadam, że chciałam zostać na uczelni, bo zawsze rozumiałam książki lepiej niż ludzi, a spisanych słów nie da się obalić. Dodaję, że przeżywam szok, ilekroć spotykam się ze studentami poza salą wykładową i muszę rozmawiać z nimi na tematy niezwiązane z naszymi wspólnymi lekturami, muszę od zera formułować idee i pytania.

Ona mówi, że została pisarką, bo to jedyna sfera, nad którą kiedykolwiek udało jej się zapanować.

- Pisałam o autentycznych postaciach - wyjaśnia. - Tyle tylko, że mogłam nimi sterować, manewrować. Nie byłam nieporadna wobec ich pragnień i potrzeb. Ale zapomniałam, że gdy skończę, prawdziwi ludzie ani się nie ulotnią, ani nie zmienią.

Lubię na nią patrzeć, gdy mówi. Siedzimy przy małym stoliku, na krzesłach z wyplatany z trzciny oparciami i cienkimi czerwonymi poduszkami na siedziskach. Mam ochotę zdjąć buty i przyciągnąć kolana do piersi. Stoliki stoją blisko siebie i gdy ktoś obok nas wstaje, musi trzymać okrycie i torbę nad naszymi głowami, żeby nas nimi nie musnąć. Światło jest przyćmione, a kolor ścian odpowiada barwie poduszek. W głębi, wzdłuż obu ścian, ciągną się boksy, a za barem wiszą stare francuskie plakaty filmowe.

- Potrafiłam godzinami wisieć na telefonie i słuchać swojej nawalonej siostry - opowiada. - Mówiła o swoim okropnym życiu, o cierpiącym na dwubiegunówkę, permanentnie niezdolnym do pracy mężu, o obłąkanych, otumanionych lekami dzieciach z aspergerem i ADHD. - Przeżuwa frytkę i uśmiecha się do mnie. - Robiłam notatki.

Dojadam cheeseburgera. Kęs jest za duży, zasłaniam usta dłonią, a ona czeka, aż się odezwę, ale po chwili ciągnie:

- Zawsze pytałam, czy mogę zrobić z nich użytek. „Carla, wykorzystam to w swojej pracy, nie masz nic przeciwko?” - Chilijska pisarka patrzy przez szybę na ulicę za moimi plecami, gdzie przechodzą gromadki studentów i suną taksówki oraz ogromne, ciemne SUV-y. - Zawsze się zgadzała, ale była zrobiona.

Kelner przynosi nam po drugim piwie, a ja kładę kciuk na ustach, nie mam ochoty go pić. Tak naprawdę nie lubię piwa, ale gdy powiedziała, że karta piw wygląda nieźle, chciałam być jak ona, więc zamówiłam to samo.

- Zabiła się - mówi chilijska pisarka.

Bierzemy po łyku piwa: najpierw ona, a zaraz potem ja.

- Jeszcze tego nie opisałam - dodaje.

W weekend budzę się po szóstej. Wyleguję się w łóżku, a mój mąż przygotowuje dzieciom śniadanie, wysyła je do toalety, pyta, czy chcą mu pomóc w zagniataniu ciasta na bułeczki. Obudziłam się, ale udaję, że śpię, żeby jeszcze chwilę poleżeć i ponasłuchiwać. Schodzę, gdy woła mnie na śniadanie, jemy razem, a potem on wychodzi do pracy.

- Pamiętaj o urodzinach - mówi przed wyjściem.

- O ja pierdolę - mamroczę, po czym reflektuję się, że stojące tuż obok dzieci podnoszą głowy i uśmiechają się do mnie. Czterolatka szepcze coś do siostry, parszają śmiechem i pędzą do swojego pokoju.

Nie mamy prezentu i nie mamy czasu go kupić, proszę więc dzieci o wybranie dwóch książeczek, za którymi nie przepadają, oraz zabawki, którą się ostatnio nie bawią, po czym ozdabiamy rysunkami

papier do drukarki, owijamy nim to wszystko i spinamy zszywkami, bo nie mamy taśmy.

Zaraz po wejściu do mieszkania położonego na parterze kamienicy z fasadą z piaskowca czterolatka mówi głośno do matki dziecka, które ma urodziny:

- A mama nie miała czasu kupić prezentu i kazała nam spakować nasze zabawki.

Spuszczam głowę, uśmiecham się, wymijam kobietę i kieruję się w głąb mieszkania. Dzieci przechodzą do salonu, gdzie na ekranie ryczącego, zajmującego niemal całą ścianę telewizora leci kreskówka, a dzieci gramolą się na sterty zabawek, piszczą i krzyczą.

- W kuchni dają Krwawą Mary - powiadamia mnie inna matka.

Jest jedenasta rano.

- Super - mówię.

W kuchni siedzi siedem innych matek oraz ojciec dziecka, które obchodzi urodziny. Ojciec przyrządza Krwawą Mary, na blacie stoją składniki, w tym na wpół opróżnione słoiczki z oliwkami i cebulką perłową. Nalewa każdej z nas, zanurza palec w każdej szklance, oblizuje, żeby sprawdzić smak, i roznosi gotowe drinki.

- Jest jeszcze takie spa koreańskie - mówi jedna z kobiet. Weszłam w środek rozmowy i kobiety porównują chyba miejsca, w których się relaksują. - Pokrywają ciało gęstą, słoną gliną, a potem ją splukują bardzo silnym strumieniem wody z węża.

- Ale to chyba nie boli?

- Uczucie jest wspaniałe. To znaczy trochę boli, ale w takim pozytywnym sensie. Jak zatapianie martwego naskórka.

- A ja korzystam z ruskiej bani w Queens - mówi inna kobieta.

- W Carroll Gardens jest komora do deprywacji sensorycznej - mówi kobieta, która ma na sobie golf z najdelikatniejszej wełny, jaką kiedykolwiek widziałam. - Dwieście dolarów za czterdzieści minut, ale człowiek czuje się potem jak wynurzony z wód płodowych.

- Botoks - dodaje jakaś kobieta i rumieni się nieznacznie. - Mam prawie czterdziestkę na karku. Kilka tygodni temu zrobiłam też sobie peeling chemiczny. - Wydaje z siebie piskliwy dźwięk, w zamierzeniu chyba śmiech, i sięga dłonią do policzka. - Kiedy wiem, że dobrze wyglądam, od razu się lepiej czuję.

- Ale to wszystko zjebane - kwituje inna kobieta. - Trzeba sobie jakoś radzić.

- Klonopin - mówi kolejna. - Xanax i zioło.

- A ja bym chciała tylko jednego - odzywa się jedyna kobieta, która nie zabierała dotąd głosu. Siedzi na taborecie w rogu kuchni, w jej szklance widać już tylko słomkę i lód. Jest bardzo chuda, ma ciemne, założone za uszy włosy i błękitną jedwabną bluzkę.

- Nie chcę gadać ani myśleć. Chcę stać z zasłoniętą twarzą, w bluzce i butach, ale z opuszczonymi majtkami, i żeby jakiś obcy facet, którego nie znam i nie muszę poznawać, porządnie mnie wyruchał i sobie poszedł.

Nazajutrz rano, czyli w dniu, w którym wybieramy się do sądu w sprawie upadłości, mimo weekendu budzę się wcześnie i biegnę dwadzieścia pięć kilometrów: mostem na Manhattan i z powrotem. Chodniki pokrywa jeszcze lód, trzy razy upadam i mimo rękawiczek ścieram sobie do krwi skórę na dłoniach, a gdy przed wejściem pod prysznic zdzieram z siebie ubrania i mój mąż zauważa siniaki i krew, spoglądam na niego i mówię „relaks”, a on parska śmiechem.

Ubieram się na rozprawę w sądzie upadłościowym, a potem zaczynam się zastanawiać, czy nie powinnam włożyć czegoś gorszej jakości. Tuż przed tym, jak przestała działać magiczna karta, poszłam do upatrzonego sklepu w West Village, sklepu, w którym nigdy wcześniej nie byłam, bo wydawał mi się za drogi, i kupiłam bluzkę i spodnie, które mam teraz na sobie. Gdy udało nam się w końcu uzbierać dwa tysiące dolarów gotówki, które musieliśmy zapłacić adwokatowi, żeby

oficjalnie potwierdził, że nie mamy pieniędzy, ten z miejsca oznajmił, że doskonale nadajemy się na bankrutów.

- Jaki to powinno mieć posmak? - pytam męża.

- Ulgi?

Przed wyjściem staje przy mnie w naszej sypialni, pod antresolą. Jest rosły i wysoki, i od razu mi lepiej.

- Klęski? - dodaje. - Upadku?

Pierwszy raz od dawna wspólnie odwozimy dzieci do przedszkola. Czuję wdzięczność, że jest mi to dane. Całuję je, przytulam. Pozwalam im oprowadzić się po salach, w których nigdy nie byłam, a one spędzają w nich całe dni.

- Powinniśmy częściej chodzić do sądu - szepczę do męża.

Uśmiecha się ze znużeniem. Cmoka dziewczynki w policzki.

Wokół widzę przede wszystkim matki: żegnają się, machają. Większość z nich mój mąż pozdrawia gestem lub skinieniem głowy; uśmiechają się do niego, ich dłonie wędrują w stronę włosów, ubrań albo dzieci, o ile mają je przy sobie. Na mnie patrzą z rezerwą.

Gdy czekamy na powrót mojego męża z toalety, na ławce przed salą, do której niebawem wejdziemy, żeby kontynuować czekanie na innych siedziskach, adwokat napomyka cicho, że ukończył literaturoznawstwo.

- Chciałem pisać - mówi. - Zostać badaczem. - Ostatnie słowo wypowiada tak, jakby pozostawało w sferze fantazji, jakby nikt siebie w ten sposób nie nazywał.

Uśmiecham się, gładzę kciukiem miękką połę bluzki, której nigdy nie spłacę.

- Był pan o krok od przepaści.

W pierwszą ciążę zaszłam przez przypadek. Nie uwierzyłam, że to prawda, póki nie zrobiłam sobie cyfrowego testu ciążowego w toalecie kawiarni, w której bywałam, gdy miałam dwadzieścia jeden lat. Uwierzyłam dopiero na widok wyświetlonego napisu, ale choć

wcześniej wyobrażałam sobie, że usunięcie ciąży przynajmniej przejdzie mi przez myśl, choć nie byłam wcale pewna, czy w ogóle chcę mieć dzieci – wiedziałam przecież, że nie mamy kasy, poza tym jeszcze studiowałam – mimo tego wszystkiego zapragnęłam jej z całego serca. Miałam cesarkę ze wskazań nagłych, a moje ubezpieczenie studenckie nie pokrywało kosztów cesarek, przynajmniej nie w całości. Zadłużyliśmy się w szpitalu na trzydzieści tysięcy dolarów, a ja całymi nocami karmiłam, chodziłam korytarzem z dzieckiem na rękach, jadłam garściami czekoladki, żeby nie usnąć, i zapominałam myć potem zęby. Dwa z nich leczyłam kanałowo, pod jednym pojawił się ropień, musiałam go usunąć i usłyszałam, że jeśli nie wstawię sobie nowego, z czasem zapadnie mi się żuchwa, wstawiłam więc sobie nowy ząb i koronę za dziesięć tysięcy dolarów. Za często zamawialiśmy posiłki, bo oboje pracowaliśmy i staraliśmy się nie płacić za opiekę nad dzieckiem. Mój mąż miał jeszcze do spłacenia ponad sto tysięcy kredytu studenckiego. Ja ciągle coś kupowałam: nowy laktator, bo pierwszy mnie wkurzał, kremy i maści, śpiworki, generatory szumu, osuszacz powietrza i różne rodzaje otulaczy, a wszystko po to, żeby pierwsze, a niespełna dwa lata później drugie dziecko zechciało w końcu zasnąć.

Samo moje ciało doprowadziło nas do ruiny. Ale z drugiej strony z niewielką pomocą stworzyło i donosiło dwie najcenniejsze istoty na świecie. Pozycja społeczna pozwalała nam wierzyć, że żyjąc poza układami i strukturami, zdołamy przetrwać, to nam się jednak nie udało.

Myślałam, że staniemy przed sądem, ale to żaden sąd. Znajdujemy się w niewielkim pomieszczeniu bez okien zastawionym rzędami smętnych, może i nieskładanych, ale tak czy owak ani stabilnych, ani wygodnych krzeseł dla interesantów. Na 10:30 umówiono w sumie osiem osób. Sześcioro z nas to klienci tego samego adwokata. Przed wejściem do właściwego pomieszczenia adwokat prowadzi nas do innego, podobnego, i przygotowuje wszystkich naraz. Ma

pochodzenie koreańskie, podobnie jak troje innych klientów, więc udziela nam wskazówek po angielsku i potem po koreańsku.

Kiwamy zgodnie głowami, a on wyprasza nas wszystkich za drzwi i wzywa już pojedynczo.

- U państwa sprawa jest prosta - mówi z uśmiechem. Ma czterdzieści parę lat i ciemną, gęstą, chłopięcą czuprynę, którą musi co chwilę odrzucać z twarzy. Ciekawe, czy myśli, że to *cool*, czy po prostu zapomina pójść do fryzjera.

- Czy w najbliższym roku na pewno nie dostaną państwo żadnego spadku? - pyta.

Patrzemy po sobie, mój mąż i ja, i kręcimy głowami. Nie pierwszy raz o to pyta.

- Na pewno - potwierdzam.

- I nie zamierzają państwo nikogo pozywać o odszkodowanie? Nie było żadnych obrażeń ciała?

Znów patrzemy po sobie, choć i o to już pytał.

- Nie, na pewno nie - odpowiadamy.

- Z mojej strony to wszystko - oznajmia.

Zwlekamy odrobinę za długo i musi nam wskazać głową drzwi, żebyśmy wyszli, a on mógł przyjąć kolejnego klienta, rodaka.

Czekamy na zewnątrz, a gość siedzący obok pyta nas o wiek naszych dzieci.

- Ja mam czwórkę, ale mieszkają z matką - opowiada. - Jebane darmozjady - dodaje ze śmiechem.

Ma na sobie dzinsy i trapery. Jestem tu jedyną kobietą. Chyba przesadziłam z elegancją.

Kiedy wchodzimy do ostatniego pomieszczenia, tego, w którym mamy zeznawać, nie mogę się opędzić od myśli, że pakujemy się w tarapaty. Nie mam telefonu, bo po tym jak przeszliśmy przez bramkowy wykrywacz metali, kazali nam je oddać. Cały ten budynek przeznaczono dla bankrutów, więc mimo że się tak odstawiłam, ochroniarze dobrze wiedzą, dlaczego tu jesteśmy. Nabieram

przekonania, że zadzwonią z przedszkola, a my nie odbierzemy; nie wiem, jak wyjaśnię, że nie możemy odebrać chorych dzieci, bo jesteśmy w sądzie upadłościowym.

Na pierwszy ogień idą mężczyźni mówiący po koreańsku. Dzwonią do biura tłumaczeń i proszą o połączenie z tłumaczem koreańskiego.

- Ale super - szepcze mój mąż.

Chyba tu i teraz nie powinniśmy myśleć, że cokolwiek jest super, ale mimo wszystko przytakuję.

Pierwsze dwie sprawy są proste. Kobieta, która zadaje pytania, jest średniaczką w pewien charakterystyczny dla kobiet sposób: ma przeciętny wiek, wzrost i wagę. Nijaka pod każdym względem. Pytania zadaje jednym i tym samym tonem, a na koniec mówi „życze powodzenia” i brzmi to jak wyuczona fraza, ale mam nadzieję, że to pozory, bo powtarza to codziennie wszystkim. Ma pociągłą twarz, długi nos i blond włosy w strąkach, bardziej przetłuszczone, niż można by się spodziewać wczesnym rankiem, ale z drugiej strony pomieszczenie jest fatalnie oświetlone, a ona pewnie spędza większość czasu we wnętrzach.

Współczuję jej tego i tej pracy w towarzystwie wszystkich tych ludzi i ich porażek. Sama do nich należę, ale mimo wszystko cieszę się, że nie jestem na jej miejscu.

Ostatni Koreańczyk stracił prowadzone ze współnikiem delikatesy w Midtown i tu procedury zaczynają się komplikować. Na miejscu jest inny adwokat, który ma zakwestionować jego upadłość, przedstawiciel banku, który udzielił mu drugiego kredytu hipotecznego na jego dom na Long Island. Drugi adwokat jest młody, chudy i ma na sobie osobliwie dopasowany garnitur. Nasłuchujemy uważnie, gdy kobieta zadaje więcej pytań niż dotąd, a wymieniane przez nią kwoty znacznie przewyższają te wcześniejsze.

Nasz adwokat, który reprezentuje również tego petenta, opiera się przedramieniem o stertę leżących przed nim dokumentów i z

powagą przytakuje koledze po fachu.

- Ale jest pan właścicielem domu, tak? - pyta kobieta.

Okazuje się, że mężczyzna wziął kredyt w wysokości miliona sześciuset tysięcy dolarów pod zastaw domu, żeby otworzyć delikatesy i bar sałatkowy, ale interes nie wypalił.

- W jakim stanie jest dom? - pyta przedstawiciel banku.

- Zły - odpowiada kredytobiorca. - Bardzo stary, bardzo zły. - Kręci głową.

Kontynuuje po angielsku, chociaż prosił o tłumacza; odpowiada jeszcze przed usłyszeniem przetłumaczonego pytania. Adwokat prosi go, żeby się wstrzymał, ale on ciągle przerywa. Młodzieniec z banku nie przestaje się wiercić. Kolano podryguje mu pod stołem. Bazgroli coś w brulionie: poszczególne pytania zamyka kołami lub kwadratami. Notuje wypowiedzi petenta.

- Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, proszę o kontakt z moją kancelarią - mówi nasz adwokat. - Odpowiemy na wszystkie pytania pisemnie w późniejszym terminie.

Przedstawiciel banku przytakuje, ale ciągle zerka na petenta wpatrzonego w milczący głośnik; tłumaczka już się poddała.

- Czy na akcie własności widnieje nazwisko pańskiej żony? - pyta adwokat z banku.

- Ona nienawiści - odpowiada mężczyzna. - Chce rozwodzić.

Kiedy przychodzi nasza kolej, siadamy na krzesłach, a kobieta prosi, żebyśmy się przedstawili, okazali dowody tożsamości i potwierdzili adres zamieszkania na podsuniętych formularzach. Zadaje nam połowę pytań, o których wspominał adwokat. Następnie adwokat poleca nam wstać i opuścić salę, i już stoimy za drzwiami, a mój mąż mówi, że trzeba coś zjeść, zanim wrócę do pracy.

Piszę na czacie do Sashy: „Ogłosiliśmy dzisiaj upadłość”. Wysłałam też wiadomość rodzicom, którzy opływają w gotówkę. Opływają w gotówkę, ale gdy kilka miesięcy temu powiedziałam tacie o naszym

położeniu i przyznałam, że potrzebujemy pomocy – choć dotąd o nią nie prosiłam i długo myślałam sobie: jebać ich i ten ich hajs, i byłam wkurzona i wredna – odpowiedział, że dawanie mi pieniędzy to jak wyrzucanie ich w błoto.

Nikt mi nie odpisuje, ani Sasha, ani rodzice. Następnego dnia, gdy jadę metrem do pracy i gapię się na młodą kobietę, która przesadziła z tapetą, odbieram wiadomość od taty: „To musiało być trudne”. Godzinę później pisze mama: „Jestem pewna, że wszystko się ułoży”.

Ciekawe, czy krewni, którzy usiłują się nawzajem kochać i zbyt długo im to nie wychodzi, umieją jeszcze słyszeć słowa inne niż te świadczące o niespełnieniu oczekiwań.

„Jestem w ciąży” – pisze Sasha o drugiej nad ranem.

Zastanawiam się, czy napisała to celowo, czy tak, jak ja wysłałam jej życzenia urodzinowe: nie bardzo wiedząc, co robię. Chciałam po prostu, żeby pamiętała, że jeszcze gdzieś tam jestem.

STUDIA: NADCIĄGNĘŁY JUŻ upały, ciężka duchota, miałam dziewiętnaście, a ona dwadzieścia lat, jechała trzy godziny ze swojej uczelni, żeby spędzić ze mną lato i ogoliła mi głowę na dachu szeregówki, w której mieszkałam z dwiema innymi dziewczynami; śmiała się, gdy całe kępy włosów spadały na werandę, a bzycząca w jej dłoniach maszynka, którą czułam na karku, dawała mi namiastkę nieobecnej od lat przyjemności. Rozmawiałyśmy o tym od tygodni: ja sobie zażartowałam, a ona to podchwyciła. Cieszyłam się, że ta perspektywa ją tak kręci; zamknięta w swoim pokoju na poddaszu zapomniałam, co to lekkomyślność, ona tymczasem wchodziła wtedy na jej kolejne poziomy.

Zdawało mi się, że będę miała w nosie swój późniejszy wygląd. Ze zdjęć, które znalazłam w Internecie, gdy pierwszy raz poruszyliśmy temat golenia głowy, patrzyły na mnie zabiedzone kobiety o wyrazistych rysach. Widocznie nie miałam tego w nosie, skoro je

wyszukiwałam. Widocznie pochłaniała mnie myśl o efekcie końcowym. Te kobiety były pozbawione nie tylko włosów, ale i pokory w spojrzeniu: Sinéad O'Connor, ofiary raka, Yael Stone. Wszystkie patrzyły w obiektyw szeroko otwartymi oczami. Wszystkie były wychudzone. Ich rysy uwydatniały się z całą bezczelnością, odsłonięte i ostre, nieskruszone; mogło się wydawać, że to raczej adresat spojrzenia potrzebuje osłony.

Tego, że moje rysy są drobne, a twarz sama w sobie szeroka i naga, w ogóle nie wzięłam pod uwagę. Starłam się nie myśleć o tym, że przybrałam na wadze i to, co jest i już pozostanie zbyt obłe, będzie takie tym bardziej. Ale potem włosy opadły na werandę, zmiotłyśmy je razem i pozostało mi tylko nosić dzianinowe czapeczki w środku parnego lata i starać się zapomnieć, że być może straszę przechodniów.

Ale nic to, ona mnie taką kochała. A najbardziej wtedy, gdy głaskała mnie nocą po plecach, bo płakałam z powodu byle błahostki, która mnie tego dnia dotknęła, i widziałam po niej, że mój płacz jest uprawniony i ważny, a ona sama będzie przy mnie bez względu na wszystko. Podtrzymywała mi dłońmi guzkowatą potylicę, mocno, pewnie i czule, i mówiła, mówiła, mówiła, aż zapadałam w sen.

To ją zawsze namierzali mężczyźni. Ja byłam przeszkodą, którą musieli pokonać. Udawali, że ich ciekawi, co czytam, żeby zobaczyć, jacy są uprzejmi i myślący. Dosuwali krzesła bliżej niej, a mnie słuchali jednym uchem. Co wieczór przynosiłyśmy do tego samego baru książki - tego lata połknęłam całą Woolf i całego Faulknera - i tak trwało kołowanie, kołowanie bez lądowania, w obecności nieobecnego, ze świadomością, że nie sposób dokładnie wyrazić, czego się chce, nie sposób połączyć się w pełni z drugim człowiekiem, ale i tak się próbuje. Czasem otwierała to, co właśnie przeczytałam, żeby potem móc o tym ze mną pogadać. To był pub irlandzki. Podawali purée ziemniaczane z zieleniną, placki kartoflane i gotowany bekon z kapustą, i po całym dniu głodowania

zamawialiśmy sobie do spółki solidny, gorący posiłek. Bywalcy składali się w połowie z podstarzałych mężczyzn, miejscowych, a w połowie ze studentów, którzy chcieli się wyróżnić na tle młodzieży stołującej się w modnych burgerowniach czy knajpie z owocami morza przy tej samej ulicy.

Ja czytałam, a ona trzymała przy sobie zamknięte książki i flirtowała z barmanem albo udawała, że nie widzi gapiących się mężczyzn. Ja przytakiwałam i czasem pozwalałam sobie na udawanie, że ci mężczyźni są zainteresowani moimi odpowiedziami na ich pytania. Kiedy przestawiali krzesła przodem do niej, wracałam do czytania. Ten kontrast zawsze mnie zdumiewał. Za dnia, same, czy to w domu, czy na ulicy, czułyśmy się jak dwie krople wody. Miałyśmy tyle samo lat, pochodziłyśmy z tej samej okolicy, byłyśmy jednakowo nieprzejeđnanymi i depresyjnymi molami książkowymi. Jeśli jednak chodzi o jej rysy, nieskazitelną cerę, duże oczy, to, jak leżały na jej ciele ciuchy – pod tymi wszystkimi względami wydawała się całkowicie odrębną istotą.

Prawie zawsze wracała ze mną do domu. Gdy nabijałyśmy się potem z tych mężczyzn, miałam poczucie, że podzielam ich desperacką potrzebę. O tyle o ile, bo to, czego pragnęli, dostawałam ja. Któryś nazwał mnie wredną lesbą po tym, jak chciał jej postawić piątą piwo, a ja poprosiłam, żebyśmy już poszły do domu. Atrakcyjny. Inteligentny. Była druga nad ranem. Odkąd przyszłyśmy, zdążyłam przeczytać całą powieść. Gdybym prosząc ją o wyjście, nie zrobiła takiej smętnej miny, pewnie by się z nim przespała. I gdyby nie usłyszała, jak tę prośbę skwitował.

Za dnia zapominałam o tym wszystkim. Moje współlokatorki wróciły do rodziców i od miesiąca miałyśmy dom dla siebie. Wstawałyśmy rano i szłyśmy mostem Harvardzkim do Bostonu. Nosiłyśmy T-shirty, staniki sportowe, bawełniane szorty i japonki, dokładnie tak samo jak w swoich rodzinnych stronach. Przed moim domem rosła morwa i zbierałyśmy na drogę owoce, a potem wyjadałyśmy je z dłoni i kieszeni. Na Central Square wstępowałyśmy

na kawę. Sasha kupowała ciasto czekoladowe, ale zawsze trochę zostawiała. Ja brałam quiche i dojadłam po niej ciasto. Piłyśmy kawę za kawą. No i gadałyśmy. Gadałyśmy bez końca. O książkach, które właśnie czytamy, o tym, czego chcemy, potrzebujemy, bez czego nie możemy na tym etapie żyć. Teraz myślę sobie, że forma i wydźwięk naszych pragnień były typowe dla dziewiętnasto- i dwudziestolatek. Sasha zawsze chciała być kochana i pożądana. Ja chciałam być kimkolwiek, byle nie osobą, którą wtedy byłam. Kiedy robiło się za gorąco i ogarniało nas zmęczenie, szwendałyśmy się po suterenach antykwariatów. Przy Newbury Street kupowałyśmy lody, a na bulwarach obserwowaliśmy turystów, którzy z okrzykami zdumienia wskazywali sobie pływające po rzece Charles amfibie. Chodziłyśmy do kina; czasem przemyślałyśmy w torebkach masę jedzenia i zostawałyśmy tam na długie godziny: z jednej sali przekradałyśmy się do innej. W ciągu sześciu godzin oglądałyśmy trzy czy cztery filmy, po czym wytaczałyśmy się otumanione i wyczerpane, i tak mijał nam cały dzień. W tych najlepszych czasach zapominałam, że jesteśmy odrębnymi istotami. Nasze słowa i pragnienia, i kończyny zlewały się w jedno. Kiedyś w kawiarni podszedł do nas jakiś mężczyzna, położył przed nią karteczkę z jej naszkicowanym ołówkiem portretem oraz podpisem „Nie mogłem się napatrzeć” i tyle go widziano. Trzech baristów zaprosiło ją na randkę. Ja przybrałam na wadze, miałam długie przerwy w bieganiu i przestałam się mieścić w szorty. Nadal chodziłam z łysą głową i ludzie czasem się gapili, ale najczęściej umiałam zniknąć, tak w rozmowie, jak i w lekturze. Dokupiłam sobie szortów i nosiłam stare, workowate bluzy z podwiniętymi rękawami.

Płaciłam ja. A właściwie moi rodzice. Zamieszkała u mnie na poddaszu do czasu, aż sobie coś znajdzie, ale w ogóle nie szukała. Miała sobie znaleźć pracę, ale tego nie zrobiła. Ja – jak zawsze – miałam kartę na codzienne wydatki i to z niej korzystałyśmy. Czasem napomykała, że jej głupio z tego powodu, ale ja oponowałam i nie pozwalałam jej się nad tym rozwodzić. Nie chciałam zostać bez niej

na dłużej. Czynyś i tak musiałam płacić, a jadła jak ptaszek. A alkohol stawiali jej mężczyźni.

Któregoś wieczora wybrałyśmy się na kolację. Włożyłam zieloną bawełnianą sukienkę na ramiączkach, jeszcze z czasów licealnych. W niedoświetlonym mieszkaniu wydawało mi się, że dobrze leży, ale się myliłam. Sasha miała na sobie wydekoltowaną podkoszulkę z czarnego jedwabiu i idealnie przylegające spodnie. Pomocnik kelnera ciągle dolewał nam wody. Nawet gdy przestałam sięgać po swoją, żeby już nie przychodził, zawsze znalazł jakiś pretekst: wymieniał sztucce, podawał złożoną serwetkę, gdy ta spadła jej z kolan. Był po barbarzyńsku przystojny: młodszy od nas, barczysty, ciemnowłosy, o uderzająco błękitnych oczach. Przy pierwszym daniu udawała niewzruszoną, ale przecież spędzałyśmy razem całe dnie, wszystkie wieczory i poranki. W kółko rozmawiałyśmy o tym samym. Widziałam, jak jej ciało się ku niemu zwraca. Pozwalała mu na siebie patrzeć. Gdy w końcu przemówił, usłyszałyśmy rdzenny południowobostoński akcent:

- Donieść chleba?

Zostawił jej liścik, długopisem pożyczonym od kelnera napisał swój numer i pytanie „Napijemy się?”. Miałam jeszcze nadzieję, że potem się z tego uśmiejemy. Myślałam jeszcze, że jeśli nie będę zwracała na niego uwagi, to i ona tego nie zrobi.

- Fajnie będzie - powiedziała. - Chodźmy razem.

Nie chciałam. Wyczuwałam między nimi inny rodzaj energii niż zwykle. Wyczuwałam, że ona nie tyle przyzwalała na to, by na nią patrzył, ale wręcz się tego domaga; dotarło do mnie, że z nim pójdzie, że nie zdołam jej przekonać. Chciało mi się wyć i krzyczeć, i zawinąć nas obie w obrus, dopóki nie dotrzemy do domu, gdzie nie dopadną nas niczyje oczy, dłonie, długopisy czy zaproszenia na kolacje i drinki.

- Chcę wracać - powiedziałam.

- Dobra - odparła. Bardzo stanowczo.

Wyszłam, a ona została. Podrzucił ją do mojego mieszkania nazajutrz przed południem. Przez całe tygodnie znikła na wiele dni

i spędzała czas z nim. Gdy nie leżała w łóżku naprzeciw mojego, zawsze wiedziałam, gdzie spędza noc.

Przy mnie czasem go wyśmiewała.

- A ta jego pościel - mówiła z grymasem na twarzy. - Założę się, że nigdy jej nie prał.

Udawała obojętną. Próbowwała mnie przekonać, że to ja jestem nadal najważniejsza. On wyleciał z liceum, mieszkał z kuzynem w Południowym Bostonie, żył bez konkretnego celu. Mówiła, że gdy ją rucha, tuż przed wytryskiem wpada w gniew, a ona lubi dotyk jego tyłka pod palcami, napiętego i drobnego w porównaniu z resztą ciała. Dwa razy pokazywała mi siniaki, które zostawił jej na ciele. Powoli przesuwałam po nich dłońią; jeden widniał na ramieniu, drugi tuż pod brodą, plamy - fioletowe, groźne, podbarwione gdzieś błękitem i brązem - odznaczały się wyraźnie na tle jej skóry, nawet latem białej i pozbawionej widocznych porów. Tą samą dłońią sięgałam później powoli w głąb siebie i pozwalałam sobie na wspomnienie jej dudniącego pulsu; widziałam, jak się ruchają, wyobrażałam sobie, jak napiera na mnie ten twardy, groźny tyłek.

Po miesiącu przestał oddzwaniać. Udawała, że jej to nie rusza. Potem powiedziała, że może być w ciąży. Nie chciała sobie zrobić testu, ale nagrała mu wiadomość. Poszłam do apteki i kupiłam jej test, ale nawet go nie wzięła. Leżała przy mnie na łóżku zwinięta w kłębek i ścisnęła kurczowo telefon. Kiedy po tygodniu nadal nie dzwonił, a ona ciągle mu się nagrywała: ostrzegała, mówiła, że sama się tym zajmie, tylko nie ma teraz pieniędzy (wiedziałam, że to nieprawda, poza tym zaproponowałam, że zapłacę za aborcję kartą kredytową rodziców), w toalecie pod najnowszą gazetą znalazłam zużyty tampon. Poza nami w domu nikogo nie było.

DZWONIEŃ DO PRACY powiedzieć, że jestem chora, i umawiam się z chilijską pisarką na śniadanie w dinerze w Village. Kończy się

miesiąc, dopiero zapłaciliśmy ratę kredytu i chesne za przedszkole dziewczynek, a czarodziejska karta już nie działa. W połowie śniadania dociera do mnie, że nie stać mnie na ten posiłek.

- Nie mam z czego zapłacić - mówię na głos, naraz spłoszona.

Chilijska pisarka prostuje się i uśmiecha do mnie. W Stanach jej książki nigdy nie sprzedawały się zbyt dobrze, ale wyrobiła sobie markę za oceanem.

- Ja mam - mówi.

- Materializowałyśmy się na dwa różne sposoby - opowiadam jej o Sashy. - Ona się pokazywała, a ja nie. Wtedy nie całkiem jeszcze rozumiałam, jak ograniczoną ma moc. Nie rozumiałam, że jej moc jest zależna od tego, czy inni jej pragną.

- A ty? - pyta. - Twoje pragnienia?

Pisarka ma duże oczy, dodatkowo powiększone przez szkła okularów. Oprawki są grube, okrągłe i czarne, dominują na jej twarzy.

- Teraz wiem, że robiłam wiele, by być niewidoczną, bo to mi dawało poczucie bezpieczeństwa.

Kelner dolewa nam wody. Odkąd przyszliśmy, diner zdążył się zapełnić i opustoszeć. Nie wiem, po co o niej mówię. Było, minęło. Nie chcę opowiadać oklepanej historii o ukochanej i utraconej przyjaciółce. Chcę mieć za sobą to, od czego uciekałam - lub sądziłam, że uciekałam - gdy wiele lat temu wyjechałam z Florydy.

- Straciłam kontakt z rzeczywistością - mówię. - Odsunęłam się praktycznie od wszystkiego poza nią.

- Nie całkiem bezpiecznie - zauważa pisarka.

- Jasne - odpowiadam. - Ale niebezpieczeństwo, na które narażamy się sami, to inna bajka.

Sączymy kawę za kawą, a ja dostaję w tym czasie siedem maili z pracy. Dwudziestoczterolatek nie mógł znaleźć tekstów, które miał rozdać uczniom, więc puścił im film, a moje dwie współwychowawczynie musiały interweniować w związku z bójką

dwojga dzieci, które uczę. Mąż wysyła wiadomość z pytaniem, jak mi mija dzień w pracy, a ja odpisuję, że dobrze, i pytam, co u niego.

„Gratki” – odpisuję Sashy w drodze do domu, po wielu godzinach. Ona oczywiście nie odpowiada i czuję się jak kretyńka.

3

DZWONI BUDZIK, SCHODZĘ po drabince, chwytam telefon, wyłączam i wkładam pod poduszkę. Zamykam z powrotem oczy. Przesuwam budzik na 5:00, potem na 5:30. Bolą mnie łydki, szyja i krzyż. Mój mąż jeszcze śpi, a ja gramolę się na środek łóżka, przysiadam na piętach, wyciągam przed siebie wyprostowane ręce, przyciskam czoło do prześcieradła i powoli oddycham.

Zamiast czternastu kilometrów przebiegam siedem, a potem spieszę się i stresuję. Nasza czterolatka zmoczyła się w nocy, a dwulatka płacze: przywiera do moich rąk i nóg, ciągnie mnie za sweter i wyciera nim zasmarkany nos, usta, brodę, krzyczy, że nienawidzi mojej pracy, że mam z nią zostać.

- Muszę chodzić do pracy - przekonuję. - Dorośli muszą pracować. Żeby mieli za co żyć.

- Leć, leć - mówi mój mąż, który pakuje im śniadaniówki, robi śniadanie, myje czterolatkę pod prysznicem, zmienia pościel. - Puść mamę - zwraca się do dwulatki.

- Chcę iść z tobą do pracy - mówi ona. - Mleczko.

- Musisz lecieć - dodaje mój mąż.

Jeszcze przez minutę tulę dwulatkę, swetrem ocieram jej twarz, przypominam o oddychaniu.

- Widzimy się wieczorem - mówię i od razu zdaję sobie sprawę, że to nieprawda. Jest czwartek i kiedy wrócę do domu, dzieci będą już dawno spały. Staram się tego nie robić: mówić im, że gdzieś będę, skoro mnie nie będzie. Staram się nigdy nie obiecywać im tego, czego nie będę w stanie dać. Ale już za późno, muszę lecieć, a ona nadal płacze.

Czterolatka wychodzi ze swojego pokoju bez majtek i nie wypuszczając z objęć małej, biorę na ręce też ją, żeby pomóc jej znaleźć bieliznę i legginsy.

- Spóźnisz się - mówi mój mąż.

Ubieram czterolatkę, całuję ją i tulę, oddaję mężowi czerwoną od płaczu dwulatkę. Jeszcze jeden uścisk i spóźniam się na pociąg.

Dostaję wezwanie do kierownika i przez głowę przebiega mi myśl, że dwudziestoczterolatek na mnie doniósł. Wychodzę co najmniej dwa razy w tygodniu. Wątpię, żeby ktoś mnie widział, ale też jakoś specjalnie się z tym nie kryję. Wychodzę ubrana, z torebką, najczęściej w porze lekcji, kiedy korytarze są raczej puste. Kiedy mijam współpracowników, zakładam, że myślą, że idę na kawę lub późny lunch. Dwudziestoczterolatek dwukrotnie napisał do mnie na czacie Google, gdy byłam w metrze albo już na Brooklynie, i wymyślałam na poczekaniu coś o dzieciach.

Trzy razy musiałam prosić swoje współwychowawczynie, żeby mnie kryły. Zwaliłam wszystko na dzieci. A koleżanki okłamują dlatego, że nie wychodzą wcześniej, choć ta praca frustruje je równie mocno jak mnie.

Nim sekretarka zdąży mnie wprowadzić do kierownika, widzę, że w pobliżu gabinetu kręci się dwudziestoczterolatek. Przygotowuję się psychicznie na spojrzenie, którym obdarzy mnie w domu mąż na wieść, że straciłam tę pracę, w dodatku z własnej winy. Zastanawiam się, czym wytłumaczyć swoje wyjścia, ale prawda jest taka, że wychodzę, bo chcę, a tego, zdaje się, nie mogę powiedzieć głośno, jeśli mam zachować posadę.

Ale kierownik chyba nie wie, że wychodzę w środku dnia. Tłumaczy mi spokojnie, że pora zacząć realizować podstawę programową pod kątem testów, że okres, w którym uczniowie mogli się zajmować czymś innym, już dawno minął. Informuje mnie, że nie mam kwalifikacji w tej dziedzinie i w związku z tym nie będę już uczyć dzieci, które uczyłam od jesieni.

Przypominam mu, że przez lata przygotowywałam uczniów do testów.

- Ale nie szkoliła się pani u nas - odpowiada i dodaje, że sprowadzają nauczycieli z gimnazjum.

- Gimnazjum? - pytam z nieskrywaną pogardą.

- Wyrozumiałość nie jest pani najmocniejszą stroną - oznajmia.

No nie.

Podczas rozmowy cały czas je zupę, macza w niej wielką pajdę chleba i odgryza po kawałku. Siedzi rozwalony, z kostką jednej nogi opartą o kolano drugiej, i uśmiecha się, gdy mówię.

- Przecież dzieci się uczą - przekonuję.

Czuję, że zaraz się rozplączę, ale nie, nie chcę płakać w obecności tego mężczyzny, którego uważam za dziecko.

Kierownik wyjaśnia, że nie on podjął tę decyzję.

- Polecenie z góry - dodaje. - Nie miałem nic do gadania.

Kocham swoich uczniów, czuję smutek i złość, choć wiem, że zdarza mi się wychodzić bez wyraźnego powodu, a to w najlepszym wypadku czyni tę miłość wątpliwą. Oznajmiam szefowi, że moim zdaniem to błędna decyzja, on zaś patrzy na mnie beznamiętnie i nic nie mówi. Odgryza kawałek umoczonego w zupie chleba i na brodzie ląduje mu na chwilę okruch. Oboje udajemy, że nie płaczą. Nie cierpię tej pracy z wielu powodów i nie odchodzę tylko ze względu na uczniów.

- Nauka polega przede wszystkim na zaangażowaniu - mówię.

Przytakuje.

- A oni się angażują.

Próbuję mu przekazać, że myślą samodzielnie i że bardzo im się to podoba. Że gdy mnie zatrudniał, zależało mu, by uczniowie myśleli.

Odpowiada, że jest wdzięczny za mój „wysiłek na rzecz dzieci i wdrażania tej wizji”. Od teraz będę uczyła w innych klasach, takich, które według niego również mnie potrzebują, takich, na które według mnie machnęli już ręką. Dostanę uczniów ostatnich klas, którzy albo

już dostali się na studia, albo nie, w każdym razie mają za sobą wszystkie możliwe testy.

Nie płaczę, teraz się uśmiecham. Pewnie myśli, że mnie przekonał do planu, którego nie akceptuję, ale tak naprawdę chodzi o to, że zaplamił sobie koszulę i krawat zupą, o to, że gdy próbuje mi udowodnić, że wszystko jest w porządku, jego mina zdradza zarazem powagę i niepokój, jak u chłopaczka z grupy maluchów, któremu moja córka przydepnęła palce u stóp w kolejce po obiad, bo – jak mi później wyznała – nie wiedziała, jak go inaczej skłonić, żeby posłuchał pani i przestał gadać.

Wychodzę od kierownika i trafiam prosto na dyżur. Dyżurowanie na korytarzu polega na siedzeniu przy stole i obserwowaniu uczniów krążących między klasami i toaletami. Czasem uczniowie zagadują mnie i żartują, a wtedy muszę ich odprawić. Ci, którzy mnie znają, nie dają się łatwo zbyć i rozmawiamy o wybranych przez nich przedmiotach albo bieżących spięciach klasowych. Darzą mnie największym zaufaniem, jakim można darzyć białych nauczycieli: są mili, życzliwi i często żartują, ale też zachowują ostrożność.

Po dwudziestu minutach odbieram na czacie wiadomość, że Kayla zaginęła. Zaglądam do łazienki na trzecim piętrze i widzę jej buty, znów zwrócone czubkami do środka.

- Kayla? - pytam.

Stoi w dużej kabinie dla niepełnosprawnych, otwiera drzwi i gestem zaprasza mnie do środka. Oglądam się za siebie, bo nie wiem, czy powinnam coś takiego robić, ale nie wiem też, czy mnie to w ogóle obchodzi. W tej chwili jestem średnio zaangażowana w utrzymanie tej posady.

- W porządku? - pytam.

Kayla kiwa głową, żebym weszła. Na ramieniu ma obsunięty bandaż.

Wchodzę, a ona zamyka za mną kabinę. Siadam obok niej.

- W porządku? - powtarzam.

Kiwa głową.

- Co to?

Mówi, że matka dostrzegła na jej twarzy siniak w miejscu, w którym uderzył ją chłopak, a gdy dowiedziała się, co się stało, wzięła ją do lekarza i kazała wszczepić implant antykoncepcyjny.

- Ale ja mu oddałam - dodaje. - Moja matka pozwala, żeby faceci podnosili na nią rękę, ale mój już się nie odważy.

- Mogę? - pytam, wskazując jej rękę.

Zdejmuję ostrożnie bandaż, zwijając go w dłoniach. Przykładam do widocznego pod skórą pręcika i zakładam na nowo, pytając przy każdym okrążeniu, czy nie za mocno zaciskam.

- Jest okej - odpowiada stale, więc zawijam bardzo szczelnie, obserwując jej minę.

- Może być? - pytam na koniec.

- Jest okej - powtarza.

Przez trzy dni z rzędu piszę wiadomości do chilijskiej pisarki, a ona nie odpowiada i zaczynam się naprawdę denerwować. Dzwonię, piszę maile i boję się, że albo coś jej się stało, w sensie fizycznym, albo że ją niechcący spłoszyłam. „Bardzo cię przepraszam” - odpisuje piątego dnia. „Syn mnie odwiedził i dużo się działo. Wszystko gra?”

W następny czwartek wychodzę wcześniej z pracy, ostatnio robię to jeszcze częściej. Odebrał mi uczniów i myślę sobie, że jak mnie teraz przyłapią, to będę miała coś do powiedzenia.

Jadę na uczelnię, na której prowadzę wieczorowe zajęcia. Mam jeszcze czas i liczę, że uda mi się znaleźć wolny gabinet i poczytać. W małej kawiarni u podnóża schodów prowadzących do gabinetów wydziałowych dostrzegam dziewczynę, która kilka tygodni temu napisała do mnie maila z prośbą o spotkanie.

- Kate - mówię, chwytając ją za ramię. - Słonko - dodaje niezamierzenie matczynym tonem. - Nie spotkałyśmy się w końcu.

Czerwieni się, rumieniec występuje jej na odkryte jak zawsze ramiona, na pyzate policzki.

- To nic takiego - mówi.

Jest ze znajomymi, chudym chłopakiem w zbyt dużych okularach i wysoką, śniadą dziewczyną, której nigdy wcześniej nie widziałam. Oboje patrzą to na mnie, to na nią. Tutaj często biorą mnie za studentkę, nie dlatego, że tak młodo wyglądam, ale dlatego, że nie mam władczej aparycji i nikt nie wie, kim jestem i co tam właściwie robię. Wpadam i wypadam, prowadzę zajęcia i poza tym z nikim się nie zadaję, bo nie jestem pewna, dlaczego ktoś miałby zechcieć słuchać tego, co mam do powiedzenia. Podobnie czułam się już jako studentka tej renomowanej placówki: jakbym nie do końca na nią zasługiwała, jakby w każdej chwili ktoś mógł do mnie podejść i kazać mi się wynosić.

- Chodźmy na górę - mówię do Kate. - Namierzę jakiś gabinet.

Zerka na znajomych, drobny chłopak wpatruje się w swoje buty.

- Najwyżej mnie dogonisz.

Kate przez ramię ma przewieszoną kurtkę, a przez pierś wielką torbę. W jej sposobie bycia jest pewna nonszalancja, którą podziwiam, podobnie zresztą jak u Sashy. Ona zawsze bez skrępowania zaznaczała swoją obecność.

Choć przyjechałam za wcześnie, pytam młodych ludzi za kontuarem o pokój. Przepraszam za kłopot. Pierwszą godzinę dyżuru spędzam zwykle w gabinecie z prawdziwego zdarzenia, ale potem przejmuje go jakiś etatowiec, i drugą godzinę spędzam w kantorku załadowanym stertą krzesel.

- Macie coś wolnego? - pytam.

Dziewczyna, która kseruje mi materiały i zawsze się uśmiecha, podnosi się z miejsca. Skończyła prawo i pracowała wcześniej w zawodzie.

- Czteryście trzynaście - mówi.

To większy pokój, ten bez połamanych krzesel. Uśmiecham się do niej z wdzięcznością.

- Co nowego? - pytam po zamknięciu drzwi.

Dziewczyna przewiesiła kurtkę przez oparcie i usiadła, wyładowana torba zwała jej się na kolana.

- No wie pani... dzieje się - odpowiada.

Na jej skórze znów pojawiają się wypieki i zastanawiam się, czy nie jest jeszcze młodsza, niż podejrzewałam, czy nie jest jakimś nastoletnim cudownym dzieckiem.

- Chciałaś pogadać, tak? - pytam.

- To nic takiego. Było, minęło. Spotkało mnie coś dziwnego.

- Aha... - mówię.

Opowiada, że poszła na imprezę ze znajomymi z roku.

- Upiłam się - mówi i spuszcza wzrok na leżącą na kolanach torbę.

- Uhm...

- Rozmawiałam z takim jednym typem. Spytał, z czego piszę pracę i kto jest moim promotorem. Odpowiedziałam, a on na to, że jego promotorem był gość, o którym słyszałam.

„O którym słyszałam” brzmi tak, jakby znaczyło coś więcej.

- Powiedziałałam mu, że ten koleś odnosi się chamsko do dziewczyn.

- Uhm...

- Tylko że... - Na ramiona znów występują jej czerwone plamy, ujmuję zza ucha kosmyk włosów i zaczyna go skręcać. - ...słyszałam, że ten gość jest oblechem, i powiedziałałam to temu kumpłowi. A on na to, że nie, że to taki flirciarz, ale ma dziecko, więc spoko.

Parskam śmiechem, choć pewnie nie powinnam.

Gabinet, w którym siedzimy, jest niewielki, a wszystkie książki ustawione na regale za jej plecami napisał inny wykładowca, znacznie starszy mężczyzna, który ma etat na uczelni, ale tutaj nigdy się nie pokazuje.

- Ale się wkurwiłam - mówi studentka. - Wie pani, jakby go to nie obchodziło! Jakby to, że jakiś typ odnosi się chamsko do dziewczyn, w ogóle mu nie przeszkadzało.

Niby wiem, ale nie wiem. Jestem o dziesięć lat starsza i gdyby chodziło o mnie, GDY chodziło o mnie, po kontakcie z takim gościem rozmyślałabym o tym tygodniami, miesiącami, ale nigdy nikomu bym o tym nie opowiedziała. Tuż po spotkaniu doszłabym do wniosku, że nie lubię tego typu. Odnotowałam w myślach, że przyjaciółmi to nie będziemy. W głębi duszy czułam się zażenowana swoją wrażliwością i swoim dyskomfortem. Przez cały ten czas czułam się bardzo nieważna i bardzo smutna.

- Chciałam, żeby go to ruszyło - mówi. - A on mnie zgasił.

Jest pulchna, delikatna i urocza, i najchętniej bym jej powiedziała, że wszystko będzie dobrze, że nie ma co drażnić. Nie chcę być kolejną osobą, która twierdzi, że to nic wielkiego, ale też nie jestem pewna, czy przypadkiem tak nie jest.

- Zadzwoiłam do koleżanki z innej uczelni, na której też wykładał - mówi i dodaje, że jej znajomą próbował pocałować podczas dyżuru w gabinecie. - Jeszcze inna ich znajoma pracowała u niego jako opiekunka do dziecka. I ją też próbował pocałować. Zwyról - dodaje, bardziej do siebie niż do mnie.

Myślałam, że chce się tylko wygadać, ale urwała i patrzy na mnie wyczekująco.

- Niezły syf - mówię.

Nie chcę jej przekonywać, że to norma. Nie chcę jej mówić, że tak już jest, choć to prawda.

- Delikatna sprawa - dodaję.

Błąd, od razu mam ochotę ją przeprosić.

- Moja kumpela mówi, że nie powinien wykładać - odpowiada.

- Mogę jakoś pomóc? - pytam. - Chcesz mi powiedzieć, jak się nazywa?

Wymienia nazwisko, a ja myślę przez chwilę i już jestem w domu: gładko wygolona twarz, niska, przysadzista sylwetka. Ten człowiek ma ubezpieczenie zdrowotne, umowę tymczasową, ale i tak pewniejszą niż moja, i zastanawiam się przez moment, czy nie mogłabym przejąć po nim posady.

- Mnie nic nie zrobił - dodaje. - Nigdy z nim nie rozmawiałam.

Przypominam sobie wszystkie historie z czasów studenckich, to, jak relacjonowałyśmy je sobie szeptem, a mnie było wstyd, że żadna z nich nie przypadła mi w udziale.

- Znasz kogoś, kto doświadczył tego osobiście? - pytam.

- Jego studentki go nie lubią.

- Nie mam pewności...

- Nieważne - urywa.

- Nie chciałabym... - zaczynam. - Co mogę zrobić?

- Chciałam tylko komuś powiedzieć, jakie to okropne uczucie.

- Niezły syf - mówię po raz tysięczny.

- Czemu ten chłopaczek uważał, że to okej?

- Nie wiem - odpowiadam. - Gdyby któraś z twoich znajomych wiedziała coś więcej, powinnyście komuś powiedzieć.

Kiwa głową, wypieki nie ustępują, składa kurtkę na kolanach, jeszcze czeka.

Przecież powiedziała mnie.

- Muszę się zastanowić - mówię. - Napisz maila, jeśli uznasz, że mogę jakkolwiek pomóc.

Po zajęciach odnajduję Melisę, starszą ode mnie i bardzo błyskotliwą szefową wydziału. Zdobycie tej posady kosztowało ją wiele wysiłku i nadal zdaje się graniczyć z cudem. To ona mnie zatrudniła. Przed końcem każdego semestru piszę do niej maila z pytaniem, czy mogę pracować dalej, a ona natychmiast odpisuje: „Tak, oczywiście, coś się znajdzie”.

- Proszę - mówi. Zawsze tu siedzi. Przedłuża dyżury. Kiedy tu studiowałam, zaglądałam do niej raz w tygodniu.

- Jak tam zajęcia?

Chcę jej streścić rozmowę ze studentką, ale nie wiem, co powiedzieć, czy w ogóle jest o czym mówić.

- Jestem zmęczona - mówię.

- Oni potrafią wyssać energię - odpowiada.

Przypominam sobie maile, które pisałam do niej w czasach studenckich: pytałam, czy mogę wpaść na kawę, ale tak naprawdę prosiłam, żeby mi powiedziała, że dam radę, że warto, że jestem wyjątkowa i wszystko będzie dobrze.

- Co u ciebie? - pytam. Zdaję sobie sprawę, że chyba nigdy jej o to nie pytałam i to okropne z mojej strony. A jeśli pytałam, to nie chciałam słuchać odpowiedzi, nie oczekiwałam jej.

Uśmiecha się cierpko wąskimi wargami i mruży lekko oczy.

Ma kręcone rude włosy, luźno związane, kilka pasm okala jej twarz.

Spuszcza wzrok na dłonie o paznokciach pociągniętych ciemnoniebieskim lakierem. Na środkowym palcu prawej dłoni ma pierścionek z dużym opalem, ubrana jest w ciemnoniebieski golf i czarne spodnie. Uśmiecha się ponownie, ale tym razem wargi zwijają jej się do środka.

Gdy podnosi wzrok, po uśmiechu nie ma śladu.

- Kurwa, sunia mi zdycha.

Zakładam nogę na nogę i zaciskam dłonie na kolanie.

- Bardzo mi przykro.

Kręci głową.

- Nikt mnie jeszcze dzisiaj nie pytał, co u mnie, więc teraz masz za swoje. Stuknęła jej dwudziestka - mówi. - To dużo. Jak na psa cała wieczność. - Patrzy na mnie i prycha, w założeniu chyba śmiechem. - Wiem, że to pies i nie powinnam się tak przejmować.

Melissa pracuje tu najpilniej ze wszystkich. To ona pisze większość listów polecających i zamieszcza najobszerniejsze komentarze do prac studentów. Kiedy obroniłam doktorat, zabrała mnie na kawę, położyła dłoń na mojej dłoni i powiedziała, że jest ze mnie dumna.

- Z nikim innym nie byłam tak długo związana.

Ma pięćdziesiąt parę lat, a może jest trochę po sześćdziesiątce, nigdy nie wyszła za mąż.

- Rak i artretyzm. Gorzej być nie mogło - mówi i znów próbuje się śmiać. - Ja pierdolę, ona jest już naprawdę stara.

Nie zdjęłam jeszcze kurtki i rozpinam ją teraz powoli, żeby nie myślała, że chcę wyjść i ją zostawić.

- Weterynarz już dwa tygodnie temu chciał ją uśpić.

Patrzy na drzwi ponad moim ramieniem, a ja wyglądam przez okno, żeby nie musiała się obawiać, że nasze spojrzenia się skrzyżują.

- Męczę ją, bo nie wyobrażam sobie, że wracam do domu, a jej tam nie ma.

Nazajutrz rano znów przesypiam porę pobudki, ale pokonuję zaplanowany dystans, więc kiedy myję się i ubieram, dzieci są już na nogach.

- Mama! - wrzeszczy w łazience czterolatka, gdy biorę prysznic. - Mama, podetrzesz?

Zrobiła kupę, a nie cierpi mycia rąk, więc zawsze prosi kogoś o podtarcie, żeby pominąć ten etap.

Wychyłam się spod prysznic, urywam kawałek papieru i ją podcieram. Cmoka mnie w mokry policzek, a potem się krzywi, patrzy na mnie i jej rysy tężeją.

- Jesteś mokra - mówi.

W niedzielę wczesnym rankiem dzwoni mama. Nie kontaktowałyśmy się od naszej wizyty w sądzie upadłościowym. Na Florydzie byliśmy ostatnio po narodzinach czterolatki. Trzy miesiące przed urodzeniem drugiego dziecka powiedziałam rodzicom, że musimy zerwać kontakt, co ich uraziło i przygnębiło.

Wcześniej przez długi czas żadna rozmowa nie mogła się obyć bez kłótni. Przez telefon każde z nas - ja i to z nich, które akurat zebrało się na odwagę i do mnie zadzwoniło - próbowało postawić na swoim. Nie umieliśmy rozmawiać inaczej, niż tylko się licytując: kto wie lepiej, kto jest mocniej i dawniej zraniony, kto tak bardzo się stara, a druga strona nie stara się wcale. Byłam w ciąży, miałam małe

dziecko i ciągle wymiotowałam; pracowałam w czterech miejscach. Oznajmiłam im, że na razie mają przestać do mnie dzwonić.

Minęły dwa lata i niewiele się zmieniło. Nie znaleźliśmy porozumienia. Urodziłam córkę i czułam się winna. Dzień po porodzie wysłałam im jej zdjęcie. Powoli, stopniowo zaczęliśmy znów rozmawiać. Nadal są wkurzeni. Teraz mama dzwoni i mówi, że chcą się z nami spotkać, „zobaczyć dzieciaczki”. Dwulatki jeszcze nie poznali. Mama proponuje, że kupi nam bilety lotnicze na ferie wiosenne.

Nie chcę się zgadzać i wiem, że nie zostanie to dobrze przyjęte. Mój mąż ma robotę na Long Island, a ja nie mogę przyjechać. Myślę odruchowo, że to moi rodzice i ich kocham, myślę, że może teraz, z dziećmi, w słońcu, nad oceanem, gdy oni będą spędzać większość czasu w pracy, a ja postaram się być lepszą córką, pójdzie nam lepiej niż wcześniej.

Tu chodzi nie tyle o konkretną historię, co o ich zbiór, całokształt naszego współistnienia. Tu, w odróżnieniu od większości książek, które czytałam przed rozpoczęciem studiów doktoranckich, brak wyraźnego związku przyczynowego. Tu chodzi o to, że nie wiemy, jak ze sobą rozmawiać, o ogólne poczucie, że prawidłowo dobieramy słowa, że naprawdę się staramy, tyle że one wcale prawidłowe nie są. Ogólne poczucie, że mówimy i myślimy to samo, ale całkiem inaczej to rozumiemy.

Moi rodzice zaczęli od zera i do wszystkiego doszli ciężką pracą, zawsze uważali zatem, że jeśli ktoś nie odnosi sukcesu, to dlatego, że sobie na niego nie zapracował. Kochali nas, śledzili nasze oceny, zawody lekkoatletyczne, klasowe rankingi i zwycięstwa w szkolnych debatach, miłość była zatem ściśle powiązana z wygraną, wartość człowieka zdawała się zmienna, przypadkowa, a my w każdej chwili mogłyśmy zawieść ich oczekiwania. Jedzenie jest w porządku, ale kto niechudy, ten wstrętny. Można mieć wady, ale nie wtedy, gdy ktoś może je dostrzec. To był fantasmagoryczny świat deklaracji,

których znaczenie trzeba było namierzyć i ocenić, bo ciągnęły się za nim warunkowość, sprzeczność i wszechobecna przypadkowość.

„Miałam depresję” – takie mogłoby być konkretne, sprecyzowane podłoże problemów. O tym, że miał ją też prawdopodobnie mój ojciec, nikt się nigdy nie zająknął. Przez całe życie patrzyłam, jak smutnieje i milknie, potem mama na niego wrzeszczy, a on wychodzi z pomieszczenia i przestaje się odzywać na wiele dni. Wtedy to było dla mnie normalne, że wchodzę do jego pokoju i błagam go, żeby wrócił, żeby wyszedł, a mamę proszę, żeby była dla niego miłsza, bo inaczej znów pokaże fochy, a gdy to nie skutkuje, gdy ona znów na niego krzyczy, a on wychodzi z domu, stoi na podwórku, zamyka się w garażu, zatrzymuje się na poboczu, wysiada i idzie przed siebie autostradą, błagam go, żeby nie odchodził.

A później: przestałam chodzić na treningi, przestałam chodzić do szkoły, coraz więcej piłam. W trzeciej licealnej w ciągu czterech dni uczestniczyłam w trzech wypadkach samochodowych, a kilka tygodni później trafiłam do szpitala z powodu zatrucia alkoholem. Odmówiłam chodzenia do szkoły i rodzice musieli mnie z niej zabrać. Nawet nie tyle źle się czułam, co nie miałam ochoty już robić tego, co chcą oni. Przez długi czas żyłam w strachu, znużeniu i przekonaniu, że całkowicie straciłam panowanie nad swoim życiem. Pod względem wychowawczym pewnie nie mieli łatwo. Z jednej strony omijali wzrokiem odbiegające od normy dziecko, trzymali mnie w ukryciu, a z drugiej późnymi wieczorami wpadali w istny szal.

On zgrywał ofiarę, ona się złościła. „Skoro mnie nie kochasz, to nie chcę dłużej żyć” – usłyszałam od niego. „Ty niewdzięczna gówniarno” – mówiła ona. „Jesteś nic niewarta, zjebałaś sprawę”. Takim językiem atakowała jego, gdy byłam mała, a teraz raczyła nim mnie.

Byli przerażeni i zrozpaczeni, wrzeszczeli i wygrażali. Nigdy nie wiedziałam, czy są po mojej stronie, czy nie. Kiedy byli, robili wszystko, co w ich mocy, walczyli o mnie, bronili przed trenerami i nauczycielami, błagali, żebym się poprawiła. A kiedy nie, w walce

o przewagę potrafili bez końca wyrzucać mi dosłownie wszystkie popełnione błędy, uszeregowane, zarejestrowane i przedstawione na nowo, żeby ukazać moje porażki w ich najczystszej postaci. A najgorzej, że nie wiedziałam. Nie wiedziałam, czy mogę znów ich spróbować pokochać, czy też najmniejsza oznaka tego, że ja potrzebuję, pragnę, proszę, zostanie potem użyta przeciwko mnie.

To były ryzykowne manewry werbalne; staraliśmy się dobierać słowa, ale wszystkie jakby trafiały w próżnię. „Kochajcie mnie, kochajcie, nie tak, przestańcie”. „Kochamy cię, daj się kochać”. Jakby każde słowo zawierało w sobie przeciwieństwo. Po nienawiści przynajmniej wiadomo, czego się spodziewać. A przy takiej miłości zapomina się czasem, że to nie miłość, że to same słowa i scenki bez pokrycia, a jednak człowiek się na to rzuca i myśli, że w ten sposób dostanie to, co powinna nieść ze sobą miłość.

Myślę, że gdybym ich spotkała na ulicy, uznałabym za całkiem zwyczajnych i nijakich, ludzi, jakich wielu. Skarłałych i trochę posepnych. Nie wzbudziłyby we mnie złości. Tylko dlatego, że są moim punktem odniesienia, jeśli chodzi o słowo „miłość”, jestem na nich tak wściekła, że wpadam w szal, ilekroć za bardzo się do nich zbliżam.

Na lotnisku mama płacze, ale nikt tego nie komentuje. Podnosi małą, mój ojciec przytula czterolatkę, a ja stoję osobno z fotelikami, wózkiem i bagażami. Wpinam foteliki do range rovera taty, on ładuje torby i wózek do bagażnika. Sadza czterolatkę w foteliku i pyta, czy pomogę mu z pasami, a matka wkłada do drugiego fotelika małą, której nie wypuściła z rąk, odkąd nas zobaczyła. Przez całe trzydzieści minut wspólnej jazdy mówimy najmniej, jak się da, choć nie zamykają nam się usta. Zasypują dzieci pytaniami, ja się wcinam, gdy mała nie odpowiada: powtarzam jej lub objaśniam pytania. Siedzę między fotelikami, ściskam dziecięce dłonie i wpatruję się nieruchomo w widnokrąg – rozległe zielone mokradła, rzędy

skarłałych drzew, cienkie i wysokie palmy – żeby się nie porzygać, nie zacząć krzyczeć albo nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego.

Spędzamy razem tydzień i właściwie nie rozmawiamy. Wieczorami, gdy nie mogę zasnąć, czytam *Party Going* Henry'ego Greena – rok 1939, mgła, grupa majątnych osób, które miały się wybrać na przejażdżkę koleją, ląduje razem w hotelu; starsza ciotka być może umiera, towarzystwo popija, młoda kobieta wchodzi do wanny, personel zamyka hotel, żeby nikt postronny nie dostał się do środka.

Dzieci kąpią się w morzu i basenie, a ja, zanim się obudzą, biegam długo po piasku. Pokonuję boso te same odcinki plaży, które pokonywałam przez całe życie; przez kilka pierwszych dni nabawiam się pęcherzy z krwią, na paluchach i śródstopiu u ich nasady, ale przebijam je, twardnieją i ból ustępuje. Woda jest ciepła, zdejmuję koszulkę i szorty, morze jest niemal gładkie. Rodzice codziennie jeżdżą do pracy. Rano mama, ubrana w garsonkę i wysmarowana jak zwykle balsamem o nucie zgodnej z wonią perfum, które wyczuwam z pięciu tysięcy kilometrów, wyjmuje różne rodzaje płatków, owoce i pieczywo oraz parzy mi kawę. Rozpieszcza nas. Kupuje każdy produkt, o którym kiedykolwiek wspomniałam w kontekście dziecięcych upodobań: ser, kurczaka, awokado, ciastka figowe. Starannie reguluje temperaturę w domu.

Zaglądamy do mamy do pracy, pożyczamy od niej samochód i jeździmy po okolicy: do zoo, na lunch. Na pięć spędzonych tam dni trzy razy przejeżdżam obok domu Sashy. Raz, gdy dzieci śpią, a ja jestem znużona i wycieńczona upałem, niemal skręcam na podjazd rodziców Sashy, po czym przypominam sobie, że jej tam nie ma.

Podczas całego pobytu prawie nie wchodzę pod prysznic, nie spłukuję z siebie soli i roznoszę piach po wymuskanych podłogach ojca, a on się w zasadzie nie odzywa, krzywi się tylko na widok dziewczynek gramolących się na sofę, na której z reguły nikt nie siada. On sam siedzi najczęściej przed telewizorem, kiedy dzieci

wybierają płatki, kiedy mama gotuje wieczorem kolację, kiedy wszyscy staramy się nie kłócić.

Kocham Florydę i zarazem jej nie znoszę. Choć w Nowym Jorku panują jeszcze chłód i wilgoć, tu jest ciepło, plaża ciągnie się kilometrami i nikogo na niej nie ma. Odcinek, który przebiegam każdego ranka, to mój ulubiony fragment plaży, może nawet ulubiony fragment całego znanego mi lądu, tak olśniewający i znajomy, tak instynktowny; to cudowne, że mogę go pokazać dziewczynkom. Jednak wszystko inne napawa mnie lękiem: na dźwięk głosu rodziców cała sztywnieję, a w związku z tym sztywnieją też dziecięce ciała. Dziewczynki zmęczone upałem dostają napadów złości. Wyczuwają moje rozchwianie i za dnia kurczowo się mnie trzymają, a nocą włożą mi do łóżka.

Nie mogę się opędzić od myśli, że poproszę rodziców o pieniądze. Przeczuwam niejasno, że to dlatego zgodziłam się na przyjazd. Ciągłe przyłapuję się na myśli „ale wielki ten dom”, a nasza starsza córka bez przerwy dopytuje, czemu dziadkowie mają tyle łazienek. Rozległe otwarte przestrzenie, ciemne drewno, błękity i biele. Z upływem lat majątność coraz lepiej im wychodzi. Żadne z nich nie jest z zamożnej rodziny, ale teraz płacą odpowiednim ludziom, którzy doradzają im, jak wydawać to, czego się dorobili.

Miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy oznajmiłam im, że nie chcę ich jebanej kasy. Skończyłam licencjat, byłam głupia i nie znałam życia. Tak naprawdę chciałam im rzucić rękawicę. Żeby spróbowali pokochać mnie tak, jak tego potrzebuję. Chętnie mi wypominali nowiutki samochód, płatne studia, szczenięce lata, gdy razem z siostrą pobierałyśmy w weekendy lekcje jazdy konnej. Chciałam ich pozbawić tej konkretnej argumentacji, przekonać się, czy stać ich na inne przejawy miłości.

A najbardziej żenujące było to, że gdy znalazłam się w potrzebie, zapragnęłam dostać od nich to, co uważałam za niewystarczające – ich jebaną kasę.

Teraz chcę, żeby dostrzegli moją potrzebę, ale o nic nie proszę, a oni nie proponują, dlatego chwilami robię się trochę wredna i potem mam wyrzuty sumienia.

- O tej porze już śpią, mam - mówię, gdy planuje wieczór filmowy z moją kuzynką i jej dziećmi. - I po co tyle jedzenia? - rzucam, gdy zabiera się do przyrządzania kolejnych porcji ryby.

Chce im tylko gotować, dawać prezenty i robić zdjęcia, żeby móc je potem wrzucić do Internetu. Niektóre zamierza wydrukować, włożyć w ramki dobrane do tych, w których tkwią dziecięce zdjęcia moje i siostry, i postawić je na kominku, żeby móc na nie zerkać, gdy gotuje obiad albo zbiera się do pracy.

Ojciec prawie się nie odzywa. W każdym pokoju znajduje się telewizor, a on ogląda CNBC. Na mój widok robi spłoszoną minę, jakby się obawiał, że zarazi się ode mnie niechlujnością i już nie zdoła się oczyścić.

Raz pyta mnie o pracę i zaczynam coś opowiadać, ale wtedy matka mówi: „Dzieci na pewno się cieszą z takiej mamy”, a ja patrzę na jedzenie, które dla mnie przygotowała, na dzieci, które przerwały posiłek i zaczęły się bawić, i odpowiadam: „Nie, wcale się nie cieszą, mam”, a następnie cała nasza trójka odwraca się z powrotem w stronę telewizora.

Ostatniego dnia matka bawi się z dziewczynkami na werandzie. Teraz już obie ją uwielbiają. Ojciec tkwi przy komputerze, a ja siedzę w rogu sofy, możliwie nieruchomo. Matka wyciąga wszystkie kupione dla dzieci zabawki, które nie zmieszczą nam się w mieszkaniu i których sama nie dam rady dowieźć samolotem do domu.

- Niedługo musimy się zbierać - mówię.

Rodzice zamówili nam taksówkę na lotnisko.

Tata zerka na zegarek, a potem oboje patrzą po sobie.

- Jeszcze nie - odpowiada ojciec. Siedzi z kostką na kolanie drugiej nogi i otwiera jakiś folder w komputerze.

Matka mruży oczy i przenosi szybko spojrzenie z dzieci na ojca, a potem na mnie.

- Zobacz - odzywa się ojciec. Podchodzę bliżej. - Musisz to zobaczyć przed wyjazdem.

Siedzi z ramionami skrzyżowanymi na piersi, matka też. Oboje są adwokatami. Całe moje życie krzyżują ręce.

Ojciec otwiera filmik, słysząc śmiechy i krzyki. To ja, moja siostra i starsza kuzynka. Mam z pięć czy sześć lat, siostra dwa lata mniej, kuzynka dwa więcej. Dokazujemy w wielkim domu, w którym spędziłyśmy większość wczesnego dzieciństwa. Nagrywa nas wuj, który przyjechał z daleka. Gra muzyka, a my tańczymy. Trochę rozrabiamy, chichoczemy i śpiewamy. Przebieramy się. Ganiamy z piskiem po domu. Moja młodsza siostra naśladuje kuzynkę, zarzuca głową na boki, aż włosy smagają jej twarz, śmieje się, przytyka nos do obiektywu. Ja mam na głowie warkoczyki, te same co zawsze, matka zaplatała mi je przed wyjściem do pracy - garsonka, buty na obcasie, czarna kawa, balsam i perfumy Estée Lauder - aż do samego gimnazjum.

Ojciec mnie obserwuje, mnie dorosłą, nie tę roześmianą i rozśpiewaną.

- No - mówi.

Matka też patrzy.

Nie odzywam się, nie jestem taka głupia.

- To pewnie dlatego nas nienawidzisz? - mówi ojciec. - Właśnie przez to?

Nadal się śmiejemy. Pięcioletnia ja przebrałam się w kostium kąpielowy i wybiegam z domu, żeby wskoczyć do basenu.

- To przez takie dzieciństwo byłaś dla nas taka okropna?

Mam ochotę im powiedzieć, że chyba robią sobie jaja. Mam ochotę stanąć na tej sofie i zacząć wrzeszczeć. Ten filmik dzieli od teraźniejszości dwudziestodziewięcioletnia przepaść.

- Ja nie... - zaczynam, ale urywam. Nie mogę mu powiedzieć, że kamera nie rejestruje niebycia, że nie da się nakręcić wszystkich

obliczy domowego niedomiaru.

- Pewnie przez to - podsumowuje ojciec.

Daję nura do basenu na ekranie.

- Proszę - mówię.

Mama rzuca mi spojrzenie; tak chyba patrzy w sądzie na oskarżyciela, kiedy przeczuwa, że go zgasiła.

- Musimy się zbierać - mówię.

Córki patrzą na mnie bez słowa.

Prosiłam ich, żeby tego nie robili w obecności dziewczynek. Prosiłam, żeby obiecali, że nie będziemy się kłócić. Ale teraz nie krzyczą, tylko w milczeniu, za pomocą samych spojrzeń, przypominają mi, co w życiu zawałam.

- Jedziemy - oznajmiam.

Biorę na ręce dwulatkę, a ona zaczyna się drzeć. Wygina się w łuk. Jej miękki, krągły brzuch wysuwa się spod koszulki.

Matka wstaje.

Ojciec zdejmuję kostkę z kolana, jego stopy spoczywają teraz nieruchomo na ziemi.

Chwytam czterolatkę za rękę.

- Poradzi sobie - kwituje matka.

Czterolatka patrzy na mnie, na nią i z powrotem na mnie. Nie puszcza mojej ręki.

Idą za nami do drzwi frontowych. Zostawiamy wszystkie kupione przez matkę zabawki i ubranka. Niosę tylko nasze dwie niewielkie torby. Do przyjazdu taksówki siedzimy w milczeniu na podjeździe, mała ssie pierś, a czterolatka wertuje książeczkę.

Już w domu: samolot ląduje, wyjmuję ze schowka torby, dwulatka prawie cały czas płacze, bo z powodu bagażu nie mogę jej wziąć na ręce, a czterolatka sika w majtki, gdy wysiadamy z samolotu. Obie chcą usiąść w składanej spacerówce, sadzam więc dwulatkę siostrze na kolanach i każę im się mocno trzymać; jakaś stara kobieta kręci nade mną głową i niezbyt dyskretnie mamrocze, że nie uważam na te

„kochane maluszki”, a ja ze wszystkich sił staram się nie wykrzyknąć jej czegoś w twarz. Przy taśmie bagażowej blisko wyjścia mój mąż, rozczochrany, z pustymi rękami i w rozpiętej kurtce, pozwala dzieciom posiedzieć jeszcze z minutę, pokłócić się o to, która pierwsza go wyściska, i na koniec wytoczyć się z wózka wprost na brudną lotniskową wykładzinę, a sam zdejmuję mi z ramion torby, odkłada je na podłogę obok dzieci, otacza mnie ramionami, tuli, ściska i szepcze do ucha:

- Wróciłaś.

NA DWORZE WIOSENNA śnieżyca, a ja poprosiłam telefonicznie o chorobowe w szkole, żeby pójść na cykl otwartych wykładów na moim wydziale.

Wiadomość głosowa jest długa, trwa prawie minutę. Zauważam ją, gdy wysiadam z pociągu. Kupuję kawę z wózka, z mlekiem i podwójnym cukrem. Wchodzę po pokrytych lodem schodach na kampus. Wolna od kubka dłoń ściska zimną poręcz. Zdejmuję lewą rękawiczkę, przesuwam palcem po ekranie i odsłuchuję nagranie. Mówi drżącym głosem. Jedzie swoim kabrioletem, zdaje mi się, że słyszę szum omiatającego ją wiatru.

- Wiesz... - zaczyna - ...może przemawia przeze mnie prawniczka.

Papierowy kubek jest cienki, zgina się, odchyła plastikowe wieczko i odrobina kawy rozlewa mi się na kurtkę. Zapodziałam gdzieś śniegowce i czuję, jak drętwieją mi stopy w skórzanych trzewikach.

Mijam koleżankę z pracy, potem następną. Uśmiecham się i zadzieram brodę na przywitanie.

„Jeśli ci czegoś potrzeba, to jestem” - mówi do słuchawki matka. „Przylecę”. Jest rozgorączkowana, głos jej drży. „Ale martwię się o ciebie. Rozmawiałam z twoim ojcem, że może trzeba by gdzieś

zadzwoń. Wolałabym wiedzieć”. Urywa. Słyszę wiatr i mijające ją samochody. „Bo chodzi przede wszystkim o dziewczynki” – dodaje.

Chwytam się poręczy na schodach prowadzących do naszego budynku wydziałowego, bo prawie się ześlizguję.

„Nie chcę, żebyś straciła córeczki” – mówi matka.

Stoję przed budynkiem, w którym mamy się spotkać.

Mijają mnie znajomi. Do mieszczącej się na szóstym piętrze auli idę schodami, żeby uniknąć rozmów w windzie, ponieważ odsłuchuję wiadomość jeszcze dwukrotnie. Wiem, o co chodzi, bo raz już tak było: zasugerowali, że nie jestem przygotowana do macierzyństwa. Ona zasugerowała. Groziła, że powiadomi służby, że „sprawdzi, co się dzieje”. To było tuż po tym, jak zerwałam z nimi kontakt. Za pośrednictwem maili oraz długich wiadomości głosowych skierowanych do mnie, a raz także do mojego męża, objaśniała mi szczegółowo przesłanki uprawniające do odebrania dziecka rodzicowi, jeśli ten nie wywiązuje się należycie ze swoich obowiązków. Wcześniej sądziłam, że to groźby bez pokrycia. To niemożliwe, wmawiałam sobie, oni chyba nie myślą, że należy mi odebrać dzieci. Chcą mnie tylko nastraszyć. A jednak dostaję teraz tę wiadomość, mam też zapisane maile sprzed dwóch lat i od razu do nich sięgam.

„Córeczki”, powiada matka, a ja od razu je widzę, czuję ich dzisiejszą poranną woń, potargane od snu włosy, oddechy pachnące grzankami po francusku. Wrzucam kawę do pobliskiego kosza z obawy, że zaraz zwymiotuję.

Przez pierwsze cztery godziny wystąpień postukuję długopisem. Wsuwam stopy z butów. Siedzę na końcu. Spóźniłam się, pomachałam siedzącym razem znajomym i weszłam po schodach na sam koniec, żeby nikt za mną nie usiadł. Trwa gościnny wykład poświęcony zagadnieniom retoryki. Mówczyni jest krótkowłosa, zażywna, niemal karykaturalna. Kiedy mówi, od czasu do czasu obciąga sweter, żeby nie zawijał jej się na brzuchu. Jeśli traci wątek,

pociera dłonią kark i odchyła do tyłu głowę. Rzuca autoironiczne żarty, ale widać wyraźnie, że nie do końca w nie wierzy.

Chronos, powiada, to czas pojmowany jako ciągłość, topos to zaś miejsce, współdzielenie przestrzeni. Przekonuje, że pomagając studentom w przyswajaniu wiedzy, powinniśmy się odwoływać do tej ostatniej idei. Wychodzić z nimi za mury uczelni, wykorzystywać ich własne nakłady, wyjaśniać im, że mają wpływ na kształt wspólnoty. Kairos to uświęcona chwila, moment poznania czy też objawienia idei. Wykładowczyni opowiada o tym, że nasz umysł jest nieodwołalnie osadzony w czasie, w świadomości zależnej od miejsca pochodzenia i środowiska. Wspomina o argumencie a posteriori, czyli sformułowanym na podstawie faktów.

Schodzę schodami półokrągłej auli i w korytarzu ponownie odtwarzam wiadomość. Mam jaskrawozielone skarpetki, podkurczam palce stóp. Najchętniej zaczęłabym wrzeszczeć do telefonu. Wykrzyczałabym jej, że ma się do mnie, kurwa, nie zbliżać. Ręce mi się trzęsą i nie chcę wracać do auli. Zostawiłam tam jednak torbę i komputer, poza tym muszę się wpisać na listę.

Gdy wchodzę z powrotem, widzę, że na tablicy wypisano wielkimi literami słowo „stásis”, a pod spodem „wojna domowa”.

- W biologii homeostaza oznacza prawidłowy przepływ płynów ustrojowych - wyjaśnia prowadząca. - To bardziej optymistyczna definicja - dodaje ze śmiechem. Opowiada o Hermagorasie, żyjącym w drugim wieku przed naszą erą retorze, który wskazywał różnice w przebiegu sporów sądowych. - Ojcowie prawa - podkreśla. - Częstokroć pomijani. Biedny Hermagoras. - Śmieje się. Zdjęła już sweter. Powietrze w nagrzanym sali jest gęste, duszące. Wykładowczyni ma na sobie ciemnoniebieską koszulę z krótkim rękawem, która opina się tu i ówdzie, co wskazuje na jej męski krój. Cienkie wytatuowane pnącze oplata jej nadgarstek i wije się misternie po ręce. Nosi okulary, które nasuwa mocniej na nos, ilekroć pisze na tablicy. Na lewym policzku ma małą kropkę z kredy. - Doktryna stásis - ciągnie - zakłada namysł nad pięcioma

fundamentalnymi zagadnieniami. Po pierwsze: fakt czy przypuszczenie? Wszystko jest kwestią sporną, a fakty być może w największym stopniu. Po drugie: kwestia definicji. Definicja jest logotropiczna, potrafi zmetaforyzować, zawęzić, podsumować całą dyskusję. Po trzeciej: pytamy o atrybuty i wartości – co jest w istocie przedmiotem rozważań i jak to oceniamy. Po czwartej: czy mamy do czynienia z przyczyną, czy ze skutkiem? Wreszcie po piątej: poszukujemy sposobu, procedury, strategii – co możemy począć z przedmiotem debaty? Jaką metodą posuniemy się naprzód?

Jadę do domu, zabieram dziewczynki i z jakiegoś powodu ląduję u młodszej siostry. Nie lubię swojej młodszej siostry. Czasem myślę sobie, że lubiłabym swoją młodszą siostrę, gdyby nie to, że przez całe życie toczyliśmy bliżej niesprecyzowany spór o to, która z nas zasługuje na wyjście z całej sytuacji bez szwanku.

- Nie mówi serio – twierdzi siostra, siedząc na twardej dwuosobowej kanapie, którą kupili jej rodzice. Nigdy nie pocięła ich kart kredytowych i do dziś codziennie rozmawiają. Kupili jej to mieszkanie w Murray Hill i zapłacili za remont.

Moje córki śmieją się i bawią patyczkami do uszu znalezionymi pod blatem toaletki. Łamią je i wtykają sobie do nosa.

Przez trzy lata, czyli większość studiów, moja siostra prawie nie jadła, kości jej skruszały, a twarz porośla włoskami, i jeszcze teraz mogłabym objąć jej nadgarstek kciukiem i palcem wskazującym.

- Wiesz, jak to u niej jest – mówi siostra. – Po prostu czuje się zraniona.

Mój mąż nazywa moją siostrę apologetką.

- Nie umie sobie poradzić z bólem – dodaje siostra. – Powiedz im, że przepraszasz. Niech pomyślą, że przyznajesz się do błędu.

- Nim Dante w Piekło zdąży wsiąść do łodzi, słyszy bolesne jęki obojętnych – odpowiadam. – Dusz, które nie opowiadały się po żadnej ze stron, nie zastanawiały się nad tym, co dobre, a co złe, a dbały

tylko o swoje sprawy. Ci ludzie są nadzy i wyjałowieni. Żądleni przez osy, zżerani przez robactwo, tkwią pogrążeni w marazmie duchowym.

Siostra patrzy najpierw na mnie, a potem na moje córki, które porzuciły patyczki i podsadzają się wzajemnie na jej łóżko. A ona nachyla się nade mną – ona, która w dzieciństwie potrafiła im grozić, mówić, że jeśli będą na nią wrzeszczyć, zmuszać do gry na pianinie albo do powrotu o określonej godzinie, jeśli naprawdę będą to robić, to wyrośnie na kogoś takiego jak ja – i mówi szeptem:

- Na pewno się dobrze czujesz?

- A czym ci grozi? – pyta chilijska pisarka na naszej teraz cotygodniowej kawie.

Mówię, że moja matka chce mi przypomnieć o istnieniu dowodów. O tym, że ma w zanadrzu podkładkę. Na podstawie mojej dość obszernej dokumentacji medycznej obejmującej diagnozy, recepty i zgodę na warunkowe kontynuowanie studiów może wykazać, że nie mam prawa zajmować się dziećmi, a ja gównem na to poradzę.

- A ona by je wzięła? – pyta.

- Prawdopodobnie nie.

Upijam kawy i spuszczam na chwilę wzrok.

- Ja trochę chorowałam – mówię.

- Na co?

- Depresja – odpowiadam. – Zaburzenia lękowe. Tyle diagnoz. – Kręcę głową i znów spuszczam wzrok.

Nudzi mnie już sama myśl o zwyczajności tych diagnoz. O tym, że jestem taka sama jak wszyscy moi znajomi, którzy mają trochę oleju w głowie.

- Użyliby ich przeciwko tobie? – Podnosi wzrok znad talerza.

- Teoretycznie, w domyśle. Nie dadzą mi zapomnieć, że mogą je wykorzystać przeciwko mnie, ale zarazem dbają o to, by w razie potrzeby móc przekonująco zaprzeczyć, że zrobili coś złego.

Spodziewam się, że odpowie, ale nie. Ściąga wzrokiem kelnera, zamawia nam martini i oczekujemy na nie w milczeniu. Kieliszki stają

jeden przy drugim, każdy ozdobiony paseczkiem skórki cytrynowej. Pisarka unosi swój w moją stronę i stukamy się bez słowa.

NAZAJUTRZ MAŻ PRZYSYŁA mi do pracy swoje zrobione w domu zdjęcie z dziewczynkami. Cała trójka się uśmiecha. Dwulatka obejmuje oburącz jego twarz. Wychodzę wcześniej i zamiast wsiąść w pociąg, idę blisko dwadzieścia kilometrów do domu. Zakładam, że w którymś momencie zejść do metra, ale tego nie robię. Ostatnio co dzień wychodzę znacznie wcześniej, niż należy, i nadal mam poczucie, że powinnam gdzieś być, coś robić, ale z drugiej strony myślę sobie, że może teraz muszę właśnie iść.

Po godzinie dzwonię do mamy.

- Co to miało być? - pytam.

- Po prostu się martwię - odpowiada. Po prostu się martwi, ale lubi też, gdy się boję.

- O co? Jeśli się martwisz, to dlaczego ze mną nie porozmawiasz?

Już od lat funkcjonuję normalnie, ale zdaje się, że właśnie normalności nie umieją sobie poukładać w głowach. Chyba myśleli, że gdy wydobreję, stanę się lepsza, niż im się zdaje.

- To ty ze mną nie rozmawiasz - mówi.

- Okej, mamo.

Zaczyna płakać i wiem, że powinnam przeprosić, zapytać, jak mogę pomóc. Powinnam powiedzieć, że nie wszystko gra.

Mówi, że nie wie, dlaczego zawsze mi mało, chociaż tak się stara, tak kocha. Nie wilgotnieją mi oczy i wiem, że się nie rozpłaczę. Jestem na nią wściekła, że tak beczy, wściekła na siebie, że już nie chcę albo nie umiem się tym przejąć.

- Mamo, proszę - próbuję ostrożnie. - Mamo. Już dobrze. Przepraszam - wyrywa mi się.

- Jestem twoją matką - mówi przez łzy.

- Wiem.

Chwila ciszy.

- Przepraszam - powtarzam. Powiedziałam to raz i zdaje się, że nie mogę przestać.

- Myślałam... - zaczyna. - Myślałam, że gdy sama zostaniesz matką... - Wymawia to słowo, jakby mieściło w sobie coś, czego nie chcę dostrzec ani zrozumieć. Co otrzymałam, co zostało mi dane, a ja zniweczyłam jego prawdziwe znaczenie.

JA MAM JESZCZE dziewiętnaście lat, ona jeszcze dwadzieścia. Siedzę samotnie w swoim pokoju na poddaszu, bo ona odeszła, co wieczór zamawiam smażonego kurczaka z frytkami, czytam, oglądam telewizję i bardzo się staram z nikim nie rozmawiać. Wychodzę na dach i patrzę, jak wieczorami na ulice wysypują się studenci, chodzą do lokali, których nie znam, które bez niej mnie nie ciekawią. Prawie nie chodzę na zajęcia, kompletnie nie mam znajomych i obserwuję ich tylko, słucham, jak do siebie mówią i pokrzykują. Patrzę, jak wychodzą sprężystym krokiem: niedbale ubrani, pełni nadziei. Wracają po kilku godzinach, a ja dalej siedzę na dachu, dalej oglądam. Idą rozmamłani, ich ciała się stykają, w różnych grupach lub parach.

Świetnie nam idzie wysyłanie rozpaczliwych maili podlanych sosem autodestrukcji. Jej listy świadczą o większej aktywności, interaktywności. Życie każdej z nas wygląda z zewnątrz konkretnie, całkiem odrębnie, ale gdyby ktoś prześledził nasze motywy, nasze uczucia i sposób rozumowania, mógłby odkryć, że odbieramy to życie jednakowo. Moja depresja jest mdła jak mało co, tak bardzo nudna, tak introspekcyjna - w książkach, a także w jej mailach, bohaterowie przynajmniej coś robią. Uprawiają za dużo seksu, piją, podróżują i przynajmniej ich życie wypełnione jest historiami, które będą mogli opowiadać, gdy dorosną, naprostują się, staną się dojrzałymi wcieleniami tych nieopierzonych, lekkomyślnych istot. Zazdrozczę im tych opowieści, ich fizycznych własności, namacalności jej autodestrukcji. Ludzie na nią patrzą, a ponieważ na nią patrzą,

uzewnętrznia swoją złość, swój smutek, a inni to widzą; ja staję się niewidoczna, obsuwam się i zapadam. Od czasu do czasu próbuję zaistnieć, dość gwałtownie, a kompletne fiasko tych starań jeszcze bardziej mnie przytłacza. Jadę kolejką i płaczę, ręce mi się trzęsą i wyobrażam sobie, że ktoś zobaczy, zareaguje, weźmie mnie do siebie i powie, jak żyć, ale ludzie wyglądają na przestraszonych, odwracają wzrok albo w ogóle nie patrzą. Gdy zamawiam ten sam quiche i to samo ciasto czekoladowe w kawiarni, do której z nią chodziłam, barista wygląda na tak przerażonego moim płaczem i trzęsącymi się dłońmi podającymi pieniądze, że przestaję tam chodzić, bo nie mogę patrzeć na jego minę, gdy wyciągam rękę po resztę.

Nie odzywam się do nikogo i nikt nie zauważa, że nie pokazuję się na zajęciach ani w przestrzeniach wspólnych kampusu. Słodką polewę Betty Crocker kupuję na pojemniki w 7-Eleven daleko od uczelni, żeby nie wpaść przypadkiem na jedną z czterech znajomych osób. Paski smażonego kurczaka, którymi się żywię, zamawiam do domu, gdy wiem, że moje współlokatorki są na zajęciach albo na imprezie; staram się bardzo schodzić na dół sikać albo brać prysznic tylko wtedy, gdy ich nie ma. Nie śpię, ale też nie wychodzę z łóżka, a czasem, tylko po to, żeby utwierdzić się w przekonaniu o własnej nieudolności, błąkam się nocami po Bostonie i nic się nie dzieje; wchodzę z powrotem na poddasze, rozbieram się, wchodzę do łóżka.

Ona wdaje się tego roku w trzy romanse i dla podreperowania budżetu zaczyna rozprowadzać wśród znajomych ziolo. Jej diler się w niej zakochuje; czasem uprawiają seks, a ona kupuje u niego towar ze zniżką. Mieszka poza kampusem z dwiema równie ślicznymi dziewczynami, które mają wytatuowane przedramiona, a jedna dodatkowo nosi kolczyki w nosie i brwi, i razem piją piwo przed śniadaniem, a gdy wpadam do niej w odwiedziny, czuję się smarkata, nic nieznacząca i wyobcowana. Może jej nienawidzę, kto wie. Najczęściej życzę jej, żeby czuła się równie przygnębiona jak ja, tkwiła w takim samym potrzasku, choćby po to, żeby mnie za bardzo nie wyprzedziła, bo sama stoję wciąż w miejscu.

Jeszcze zimno. Straciłam poczucie czasu, nie wiem, jaki jest dzień i miesiąc, nie wiem, czy w tym tygodniu mam albo miałam dokąd pójść. Zimno, a ja za cienko się ubrałam, tylko w legginsy do joggingu i koszulkę z długim rękawem, nie mam rękawiczek, nie mam czapki, w środku nocy biegnę nad Charles. Staję na moście Harvardzkim, tym samym, który pokonywałyśmy codziennie latem; woda zamarza przy brzegach, ale nie na środku. Mam przy sobie telefon, dzwonię.

- Coś ze mną nie tak - mówię. - Jak to jest: coś czuć?

Znów jest zakochana. Chce tylko rozmawiać o tym mężczyźnie, którego kocha, a który nie odwzajemnia jej uczuć; czasem pojawia się nocą w jej domu i uprawiają seks, ale w świetle dnia traktuje ją jak powietrze. Powtarza teraz w kółko moje imię.

- Gdzie jesteś?

- Na moście - odpowiadam.

Wtedy o tym nie wiedziałam, ale po latach wiem, że byliśmy dziećmi. Chciałam ją nastraszyć. Chciałam budzić w niej silniejsze uczucia niż jakakolwiek inna osoba. Nie obchodziło mnie, w jakiej postaci: strachu, miłości czy smutku. Chciałam ją mieć przy sobie. Chciałam, żeby poczuła, że nie wolno jej już odejść.

Zaczyna płakać, a ja mówię:

- Nie musisz się martwić.

Nieprawda. Zadzwoiłam, bo chcę, żeby płakała, chcę, żeby się bała.

- Masz wracać do domu - mówi. - Masz się skierować w stronę mieszkania, a ja wsiądę w samochód i spotkamy się na miejscu.

Dzieli nas godziny drogi. Powtarza moje imię. Jak się później dowiaduję, głos ma zachrypły również od zioła, nie tylko z powodu troski, całego swego smutku i żalu. Wtedy wydaje mi się, że ma wielką władzę, ale potem przekonam się, że pod wieloma względami czuje się zdana na łaskę i niełaskę pragnień i potrzeb innych ludzi, zupełnie jak ja. Ale tej nocy tak bardzo się cieszę, że wreszcie znalazłam sposób, by ją do siebie ściągnąć.

Mówi coś przez łzy, potem słyszę jej przytłumiony głos, jej i jakiejś innej osoby. Słyszę, jak odpala silnik, ale nie ruszam się z miejsca. W moich wspomnieniach przyjeżdża na most, ale nie jestem pewna, czy tak się dzieje. W moich wspomnieniach ratuje mnie tej nocy; tej nocy myślę sobie, że może wszystko się ułoży. Dopiero nazajutrz rano, gdy ona śpi w moim łóżku, a ja siedzę na dachu, widzę ich przed domem: moich rodziców, udręczonych, wyczerpanych, wysiadających pośpiesznie z taksówki i wchodzących na stopnie werandy.

- A to sucz - mamroczę; patrzę, jak dzwonią do drzwi, słyszę jej krzątanicę, włączę przez okno do swojego pokoju i wtedy już wiem, że nie mam zupełnie nikogo.

„Z jakiej, kurwa, racji?” - powie potem matka; prowadzą mnie do dziekanatu, oboje, i przekazują, że stanowią dla siebie zagrożenie i trzeba mnie baczniej obserwować. Władze uczelni robią unik i chcą mnie wywalić, ale rodzice się nie zgadzają, a mama wygraża na różne sposoby, cytuje być może zmyślane paragrafy i w końcu władze orzekają, że trzy razy w tygodniu mam chodzić na terapię. Jestem na warunkowym, a rodzice czasem się starają: dzwonią i mówią, że mam o siebie dbać, wypytują o zajęcia. Czują się tym całkowicie przygniecen i bardzo się boją. Na tym etapie nie radzą sobie ze mną już od lat. Próbowali różnych terapii i specyfików. Próbowali mi przemówić do rozumu krzykiem i błaganiem, ale nadaremnie. Nieraz, gdy moja matka ma naprawdę dość i dostaje rachunek za terapię, dzwoni do mnie, wrzeszczy i pyta, dlaczego nie mogę po prostu wziąć się w garść i wyzdrowieć. „Co myśmy ci takiego zrobili?” - pyta. „Z jakiej, kurwa, racji muszę komuś płacić za to, żeby z tobą rozmawiał?”

Gdy przyjeżdżają mnie odwiedzić po raz drugi, ojciec bierze mnie na całodniową przejażdżkę samochodem i zdaje się, że mój płacz budzi w nim odrazę. Teraz myślę: ale się musiał bać. „Przestań” - powtarza w kółko, ale ja nie przestaję. Podnosi rękę do mojej twarzy,

jakby miał moc tamowania moich łez, bierze szybki wdech, zbyt zmęczony, by zachować resztki wątpliwej cierpliwości. Policzkuje mnie, raz a dobrze.

I jeszcze Sasha w tle. Ją traktowali zawsze miło. Byłyśmy młode, a ona się bała. Hasło „rodzice” nie kojarzy jej się z moimi i ich prawdziwym charakterem. Przez pewien czas pisze do mnie maila za mailem, napawam się swoim brakiem reakcji. Napawam się tym, że prosi, błaga, przeprasza, aż nie mogę już znieść tego, że nie mogę z nią pogadać, aż wpada w rozpacz, aż mężczyzna, którego podrywała przez cały semestr, rucha jej współlokatorkę, a ona zaczyna się sypać, aż stajemy razem w gotowości, znów same dwie przeciwko światu.

4

PRZESYPIAM PIERWSZY BUDZIK, a potem drugi. Za dwadzieścia szósta mój mąż maca na oślepie ręką i pyta, czy idę biegać. Wkurza mnie to, choć sama nie wiem dlaczego. Próbuje mnie do siebie przyciągnąć, ale odwracam się do ściany, a on wygrzebuje się z pościeli. Słyszę warkot młynka do kawy i zamykam na powrót oczy. Za dwadzieścia siódma, czyli dziesięć minut przed moim zwykłym wyjściem do pracy, woła mnie z kuchni. Robi śniadanie i pakuje dzieciom śniadaniówki.

- Wstajesz? - woła.

Odpuszczam prysznic, odpuszczam śniadanie.

Mąż nalewa mi kawy do kubka, z którym idę co rano do metra, a ja tulę i całuję gramolące się z łóżeczek dzieci. Jestem w połowie schodów, gdy z mieszkania wybiega dwulatka.

- Mamuś - mówi.

Przytulam ją jeszcze raz.

- Nie idź.

Ze swojego mieszkania wychodzi Josslyn i bierze ją na ręce.

W metrze sprawdzam, czy Sasha ogłosiła na Facebooku narodziny dziecka. Zaglądam tam codziennie, choć wiem, że pewnie nie zamieści niczego nowego. Jej męża nie mam wśród znajomych. Nie znam go, a gdy zaglądam na jego profil, widzę tylko zdjęcie i kilka postów sprzed lat. Możliwe, że to kwestia ustawień i nie widzę wszystkich zdjęć, bo zwyczajnie nie mam do nich dostępu. Zdjęć z USG, być może fotografii nowo narodzonego dziecka, ciążowego brzucha, jej idealnych, zaokrąglonych teraz policzków.

Podczas zebrania poświęconego przygotowaniom do testów SAT rozważam założenie fejkowego konta tylko po to, żeby zobaczyć to, do czego nie mam dostępu. Gość wygląda na ufego. Mogę udawać, że pochodzę z jego stron. Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądała w pierwszej ciąży. Moje córki ważyły po cztery kilo. W ciąży miałam tak wielki brzuch, że przechodnie wytykali mnie palcami.

Kiedy byłam w trzydziestym trzecim tygodniu pierwszej ciąży, technik USG powiedział, że mam za mało płynu owodniowego. Mój ginekolog akurat wyjechał, więc stojąc na chodniku, na rogu Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Ósmej Alei, sprawdzałam w telefonie możliwe przyczyny i skutki takiego stanu rzeczy.

Możliwe, że dziecko nie ma mózgu albo cierpi na niedrożność przełyku, podpowiedział Internet. Możliwe, że wszystko jest w porządku. Próbowałam się dodzwonić do męża, ale był w pracy. Przewinęłam listę kontaktów, główkując, do kogo tu jeszcze zadzwonić. Nie do matki, nie do nowojorskich koleżanek, które niedawno poznałam, które nigdy nie były w ciąży, które wtedy uważały mnie jeszcze za normalną. Nie do Sashy.

Usiadłam więc ze sterczącym brzuszyskiem na chodniku w głębi Ósmej Alei, oparłam się o hydrant przeciwpożarowy i zalałam łzami. Podtrzymywałam oburącz brzuch, ludzie się na mnie gapili, ja odwzajemniałam spojrzenia, aż zaczęło się ściemniać i powędrowałam do domu.

Ostatnio głównie wędruję. Tydzień za tygodniem po prostu wychodzę po południu i chyba nikt nie zauważa. Nie ma mnie. Idę do kawiarni i czytam. Dorothy West, The Living is Easy, Geralda Murnane'a, The Plains, Mariamę Bâ, Une si longue lettre, Swietlanę Aleksijewicz, Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka. Idę do pobliskiej księgarni, mojej najulubieńszej: małej, z parkietem z ciemnego drewna i wyeksponowanymi na dwóch stołach propozycjami wybranymi starannie przez samego właściciela, drobnego,

kędzierzawego mężczyznę, którego widuję czasem na mieście i zawsze się do niego uśmiecham, choć jestem pewna, że nie wie, skąd i czy w ogóle mnie zna. Nie spieszę się, przerzucam pierwsze strony ze świadomością, że nie stać mnie na kolejną powieść, że nie mam na zbyciu dwudziestu dolarów. Wypożyczam książki z biblioteki, zamawiam używane na adres szkoły i wliczam te zakupy w wydatki służbowe, ale potem przechodzę obok tej księgarenki i już jestem w środku, spragniona dreszczyku emocji towarzyszącego podawaniu książki przez ladę. Kupowanie książek to mój osobisty akt konsumpcji, a rytuałom nabywczym oddaję się w właśnie tu. Nie chcę być osobą, która stale opiera się zachciankom. Nie chcę dokonywać wyboru ze świadomością, że innego nie mam. To głupi i rozrzutny zwyczaj, ale praktykuję go – ten zapach księgarni, ci snujący się wokół mnie klienci – żeby przez chwilę poudawać bez troskę. Podaję sprzedawcy pozycję, której być może nawet nie przeczytam: wycenioną na ponad dwadzieścia dolarów, wydaną w miękkiej oprawie fabularyzowaną biografię mojej ukochanej malarki. Fragmenty tego przekładu z jednego z języków skandynawskich podczytywałam od miesiąca, a teraz opuszczam księgarnię zde gustowana i zawstydzona, upycham książkę w torbie, zgniatam paragon. Pozbędę się go po drodze, tego dowodu na to, że nadal jestem rozpuszczonym dzieckiem z bogatego domu, jakby mój mąż miał nie zauważyć pozycji na koncie i pominąć ją milczeniem lub wskazać mi ją podczas naszych comiesięcznych narad budżetowych, patrząc, jak się czerwienię, kiwam głową i spuszczam wzrok.

Podczas wędrówek po mieście zapuszczam się w dawno nieodwiedzane okolice. Mam jeszcze legitymacje służbowe ze wszystkich uczelni, na których wykładałam, i dzięki nim mogę wejść za darmo do prawie wszystkich nowojorskich muzeów. Odwiedzam wystawy w Chelsea, zaczynam czytać „Artforum”. Patrę na olbrzymie płótna w bieli i czerni, pokryte wyłącznie węglem, zakrwawione głowy i zwisające z gałęzi dzieci, fotograficzne zbliżenia nieba i morza, powiększone, przeskalowane próbki bezmiaru. Stoję

długo przed obrazami, które nie do końca rozumiem, i czekam, aż do mnie przemówią.

Kayli od dwóch dni nie ma w szkole. Idę do zaprzyjaźnionej z nią pedagogażki, żeby się dowiedzieć, czy wie, co się z nią dzieje, ale dowiaduję się, że pedagogażkę przeniesiono do gimnazjum. Opowiadała się za zwiększeniem nakładów na pracę z dziećmi z orzeczeniami, oddano ją więc pod zwierzchnictwo innej, mniej zawziętej specjalistki celem doszkolenia.

- Przyjdzie ktoś za nią? - pytam dwudziestotrzylatkę trudniącą się wprowadzaniem danych i siedzącą teraz przy biurku, przy którym pedagogażka spotykała się codziennie z całą masą uczniów. W szkole zacisznych miejsc ze świecą szukać i ta urzędniczka chyba pierwsza dowiedziała się o zwolnieniu pomieszczenia.

- Możliwe - odpowiada.

Trzeciego dnia system pokazuje, że Kayla jest w szkole, idę więc do łazienki na trzecim piętrze, dostrzegam jej buty pod drzwiami dużej kabiny dla niepełnosprawnych, pukam i mówię, że to ja.

- Gdzie byłaś? - pytam.

- Mama wyjechała z nowym chłopakiem.

- Wybrałaś się z nią?

- Mieli pojechać tylko na weekend i miałam pilnować brata, ale wróciła dopiero wczoraj wieczorem.

Brat Kayli, młodszy o dziesięć lat, jest jej oczkiem w głowie; kiedy o nim mówi, prostuje się i przestaje wiercić.

- Sami byliście? - pytam.

Pewnie powinnam powiedzieć o tym pedagogażce, tyle że już tu nie pracuje.

- Nie jestem już dzieckiem - odpowiada.

- Umiesz gotować?

- Mój chłopak coś tam przynosił.

Myszę o sińcu, który mi pokazywała, a ona przechwytuje moje spojrzenie.

- Nic się nie działo.

Patrzę na nią, kręcę głową, a ona się uśmiecha.

- A co, tęskniła pani?

Odwiedzają mnie cztery koleżanki. Proponowały wyjście na kolację, ale nie stać mnie na to, zaprosiłam je więc do nas i mój mąż gotuje.

Przyjaźnimy się od lat, poznałyśmy się na studiach; żadna z nich nie ma dzieci i ostatnio widzimy się znacznie rzadziej. Większość z nich ma pieniądze lub dobrze zarabiających partnerów. Jedna kupiła kamienicę z funduszu powierniczego męża i poświęciła rok na jej remont; inna wzięła sobie rok wolnego, żeby spróbować napisać książkę, wprowadziła się do swojego chłopaka, radcy prawnego, a potem na trzy miesiące wyjechali razem za granicę. Kiedy rodziłam dzieci, te kobiety wykazały się taką życzliwością i wspianiałomyślnością, że wprost nie mogłam w to uwierzyć. Przywoziły nam obiady, wynosiły śmieci. Przesiadywały ze mną w uczelnianych gabinetach, gdy odciągałam laktatorem pokarm.

O upadłości nie wiedzą. I tak się martwię, że je zamęczam. Na nasze położenie nie ma rady, żadne słowa tej sytuacji nie naprawią, więc nic im nie mówię, a gdy pytają mnie o samopoczucie, często odpowiadam po prostu, że jestem zmęczona, i na tym poprzestaję.

Jedna z koleżanek, śliczna, młodsza ode mnie, władająca czterema językami, ta, która zrobiła sobie rok wolnego i teraz planuje ślub, a kiedy o nim mówi, odwraca się ode mnie i kieruje do pozostałych, jakby zakładała, że nie mam zbyt wiele do powiedzenia na temat sukien, kompozycji kwiatowych i uczesań, no więc właśnie ona przyprawia na tę kolację naszą wspólną znajomą, bardzo zamożną, o której moja czterojęzyczna koleżanka mówi zawsze: kobieta z klasą, po prostu kobieta z klasą. Ma pracę marzeń, zdalną: poświęca na nią kilka godzin dziennie i zarabia kosmiczne sumy, bo

jest inteligentniejsza niż większość osób, z którymi pracuje i którym się zdaje, że to zajęcie na cały dzień.

- Co za okropne miejsce - mówi o mojej pracy ta kobieta, najmniej mi znana spośród zebranych.

Najpierw kiwam, a potem kręcę głową, sama nie wiem, co powiedzieć.

Patrzę po koleżankach i zadaję sobie pytanie, czy jednakowo je irytuje prawie wszystko, co mówi ta kobieta. Ona też ma dziecko, jako jedyna poza mną, tyle że zatrudnia na cały dzień opiekunkę. I tyle że - jak powiada - co weekend wysyła męża z dzieckiem do domku na wsi, żeby „trochę odsapnąć”.

- Powinnaś odejść - mówi o mojej pracy ta kobieta. - Co za okropność.

Ma na sobie obcisłe džinsy z wysokim stanem i wsuniętą za pasek czarną koszulkę. Ma też burzę tlenionych włosów i podkreślone kredką powieki.

- Nie mogę odejść - odpowiadam.

Myśli, że nie chcę zostawiać uczniów, co nie jest do końca nieprawdą, ale nie mogę odejść przede wszystkim dlatego, że nie mielibyśmy z czego płacić rachunków.

Kobieta wzdycha głęboko i przeciągle, co ma chyba oznaczać wyraz ni to uznania, ni to kobiecej solidarności. Wiem, że gdybyśmy się spotkały same i miały szansę na długą rozmowę, prawdopodobnie bym ją polubiła. Moja czterojęzyczna koleżanka jest życzliwa, błyskotliwa i wymagająca, i wierzę, że lubi tę kobietę, bo dzieli z nią te cechy. Ale ja nie jestem teraz usposobiona do tego, by z nią gawędzić, słuchać jej i próbować ją polubić, pozwalam więc sobie po prostu jej nie znosić, bo jestem zmęczona i tak jest łatwiej. Popatruję na siedzące wokół stołu koleżanki i zastanawiam się, co by zrobiły, gdybym wstała i jej przywaliła.

- Jesteś bohaterką - mówi.

- Wcale nie.

- A dlaczego nie odejdziesz? - pyta dzień później chilijska pisarka; w jej ustach to pytanie mnie nie razi, bo ustaliłam już, że ją lubię. - Na pewno nie chodzi tylko o pieniądze.

- Ja je kocham - odpowiadam. Czuję się przy tym jak bohaterka bzdurnego filmidła, które ma poprawić widzowi samopoczucie, bzdurnego filmidła utrwalającego tezę, że czarne i śniade dzieci potrzebują wybawców pod postacią pełnych zapachu białasów.

Chilijska pisarka uśmiecha się znacząco.

- Jestem w tym dobra - dodaję.

Dzieci są bystre i, co ważniejsze, są dziećmi. Nastolatkami: gorliwymi, refleksyjnymi, podatnymi na wpływy. Pozwalają mi zadawać pytania, rozmawiać z nimi, pobudzać do myślenia. Porywające są te chwile, gdy wszystko idzie gładko i myślę sobie, że co trzecią czy osiemną minutą jednak się czegoś uczą. Porywające są te chwile, gdy słuchają, dyskutują i myślą. To naprawdę wspaniałe, ale z drugiej strony peszy mnie świadomość, że je tak kocham, że tak mało ode mnie dostają, że to, co mogę im dać, w żaden sposób nie zaspokaja ich potrzeb. Nie znoszę, gdy ktoś mówi „jak to dobrze, że uczysz te dzieci”, bo wstydzę się, że początkowo też tak przypuszczałam. Że po latach walki o posadę na uczelni nie przestawałam się dziwić, jak niewiele z tego, co mogłam im dać, potrzebowali, czy nawet chcieli ode mnie studenci. Że przyszłam do tej szkoły między innymi dlatego, że pomaganie wydawało mi się fajne, że w swoim przekonaniu miałam tam coś do zaoferowania. Że powinnam być mądrzejsza, że pod względem intelektualnym tak właśnie było. Wstyd mi, że tego, czego moi uczniowie potrzebują najbardziej - unicestwienia tych samych struktur społecznych, z których się wywodzę, wytrawienia i odtworzenia na nowo sfer życia, które przez te wszystkie lata dawały mi oparcie i poczucie bezpieczeństwa - otóż tego właśnie zrobić nie mogę i nie umiem.

Jedziemy na wycieczkę szkolną obejrzeć makietę kolejową w Nowojorskim Ogrodzie Botanicznym przy Metro North i zaganiamy

dzieci najpierw do jednego, a potem drugiego pociągu.

- A po cholere to wszystko? - pyta jedna z uczennic, gdy idziemy gęsto zadrzewioną aleją.

Jest słonecznie i cieplej niż w ostatnich tygodniach.

- Bo jest śliczny dzień - odpowiadam.

- No.

- Ta pani nam każe, bo to miejscówka dla bogatych białych ludzi - odpowiada mój uczeń.

„Ta pani” to dyrektorka naszej szkoły. Wzruszam ramionami i się nie odzywam, bo wcale nie uważam, że się aż tak bardzo mylą.

Oglądamy film o konstruowaniu makiety.

- Kurwa, ja to ciągle jeżdżę pociągami - komentuje jeden z uczniów.

We wnętrzu jest ciepło i zewsząd otacza nas roślinność. Modele pojazdów są małe i zbudowane z patyczków, witek i fragmentów roślin. Są piękne, choć rodzą osobliwe poczucie wyobcowania. Przyjechaliśmy całą bandą. Moje obie współwychowawczynie to czarne kobiety. Wśród dzieci białych nie ma w ogóle. Oprócz nas na miejscu nie ma nikogo czarnego, wszyscy mają co najmniej pięćdziesiątkę i ciągle się na nas gapią.

- Co oni tu robią? - pyta mijająca nas kobieta.

Wściekłość prawie mnie zaślepia, mam ochotę złapać ją za rękę i ochrzanić. Jedna z dziewczyn odwraca się ze śmiechem do drugiej, pokazuje na mnie i mówi:

- Ej, pani chyba przywali szmacie.

W drodze powrotnej wypuszczamy dzieci z metra w pobliżu ich mieszkań, a moje koleżanki z pracy wysiadają nieopodal centrum.

Jadę sama jeszcze czterdzieści minut, żeby przesiąść się do metra na Brooklyn. Czytam *Zachować swój świat* Nadine Gordimer. Przewijam Instagrama i nagle dociera do mnie, że nie szukałam tam jeszcze Sashy. Udaję przed sobą, że nie zauważy, że ją obserwuję, a potem zaczynam obserwować jego, bo mają publiczne profile i już go namierzyłam. Oglądam filmik z jakimś kalifornijskim klifem

i następny z Hawajów. Pies, plaża, następne klify. Zdjęcia z Paryża, Wiednia, Barcelony. Bez dziecka, bez brzucha. Z nowszych zdjęć tylko jedno, sprzed siedmiu tygodni, same twarze, on całuje ją w policzek, oboje patrzą z uśmiechem w obiektyw, na głowy mają nasunięte okulary przeciwsłoneczne.

Na zajęciach wieczorowych omawiam Zamknięte drzwi Magdy Szabó, opowieść o pisarce i jej relacji z pomocą domową. Nie jestem pewna, czy „pomoc domowa” to właściwe słowo, „służąca” też nie. Chodzi o kobietę, która u niej sprząta, gotuje dla niej i dla jej męża, ale także jest jej chyba najbliższą, najdroższą przyjaciółką. Nie są jednak prawdziwymi przyjaciółkami z powodu różnic klasowych; nie są przyjaciółkami, ponieważ gdy pomoc domowa kobieta rozpaczliwie potrzebuje ratunku, główna bohaterka brutalnie ją zdradza. Przynajmniej ja tak odczytuję tę książkę. W pewnym momencie bohaterka może pomóc przyjaciółce – swojej pomocy domowej, która nikogo poza nią nie ma i która przez wiele lat darzyła ją głębokim uczuciem – ale wzywa obcych, dopuszcza ich do niej, sama zaś wsiada w samochód i jedzie do pracy, choć dobrze wie, że przyjaciółka panicznie boi się sytuacji, w której zdana jest na łaskę i niełaskę obcych ludzi. Przeraza mnie ta książka, przerażają siła i potęga bierności, to, że ta kobieta może jednocześnie kochać swoją przyjaciółkę i nie widzieć w niej człowieka, nie zdawać sobie sprawy ze swojego aktu przemocy, choć przymierza się do niego przez wiele dni, choć później zakłamuje całą sytuację. Po skończonej lekturze nie mogę złapać tchu. Na zajęcia idę odurzona, wyczerpana, przestraszona.

- A jakie są wasze odczucia? – pytam po ogólnym omówieniu tła powieści.

Rozważaliśmy osobliwe położenie Węgier podczas drugiej wojny światowej – najpierw sprzymierzyły się z Hitlerem, a potem trafiły pod niemiecką okupację, były współwinne zbrodni i padły ich ofiarą, ponieważ w późniejszym okresie władze węgierskie nawiązały ścisłą

współpracę z aliantami. Opowiadam studentom, że w 1949 roku Szabó przyznano jedną z najbardziej prestiżowych węgierskich nagród literackich i jeszcze tego samego dnia ją odebrano. Partia komunistyczna, która niedługo przedtem doszła do władzy, zaliczyła ją do wrogów ludu i na wiele lat wstrzymała publikację jej dzieł. Akcja powieści rozpoczyna się w chwili, gdy bohaterka, pisarka, odzyskuje swobodę twórczą i prawo do wydawania utworów, a zatrudnienie pomocy domowej staje się bodźcem do wznowienia działalności pisarskiej. Gdy przygotowywałam się do zajęć, w jednej z recenzji książki przeczytałam, że czytelnik może odnieść wrażenie, że potrafił go samochód, a za kierownicą siedział on sam. Gdy w minionym tygodniu codziennie odmawiałam sobie snu, żeby przeczytać powieść po raz drugi, odczuwałam to szczególnie dotkliwie: tę przemieszaną z bezsilnością grozę płynącą z głębokiego, namacalnego przeświadczenia o własnej przewinie.

- No to jakie były wasze odczucia? - pytam.

Patrzę na mnie nieufnie.

- Pani uważa, że to było brutalne? - pyta siedzący z tyłu chłopak, który zawsze zabiera głos.

- A pan nie?

- Kto wie.

- Zostawia ją - mówię. - Mogłaby pomóc, a po prostu wychodzi.

- Wzywa lekarza - odpowiada ktoś. - Sprowadza pomoc.

- Ale jej nie towarzyszy - przekonuję, naraz poirytowana i jednocześnie świadoma, że powinnam dać sobie spokój, że takie zachowanie przystoi raczej przemęczonemu, pobudzonemu dziecku, a nie dojrzałej wykładowczyni uniwersyteckiej. - Nie zostaje - mówię. - Twierdzi, że ją kocha, a gdy tamta jest bezradna i bezbronna, oddaje ją w ręce obcych.

Siedząca obok mnie dziewczyna, która prawie nigdy się nie odzywa, ale skrupulatnie notuje wypowiedzi innych, szepcze tak cicho, że słyszą ją tylko ze cztery najbliższe osoby:

- Ona ją w zasadzie zabija.

Mój mąż pracuje w weekendy, żebyśmy nie musieli płacić za opiekunkę. W dni robocze, gdy ja pracuję, on zajmuje się naszymi córeczkami. Właśnie zapłacili mu za zlecenie i mamy na koncie tysiąc dolarów więcej, dzwonię więc po opiekunkę, a sama przebiegam dwadzieścia pięć kilometrów, po czym biorę półgodzinny prysznic.

Po wyjściu niani rozkładałam na podłodze stronicę starego wydania „New York Review of Books”, rozstawiam na nich farbki, wydaję papier oraz różne deseczki z warsztatu męża i pozwalam dziewczynkom na twórczą zabawę. Mała ssie pierś, a mnie, zmęczonej po biegu, kręci się od tego w głowie. Zamalowują papier i deseczki, potem swoje dłonie i stopy, a mnie przez głowę przebiega myśl, że może powinnam im zabronić malowania po skórze, ale to tylko akwarele, więc już po chwili ozdabiają mi twarz.

Po godzinie malowania dostaję alert rządowy: na Hawajach ogłoszono stan zagrożenia atakiem rakietami balistycznymi, ale władze twierdzą, że to fałszywy alarm.

Przez dobrą minutę wpatruję się w milczeniu w telefon, a potem przenoszę kolejno spojrzenie na umazane farbą dzieci.

- Mogę ci pomalować oczy? - pyta czterolatka i nadciąga z cienkim pędzelkiem pokrytym fioletową farbą.

Rzucam telefon na sofę i uśmiecham się do córeczek. Kładę się na podłodze, zamykam oczy, śledzę dłońmi łydki krzątającej się wokół mnie małej.

- Ale tylko powieki - odpowiadam.

We wtorek o drugiej nad ranem mała zaczyna płakać, idę do jej pokoju i przekonuję się, że ma rozpalone, spocone czoło i policzki. Gdy wracam z łazienki, gdzie przechowujemy ibuprofen w syropie, już wymiotuje na pościel. Biorę ją na ręce, rozbieram i napuszczam ciepłej wody, ale gdy staje nago w wannie, wymiotuje jeszcze trzy razy, ocieram więc jej ciało ciepłym namoczonym ręcznikiem. Wymiotuje też na moje ubrania, więc je zdejmuję, obmywam się i siadamy razem w przedpokoju, w koszulkach, ale bez spodni, czuję

na nogach jej rozpaloną skórę. Popłakuje i już nie ma czym wymiotować, ale gorączka nie zeszła i nie mam serca jej odkładać, zasypia więc zwinięta w kłębek na moich kolanach. O piątej nad ranem mój mąż wymiotuje do umywalki. O szóstej wysyłam do pracy maila z informacją, że się spóźnię. Zawożę czterolatkę do przedszkola, a mój mąż opróżnił już żołądek, zostaje więc z małą, żebym nie opuszczała dnia w pracy. O trzynastej odbieram telefon z przedszkola: czterolatka się pochorowała, a gdy odbieram ją zapłakaną, wymiotuje tak często, że nie możemy wsiąść do taksówki ani do metra, więc niosę ją prawie dwa kilometry do domu, bo nie ma siły iść sama. Mała i mąż śpią, a ja obmywam czterolatkę kolejnym mokrym ręczniczkiem i siedzę z nią nad plastikową miską, aż i ona opróżnia żołądek. Poję ją po trochu, a gdy mąż i mała budzą się bez gorączki i wychodzą na krótki spacer, zostaję z czterolatką i przez pięć godzin oglądamy Psi Patrol oraz Dorę i przyjaciół, a ona to przysypia, to się wybudza. Tego wieczoru układam wszystkich do snu, zamawiam sobie pad thaia za pięć dolarów i oddaję się lekturze.

Nazajutrz mam gorączkę, ale nie rzygam, biorę więc trzy ibuprofeny, ukrywam fiolkę w plecaku i jadę do pracy, bo zostały mi tylko trzy dni chorobowego, zresztą i tak muszę jechać wieczorem na uczelnię. Dzielę uczniów na grupy i proszę ich o wykonanie i przedstawienie analizy różnych fragmentów tekstu, który zadałam im poprzedniego dnia, ale na zajęciach wieczorowych nie ma pracy w grupach, więc przez trzy godziny omawiamy Resztki Toma McCarthy'ego, powieść, której cierpiący na zaburzenia pamięci narrator niespodziewanie się wzbogaca i podając w wątpliwość swój status jako osoby, stara się w ściśle kontrolowanym środowisku odtworzyć to, co wydaje mu się autentyczne, i w ten sposób odzyskać kontakt z rzeczywistością.

Podczas przerwy studentka widzi, jak ochlapuję twarz wodą i łykam następne pigułki, a gdy pyta, czy dobrze się czuję, ściskam mocno zimne krawędzie umywalki, przytakuję, uśmiecham się – raptowny skok gorączki, mgła w głowie – i nic nie odpowiadam.

W weekend jedziemy do jakiegoś przeskalowanego nadmorskiego domu na Long Island, w którym mój mąż robił zabudowę garderób za dwukrotność naszego miesięcznego czynszu.

Zapraszają nas na te niby imprezy, gdy mój mąż zabuduje im wnękę albo zrobi nowe szafki. Właściciele tych domów po powrocie z pracy albo w weekendy chętnie otwierają piwo i przysiadają się do niego, gdy pracuje. Jemu też proponują piwo, a on często się zgadza i zostaje dłużej.

Studiował na podobnych uczelniach co oni, te same gwarantujące porządną pracę kierunki dla dojrzałych ludzi. Nie znosił jeżdżenia co dzień do jednego i tego samego biura, zawsze marzył skrycie o pracy manualnej. Po pracy jeździł do wynajmowanego warsztatu i po dniówce w kapryśnym środowisku kolejne godziny poświęcał na konstruowanie, wytwarzanie, kojenie nerwów. W jego rodzinie nikt wcześniej nie studiował i początkowo zdawało mu się, że musi coś udowodnić. Po upadku rynków finansowych znalazł się powód, ale znalazła się i wymówka. Mógł odejść nie tylko bez poczucia winy, ale i z pewną satysfakcją.

„Co za pazerne chuje” – mamrotał, słuchając radia publicznego ogłaszającego załamanie rynków, a potem dofinansowanie instytucji finansowych z pieniędzy podatników. Dopiero co zamieszkaliśmy razem i oddawszy wszystkie garnitury na cele dobroczynne, stał przy mnie, pocierał świeże odciski na dłoniach i nawet nie krył ulgi.

Podróż linią kolejową Long Island trwa krócej niż mój dojazd do pracy, bierzemy ze sobą dzieci. Mój mąż liczy na podłapanie następnego zlecenia. Rozmawiamy o niczym, sączymy przesłodzone wino, a on flirtuje, zgrywa czarusia. Ja przesiaduję w ubraniu na zamkniętych pokrywach toalet, szukam dzieci albo się z nimi bawię i czekam tylko rozpaczliwie, aż da znać, że możemy wracać do domu.

Jest w lepszej formie niż pozostali, nieco starsi mężczyźni. Jest też bardziej *cool*; dopóki go nie poznałam, nie rozumiałam, po co się

używa takich słów. W jego obecności ich żony zbyt często muskają dłonią swoje twarze lub włosy, a oni sami popisują się przed nim, przesadzają z kurwowaniem, rozpinają górne guziki swoich białych koszul, podskubują etykiety na butelkach piwa i pozwalają sobie na sztubackie żarty.

Ich żony snują się po sąsiednich pomieszczeniach, częstują jedzeniem i nawołują dzieci. Wyobrażam sobie, że w tygodniach czy miesiącach, które spędza w ich domach, mają większy apetyt na seks; w ich korytarzach i garderobach unosi się jego zapach, gdzieś leży klucz nastawny albo porzucony odłamek drewna.

Na mój widok – na widok moich krótkich włosów, okularów, luźnych ubrań w nieładzie oraz towarzyszącej wypowiedziom wyrazistej gestykulacji – nie posiadają się ze zdumienia. Czasem odwracają wzrok i myślą sobie pewnie: „To niemożliwe. Ona?”. „Nauczycielka akademicka” – mamroczą do siebie, gdy zaczynamy rozmawiać; unoszą brwi i uśmiechają się, jakby chciały dodać „rzekomo”, ale ugryzły się w język. Kiwam głową, czerwienię się i prostuję: „Wykładowczyni kontraktowa, a nie kontaktowa”. Od wprawiania rozmówczyń w dobry humor przechodzę gładko do wprawiania je w zakłopotanie:

- Tylko że nie mam ubezpieczenia zdrowotnego. Owszem, wykładam, ale nie pieniądze na stół.

Podczas jednej z tych imprez któryś z mężów wziął mnie za opiekunkę i wetknął mi dwudziestaka.

- Dzięki wielkie, że tak dobrze zajęła się pani maluchami.

Pieniądze zatrzymałam.

Nie mówię im, że ostatnio uczę też w szkole średniej. Nie wiem, czemu im nie mówię. Chyba nie chcę z nimi rozmawiać o tym, jaka to „szlachetna, ważna praca”. Zdaje się, że to by było jeszcze bardziej poniżające niż „rzekoma wykładowczyni”.

Popychają w moją stronę swoje dziesięcioletnie dzieci, jakby bliskość wykładowczyni prestiżowej uczelni miała im za kilka lat

zapewnić wybitne wyniki w teście SAT. „Nauczyciel twierdzi, że jest dosyć zdolny” – szepcze jedna. „Ona uwielbia pisać, tylko że nauczyciel gasi jej zapał, hamuje rozwój” – twierdzi inna. Jestem dla nich miła, bo wiem, że muszę, i nienawidzę ich za to, bo jeśli nie powiem dokładnie tego, co powinnam, mogą uznać, że nie chcę tych szafek, garderób czy innego gówna, a my nie będziemy mieli na czynsz.

Karmię dwulatkę na sofie, bo wiem, że kręcą na to nosem, że wołałyby mnie wysłać do dziecięcego pokoju, gdzie „jest ciszej” i gdzie będę miała „więcej prywatności”. Któraś podaje mi uprzejmie koc; odrzucam go byle jak na sofę.

Obserwuję męża, wokół którego roi się teraz zarówno od mężczyzn, jak i od kobiet. Słyszę z daleka jego śmiech. Widzę jego idealną sylwetkę, dwudniowy zarost na brodzie i policzkach, swobodę, z jaką trzyma butelkę z piwem – dłoń na etykiecie, kciuk nad wylotem. Nasza córka ssie pierś i na mnie patrzy. Przysiada się do mnie jedna z kobiet. Radczyni prawna, w naszym wieku. Zawsze się dziwię, gdy okazuje się, że one nie są starsze, tylko po prostu bogate.

- W porządku? – pyta.

- Tak – odpowiadam. Patrzę, jak nasza czterolatka przemyka przez pokój z bandą starszych dzieci.

- Jakie one śliczne – mówi kobieta.

Przytakuję.

Kładzie dłoń na brzuchu, a mnie przebiega przez głowę myśl, że jest w ciąży.

- My się jeszcze staramy – rzuca.

Próbuję zdecydować, czy zadawać kolejne pytania, wychylić się w jej stronę, co bym zapewne zrobiła, gdyby nie to, że już uznałam, że jej nie lubię, czy po karmieniu dać jej potrzymać dwulatkę, żeby zapamiętała ten ciężar na wszystkie miesiące oczekiwania na własny.

- Napijesz się wina? – pyta.

Kręcę głową, a ona ujmuje stopy mojej córki.

- Dobra - mówi. - W razie czego daj znać.

W pociągu do domu dziewczynki zasypiają, a ja zaczynam płakać.

Jesteśmy w miejscu publicznym, więc mój mąż siedzi cicho. Zawsze wydaje mi się, że myśli coś gorszego niż to, co w końcu mówi. Patrzymy, jak jakiś pijak policzkuje wytaczającą się z wagonu żonę.

Mój mąż przeczesuje palcami włosy, pociera kark i szepcze do mnie:

- Co się, kurwa, stało?

- Nie wiem - odpowiadam. Pocieram kciukami nadgarstki córeczek i omijam go wzrokiem.

Trzyma rączkę wózka i widzę, jak zaciska palce, a pod koszulą tężeją mu mięśnie.

- To przez te kobiety.

- To po prostu ich słuchaj - mówi. - Uśmiechaj się.

- A ty ich nie nienawidzisz? - pytam. - To takie...

Tak naprawdę nienawidzę kogoś innego.

- Jestem zmęczona.

- Zawsze jesteś zmęczona.

Patrzę na córeczki.

- To tylko praca - dodaję.

Wyglądam przez okno.

Śpią.

Po powrocie do domu śpią nadal i jakoś udaje nam się je wsunąć do łóżek. Mąż przyciąga mnie do siebie, kieruje w stronę łazienki. Zgina mnie w pół przy tandetnym czarnym regale z imitacji metalu, który kupiłam w Targecie, gdy sprowadziłam się do Nowego Jorku, kładzie mi dłonie na ramionach, a potem w talii, i wchodzi we mnie powoli, jakby trochę przepaszająco. Na najwyższej półce leżą moje nieliczne kosmetyki: tusz do rzęs, tonik z oczaru, pomadka nawilżająca; ciężki i twardy słoiczek z kremem - bardzo drogim, ale matka co roku

kupuje mi go pod choinkę – spada mi na głowę, ale ani drgnę, ani pisnę.

Po wszystkim nachyla się i mnie całuje, ale ja odwracam się i odrywam kawałek papieru toaletowego. Podcieram się, nasza dwulatka nie śpi, jest głodna, uczepia się mnie, z piersi, z której nie pije, cieknie mleko, skóra między moimi piersiami a brzuchem jest mokra i lepka. Karmię ją i słucham, jak on bierze prysznic.

– Kiedy mnie zostawisz – mówię, ze śpiącym na piersiach dzieckiem i wciąż jeszcze lepką skórą – kiedy mnie zostawisz, znajdziesz sobie dziewczynę, która się uśmiecha i umie się stosownie ubrać. – Po trzydziestu minutach od rozpoczęcia imprezy musiał mi zdjąć z głowy włóczkową czapkę. – Będzie zadowolona z siebie, łatwa, odrobinę kluchowata. Nie będzie stroniła od szminki ani tej mazi, którą chyba powinnam już zacząć sobie wcierać pod oczy. Odda ci całą siebie. Będzie interesująca, ale nigdy w sposób, który by ci zagrażał. Będziesz ją kochał jak głupi, do tego stopnia, że często będziesz się brzydził swoim nowym wcieleniem.

Leżymy długo obok siebie, nie śpimy, ale też nie rozmawiamy. Wstaje z łóżka, odbiera ode mnie dziecko i zanosí je do łóžeczka. Nasłuchuję, jak nalewa sobie wody. Wchodzi z powrotem na górę, traktuje mnie jak powietrze. Dalej nasłuchuję; zamyka oczy, wyrównuje mu się oddech, po chwili już śpi.

W ramach ostatnich zajęć zabieram studentów do baru. Za moich czasów studenckich też tak było. To studia uzupełniające, regulamin jest płynny i nieprecyzyjny. Studenci raczą mnie drinkami i mówią to, co pewnie przez cały semestr myśleli, ale czego nie odważyli się powiedzieć na zajęciach. Czwooro z nich płakało na dyżurach. Jestem najmniej onieśmielająca ze wszystkich wykładowców, bardziej jak mama czy ktoś w tym rodzaju. Chcę im dać to, czego ode mnie oczekują, ale czasem oczekują czegoś, czego nie może dać im nikt.

- Mój szef się upił i próbował mnie pocałować - szepcze bełkotliwie dziewczyna często pisząca o urazie psychicznym, który przeżyła jako szesnastolatka. - Musiałam jechać z nim taksówką do domu i zaprowadzić go do mieszkania, bo zdawało mi się, że sam nie da rady, a on próbował mnie pocałować i teraz się boję, że mnie wywali.

- Myśli pani, że jestem głupia? - pyta młoda dziewczyna, która pisze na ogół o śmierci, a raz napisała osobliwy, oryginalny tekst o rzeźni.

- Oczywiście, że nie - odpowiadam szczerze.

- Ludzie często biorą mnie za głupią.

Jest śliczną i uroczą blondynką.

- Nigdy nie uważałam cię za głupią.

W pewnym momencie w rozmowie pojawia się nazwisko mężczyzny, o którym wspominała kilka miesięcy temu moja była studentka.

- Nie powinien wykładać - mówi jakiś student.

- To oblech - rzuca inny.

- Na dyżurach mówi dziewczynom, że żyje w związku otwartym - dodaje jakaś dziewczyna.

- Ma lekceważący stosunek do kobiet - mówi inna.

- To zjeb.

Wypiłam dwa bourbony i sama już nie wiem, jak na to zareagować. Na razie nikt nie przedstawił konkretnych zarzutów. Nie jestem pewna, co odpowiedzieć. Nie jestem pewna, na ile mogę sobie pozwolić.

- Przykro mi - mówię. - Czy ktoś powiadomił władze?

Dziewczyna, która zawsze ma pomalowane oczy i usta, i jest znacznie inteligentniejsza, niż mi się początkowo zdawało, mówi:

- Ktoś to próbował zgłaszać szefostwu wydziału, ale tej osobie zamknięto usta.

- Jak to? - pytam. - Co zgłaszała?

- Nie wiem dokładnie.

Nikt dokładnie nie wie, zdaje się, że żadne z nich nie ma konkretnej, rozstrzygającej, bezpośredniej wiedzy.

- Przykro mi, kochani - mówię. - Do dupy z tym wszystkim.

- To ohydne - mówi student, który najczęściej zabiera głos. Jest starszy od pozostałych. - Taki syf nie powinien mieć miejsca.

Nie dzwonię do Melissy. Obawiam się, że uzna mnie za nierozsądną. Obawiam się, że prosiłabym o zbyt wiele, a nie chcę więcej prosić o coś, co ją przerasta. Odczekuję dwa dni i kontaktuję się ze znajomą, zaufaną dziekanką, która mi pomogła, gdy na ostatnim roku studiów zaszłam w ciążę i kombinowałam, jak mimo rzadszej obecności na uczelni nie utracić świadczeń zdrowotnych. Co semestr na którymś z dwóch piętnastominutowych posiedzeń rady wydziału powtarza te same zdania o „polityce uczelni”.

- Zgłaszanie nieprawidłowości to wasz obowiązek - powtarza regularnie. - Jeśli jesteście świadkami którejs z tych sytuacji... - Tu wylicza studenckie skargi, które bezwzględnie mamy jej zgłaszać, choć ma przy tym świadomość, że połowa sali się wyłączyła.

- Ale zaścianek - szepnął do mnie kilka miesięcy temu któryś z pięćdziesięciokilkuletnich mężczyzn, gdy dziekanka tłumaczyła, że nie można się umawiać ze studentami i studentkami, których się uczy. Kiedy mówiła, że bez względu na okoliczności takie osoby są nietykalne, ten gość przewijał na telefonie Facebooka i kręcił głową. - Przecież to nie dzieci - rzucił, a ja siedziałam nieruchomo z dłońmi na kolanach.

NAJPIERW PISZĘ DO dziekanki maila z pytaniem, czy ma czas się ze mną spotkać. Dodaję, że potrzebuję pomocy w pewnej sprawie. Podaje mi kilka terminów, w których mogę do niej zajrzeć albo zadzwonić. Wyrywam się z pracy w środku dnia, żeby się z nią zobaczyć.

Rozmawiamy o pierdołach. Pozwalam sobie na bezceremonialny zarcik o tym, że chyba założę komunę na prowincji, bo Nowy Jork jest za drogi, a ona pokazuje mi w swoim telefonie filmik z niezbyt urodziwą starszą kobietą o długich, siwych włosach, która sama zbudowała sobie dom i farmę, oraz inne materiały z serii będącej chyba czymś w rodzaju antykapitalistycznego youtube'owego imperium o charakterze poradnikowym, wysławiającego życie bez prądu i bieżącej wody.

- To co słychać? - pyta dziekanka po wyłączeniu trzeciego filmiku i odłożeniu telefonu na biurko, ekranem do dołu. W ostatnim materiale kobieta przez większość czasu konwersowała ze swoimi krowami. - Co się stało? - dodaje.

Zbiera mi się na płacz, ale obie to ignorujemy.

- Mam do ciebie zaufanie - mówię. - Wydaje mi się, że powinnam o czymś powiedzieć - dodaję, tyle że nie mam wiedzy z pierwszej ręki, żadnych dowodów ani faktów.

- Aha.

Zaczynam od historii byłej studentki. Podaję nazwisko mężczyzny i opowiadam o tym, czego dowiedziałam się od studentów na ostatnich zajęciach. Gdy wspominam, że piliśmy, ogarnia mnie skrępowanie i zastanawiam się, czy wyciągnie z tego konsekwencje.

- Pewnie mówią to akurat mnie ze względu na moje dziwaczne położenie: niby nie mam żadnej władzy, ale teoretycznie moje stanowisko się liczy. Ich relacje są mało konkretne, a jednak...

Próbuję jej wyjaśnić, że płaczę między innymi dlatego, że boję się pełnienia tej funkcji, a poza tym nie do końca rozumiem, dlaczego płaczę. Może po części dlatego, że wszystko, co mówię, wydaje się takie powszechne i zwyczajne.

- Jak to: powszechne? - mówi.

„Z punktu widzenia kobiety tutaj w ogóle panuje systemowo lepka atmosfera” - to nie brzmi ani rozsądnie, ani racjonalnie, takich rzeczy się nie mówi. W pewnym sensie cały świat taki jest, więc olać sprawę. Lepkiej atmosfery oraz ciągłego hierarchicznego

dyskomfortu, czasem zakłócającego funkcjonowanie, nie da się sprowadzić do konkretnych oskarżeń, a ja, córka prawników, dobrze o tym wiem, ale skoro już tu jestem, mam jeszcze coś do dodania.

- Nie znam zbyt wielu kobiet, które po pierwszym roku wybierały przede wszystkim zajęcia prowadzone przez mężczyzn. Miałyśmy zaufanie może do czterech. Znam za to co najmniej trzy kobiety, które przespały się ze swoimi wykładowcami. I wiem, że po wszystkim pewien żonaty wykładowca wysłał opowiadania jednej z nich do prestiżowego pisma.

Patrzy na mnie bez słowa. Powiedziałam to.

- Mieli przyzwolenie - dodaję.

- Wierzysz w to? - pyta.

- Nie - odpowiadam. - Ale ja to ja. - Mówimy o literaturze. Sztuce. Piękno i erotyka są w nie nieodłącznie wpisane. Żebyśmy się dobrze... Po prostu chciałam ci dać znać, co się mówi o tym gościu. Nie chciałam tego przemilczeć, bo to może jeszcze nie być koniec.

Czuję się niedobra i niewdzięczna.

- Ale wykładają tu też naprawdę cudowni ludzie - dodaję i wymieniam nazwiska kilku mężczyzn. - Bardzo wiele tej uczelni zawdzięczam.

- Możemy się spotkać w przyszłym tygodniu? - pyta.

Nie ma więcej czasu, a ja muszę wracać do szkoły na popołudniowe zebranie o niczym.

- Jasne - odpowiadam.

Odnoszę wrażenie, że w ostatniej chwili chce mnie złapać za ramię, ale nie robi tego.

- Wszystko gra - mówi. - Płacz to dobra rzecz.

Ocieram nos rękawem i robi mi się wstyd.

Kiwam głową.

- Wiem - odpowiadam. Kręcę głową i parskam śmiechem.

Do pracy wracam z zapuchniętymi powiekami, ale nikt tego nie komentuje. Na dziś skończyłam lekcje i do pustej sali, w której

zaszyłam się, żeby popracować, zagląda na chwilę Kayla. Opowiada, że mało która dziewczyna ją lubi, plotkują o niej; zrobiła skrzynki całej litanii postów na Facebooku i zastępca kierownika musiał je poprosić o ich usunięcie.

- Durne zazdrosne pindy - komentuje i majstruje przy paznokciach.

Należy odnotować, że Kayla jest piękna. Piękne wargi, oczy, kości policzkowe. Nieskazitelna ciemnobrązowa cera. Dziś ma na głowie turban, a gdy mówi i zerka mi przez ramię na drzwi, raz za razem go poprawia.

- Lepiej by się zajęły sobą.

Kiwam głową.

Najchętniej bym jej powiedziała, żeby sobie nie szkodziła, żeby nie dała się wytrącić z równowagi. Nie czuję się kompetentna i nie uważam, żeby złość świadczyła w tym przypadku o braku hamulców. Ale w tym roku Kaylę już dwukrotnie zawieszano za bójki, a za trzecim razem ją wywalą.

- Ty też musisz się zająć sobą.

Dwa dni później dostaję maila z uczelnianego biura do spraw równego traktowania i akcji afirmatywnej z pytaniem, czy mam czas na spotkanie. Gugluję nazwisko nadawczyni, okazuje się, że to prawniczka. Z gabinetu dziekanki wyszłam z wrażeniem, że do naszej następnej rozmowy nic się nie wydarzy. Szybko odpisuję i podaję kobiecie dni i godziny, w których mogę się wymknąć z pracy i do niej przyjechać. „Wobec tego jutro rano” - odpisuje.

Piszę maila do Melissy, ale go nie wysyłam. Nie chcę jej znów zawracać głowy cudzymi zmartwieniami. Dochodzę do wniosku, że zawsze mogę do niej zajrzeć później.

Podczas porannego biegu ciągle rozmyślam, w co się ubrać. W końcu idę cała na czarno, w spodniach i bluzce z długim rękawem, bo jakoś obawiam się odsłaniania skóry. Gdy nadchodzi pora spotkania, denerwuję się w oczekiwaniu, aż po mnie wyjdzie. Ale nie

wychodzi, zostaje za biurkiem, a do środka zaprasza mnie recepcjonistka.

- Wie pani, z jakiego powodu panią zaprosiłam? - pyta kobieta.

- Chyba tak - odpowiadam. Trzęsą mi się ręce.

- Dobrze się pani czuje?

- Nie mam etatu - przyznaję. Nie powinnam się tak bać, chcę jej powiedzieć, co wiem, i odczuwam pewną ulgę, że w tej sprawie coś się dzieje.

- Jeśli ktoś spróbuje wziąć na pani odwet, może pani złożyć skargę.

Aha, czyli jak zostanę bez pracy i tej śmiesznie małej wypłaty, która ratuje nam budżet, zawsze będę mogła przyjść do niej i się wyplakać, a ona to odnotuje.

- Chce pani zacząć? - pyta po krótkiej wymianie zdań: ona zapewniała, że nie jestem przesłuchiwana, ja poinformowałam, że mam informacje o budzących wątpliwości zachowaniach.

- Mam do pani szczegółowe pytania - mówi. - Ale może pani zacznie.

Opowiadam jej to samo co kilka dni temu dziekance. Pyta o nazwiska, ale ich nie zdradzam. Powtarza za mną „koleżanka koleżanki pani studentki”, kiwam głową, ona zapisuje, a ja czuję się jak kretyńka.

- To wszystko?

Czyli może to nic, myślę sobie. Może opacznie to zrozumiałam. Zdaje się, że na to, co jej właśnie opisałam, nie ma określeń w języku, szczególnie prawniczym. Jak w statucie, regulaminie, wypunktowanych zdaniach zamieszczonych na stronie internetowej uczelni ująć to, że człowiek może czuć się stale niewystarczający, deprecjonowany, subtelnie pozbawiany poczucia kontroli?

Najchętniej wymieniałabym nazwiska wszystkich wykładowców, którzy nie zaszczycali mnie spojrzeniem, gdy ich mijałam lub gdy stałam w grupie rozmawiających z nimi osób, jakby po to, by zostać usłyszaną lub przeczytaną, należało spełnić warunek wstępny

w żadnym stopniu niezwiązany z tym, czego chciałam tu zakosztować, co tu chciałam robić, co chciałam mówić i kim zostać. I powiedziałabym, że w rezultacie można było odnieść wrażenie, że u mężczyzn inteligencja to sprawa naturalna i nieskomplikowana, często przypisywana samowolnie; kobiety nie wybierały się same, były namaszczone, nazywano je „błyskotliwymi”, co sugerowało zaangażowanie dodatkowych zmysłów, i cechę tę jakimś sposobem przypisywano dziewczynom, na które wykładowcy lubili patrzeć na lub po zajęciach.

Przychodzi mi na myśl Sasha, która w tej sytuacji na pewno mogłaby złożyć formalną skargę. Wykazałaby, że zarzut jest konkretny. Gdybyśmy jeszcze miały ze sobą kontakt, przemówiłabym w jej imieniu.

- Czy ma pani coś do dodania? - pyta prawniczka.

Nie wiem, co o tym myśleć. Czuję się nieprawdopodobnie zmęczona.

Kobieta opowiada mi historię, której wcześniej nie słyszałam: pod drzwiami gabinetu tego samego wykładowcy pewna studentka usłyszała „niestosowne” odgłosy, a potem zobaczyła, jak wykładowca wychodzi stamtąd w towarzystwie innej studentki, oboje rozchełstani.

- Podobno zgłaszała to pani, pani przekazała informację Melissie, a ona nas nie powiadomiła.

Melissie, która otaczała mnie taką życzliwością.

- To wszystko nieprawda - oznajmiam.

Kiwa głową.

Nic takiego nie miało miejsca. Czuję się, jakbym przez przypadek znalazła się po jego stronie. Specjalnie rzucała fałszywe oskarżenia. Mam ochotę zapytać, kto tak twierdzi. Chcę jej podać niezbite dowody, ale niczego takiego nie mam.

- Ale jeśli chodzi o pozostałe doniesienia...

Podaje nazwisko studentki, która rzekomo opowiedziała mi tę historię.

- Nie znam jej - mówię. - A Melissa jest wspaniała - dodaję. Ten przymiotnik nic nie znaczy, szczególnie dla prawników. - To jedna z najbardziej empatycznych osób na uczelni, szczególnie w stosunku do kobiet.

- Rozumiem - kwituje prawniczka.

Przestała notować to, co mówię.

Nie wracam do pracy. Opuszczam zebranie, ale piszę do współwychowawczyń: proszę, żeby przekazały szefowi, że coś tam z dziećmi. Powiadamiam też opiekunkę, że sama je odbiorę, wsiadam w pociąg i idę po nie. Dziwią się na mój widok, uśmiechają, biorę je na ręce i czuję się, jakbym pierwszy raz od wielu dni nabrała powietrza. Biorę je do parku, bawią się, a ja je obserwuję, a potem zabieram do domu, jemy razem kolację, wstawiam je kolejno do wanny, potem układam do snu.

Dzwonię do Melissy, żeby powiedzieć jej o rozmowie z prawniczką.

- Czy ja dobrze rozumiem, że postawiono ci jakieś zarzuty?

Długo się nie odzywa.

- Wiedz, że nie ma w tym grama prawdy - mówię.

- Wiem - odpowiada. - Dziękuję ci za te słowa.

Rozmawiamy długo, ale o sprawach błahych. Opowiada mi o zajęciach i o drugiej turze chemioterapii jej suczki. Rozmawiamy tak, jakbyśmy dzięki temu miały odnaleźć sens w tym, czegośmy się właśnie dowiedziały, ale na próżno.

O wpół do trzeciej nad ranem słyszę buczenie i pikanie telefonu. Przypominam sobie, że ten durny Instagram powiadamia użytkowników, gdy zaczyna ich obserwować obserwowana osoba. Nie muszę zerkać na ekran, żeby wiedzieć, że odnalazła mnie Sasha.

„Nie wiem, jak to się robi” - pisze. „Powiedz mi, że tego nie spieprzę”.

Nasza dwulatka śpi z nami, zwinięta w kłębek przy moim brzuchu, rozgrzana, oddycha ciężko przez flegmę wywołaną niekończącym się późnowiosennym przeziębieniem. Przyciągam ją do siebie, wpatruję się w ekran z jej wypisanym imieniem, a potem spoglądam z powrotem na dłonie małej, zaciśnięte teraz na moim drugim nadgarstku.

- TO CZEMU DO niej nie zadzwonisz? - pyta chilijska pisarka.

Wyszłam już z pracy i w środku dnia siedzimy w przeszklonej restauracyjce przy Dziesiątej Zachodniej nad dużym talerzem jajek sadzonych z jarzynami i frytkami.

- Nie rozmawiamy ze sobą - mówię.

Jedyną klientką poza nami jest stara kobieta o długich, gęstych włosach, cała w czerni.

- Minęło tak dużo czasu - dodaję.

Chilijska pisarka kuli ramiona i rozchyła jej się dekolt. Na jej prawym obojczyku widzę pieprzyk; kości ma cienkie i długie.

Nie mogę spojrzeć jej w oczy.

- Zdawało mi się, że to dzięki niej jakimś cudem uda mi się zachować równowagę - mówię.

Chilijska pisarka przytakuje, jakby na którymś etapie życia to złudzenie dotyczyło nas wszystkich.

- Umiałam jej tylko potrzebować. Kiedy ona potrzebowała mnie, zawiodłam.

Chilijska pisarka milczy, wlewa sobie do kawy trochę mleka.

- Straciła dziecko - mówię. - Lata temu. Same byłyśmy jeszcze smarkate.

Czuję, jak nachyla się nade mną jej twarz.

- Porzuciłam ją.

To brzmi mniej brutalnie niż w mojej głowie. Chilijska pisarka popija kawę i patrzy na drzwi za moimi plecami.

- Więcej niż raz - dodaję. Mówię to głośniej, niż zamierzałam, a ona znów podnosi głowę.

Nie skrywam żadnej straszliwej zbrodni. Mam ochotę zdecydowanym ruchem ująć jej twarz w dłonie i zapytać, czy wie, że niektóre akty przemocy są drobne i subtelne, ale przez to trudniej je przepracować, dojść do tego, jak zasłużyć na przebaczenie, jak je później wynagrodzić.

- Ilekroć mogła potrzebować mojej obecności - mówię - odcinałam się i znikałam.

MAM DWADZIEŚCIA DWA, a Sasha dwadzieścia trzy lata. Mieszkam w Nowym Jorku i nie chce mi się kontynuować studiów uzupełniających, które ciągną się w nieskończoność; w kółko rozmawiamy tylko o tym, jak wciąż niepewne będą po nich nasze losy. Sypiam z badaczem literatury epoki wiktoriańskiej, który prosi mnie o zgodę na trzymanie mi rąk na szyi podczas uprawiania seksu. Zgadzam się, bo przecież chce mnie przeruchać, i wydaje mi się, że powinnam być mu za to wdzięczna. Jest dopiero trzecią osobą, z którą się przespałam, a każda z nich zmywała się po kilku dniach lub tygodniach.

Sasha ma wolny pokój w swoim mieszkaniu w Tajpej, gdzie pojechała uczyć się mandaryńskiego, pracować jako nauczycielka angielskiego „przeżyć przygodę”, ponieważ nie dostała prestiżowego stypendium, o które się ubiegała. „Przyjedź” - pisze, a ja mam jeszcze niewpłaconą kaucję za wynajem mieszkania i tak bardzo chcę z nią być. Liczę skrycie, że jeśli pojedę, ona wszystko naprawi. Dostaję zgodę na półroczny bezpłatny urlop, podczas którego jestem zwolniona z prowadzenia zajęć oraz pracy naukowej. Wyobrażam sobie, że dzięki naszym rozmowom wszystko się ułoży, zupełnie jak kiedyś, i że będąc blisko niej, widząc, jak korzysta z życia, jakimś sposobem sama się tego nauczę.

Dzień zaczyna od blanta i tak samo go kończy; oglądamy na okrągło Prezydenckiego pokera, a przy odcinku o napięciach na linii Chiny-Tajwan czujemy realne zagrożenie. Mama przysłała mi przepisany przez lekarzy bupropion, ale nie biorę go, nigdy go nie brałam. Sama nie wiem dlaczego, może poza tym, że to mój sposób na zamanifestowanie poczucia sprawczości. Po ostatnim wieczornym blancie Sasha dogadza sobie obfitymi posiłkami, które sama gotuje, a potem usilnie namawia mnie do jedzenia razem z nią. Znosi do domu tanie wino, ja wypijam powoli jeden kieliszek, ona osusza resztę.

Jest okropnie gorąco. Pochodzimy z Florydy i wydaje nam się, że wiemy, co to skwar, ale tu nie ma wiatru znad oceanu, a połączenie wszechobecnego betonu i smogu sprawia, że powietrze jest nie tylko rozgrzane, ale też parne i zgęstniałe, i ilekroć wychodzimy na dwór, już po przejściu kilku przecznic ociekamy potem. Sasha po powrocie z pracy natychmiast zdiera z siebie bluzkę i spodnie, i paraduje po mieszkaniu w bieliźnie, gadając, gestykulując i upinając włosy. Ja siedzę w ubraniu na sofie i milczę. Powtarza w kółko, że ona to potrzebuje seksu, miłości, emocji tak silnych, że zdołają wyrwać ją z marazmu, znieść poczucie obcości towarzyszące naszemu życiu w tym mieście; ja siedzę cicho w kącie i próbuję coś z tego zrozumieć, ale wiem też, że ja jej tego nie zapewnię. Tęskni za tym szczególnym rodzajem mocy, którą daje jej zainteresowanie mężczyzn, a z powodu wzrostu, tupetu i krzykliwości nie cieszy się w Tajpej takim powodzeniem jak u siebie. Najbardziej pragnie czuć się pożądana, czego ja nigdy nie umiałam w pełni pojąć. Początkowo czułam ulgę, że pod tym względem tutaj jesteśmy podobne.

Czytam Anitę Brookner na materacu w swoim pokoiku z niewydolną klimatyzacją. Czytam Jean Rhys, D.H. Lawrence'a, Colma Tóibína, Deborah Eisenberg, Iris Murdoch, Barbarę Comyns, Penelope Fitzgerald, Doris Lessing, Jane Bowles oraz znów Faulknera i Woolf. Lubię kameralne, gorzkie historie rodzinne; od słynnego *The Blue Flower* Fitzgerald wolę jej *The Bookshop*, a *Nora Webster*

Tóibína rozdziera mi serce. Gdy jadę metrem otoczona niezrozumiałymi słowami, w głowie ciągle dźwięczą mi urywki prozy Eisenberg: „Bo zdarzeń oczywiście nie dało się na bieżąco poznać. [...] Nie przypominały niczego innego, były jedyne w swoim rodzaju i nie mieściły się w żadnej ze znanych kategorii myślowych. Później jednak wrastały doskonale w pamięć, jakby trafiły na odpowiednią glebę, podatną, ochoczą”. Tajwan budzi określone skojarzenia: Azja Południowo-Wschodnia. Moja koleżanka Leah ciągle pyta w mailach, co tam u mnie w Tajlandii. Sasha i ja uczymy zamożne tajwańskie dzieci, których rodzice mają domy w Ameryce. Zarabiam więcej pieniędzy, niż mi potrzeba. Czynsz i jedzenie są tanie i w kartonie przy łóżku trzymam sterty dolarów tajwańskich. Wszyscy jej znajomi to przybysze uczący angielskiego. Ja rzadko rozmawiam z kimś poza nią.

Palimy na spółę blanta i wychodzimy na nocny targ, gdzie szczypcami nakładamy do foliowych torebek zieleninę i podajemy ją jakiemuś mężczyźnie, a ona duka coś po mandaryńsku. Mężczyzna wrzuca nasze zakupy do gara, a potem nakłada, jeszcze parujące, z powrotem do naszych torebek. Bierzemy pałeczki, siorbiemy swoje mokre, gorące potrawy i patrzymy, jak wysoki, chudy zaklinacz hipnotyzuje potężnego czarnego węża o paciorkowatych ślepiach i połyskującej skórze; inny podobny gad owinał mu się wokół szyi. Mijamy stragany z tkaninami, mięsem i zabawkami i kupujemy sobie po luźnej płóciennej spódnicy. Któregoś wieczoru przechodzimy przez fioletową kotarę, a ona cieszy się jak dziecko i trzyma mnie za rękę, gdy drobna, korpulentna kobieta przekłują mi brew. Ja ściskam jej dłoń, gdy kobieta przebija jej chrząstki w górnej części uszu i umieszcza w nich małe kolczyki, a potem kupujemy sobie po porcji lodów zeszkrobanych z bloku i polanych syropem. Wokół fruwią słowa, ale żadnego nie rozumiem. Cieszę się, że nie muszę analizować ich znaczenia; zalewają nasze codzienne życie, strukturalizują je, ale nikt nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. Po kolczykach i deserze Sasha kupuje w całodobowym sklepie trzecią butelkę wina i do późna

w nocy siedzimy w parku i gadamy do upadłego; zdaje się, że właśnie po to przyjechałam. Cieszę się, że na żadną z nas nikt nie patrzy. Co za przemożna ulga.

Ale ona nie trzeźwieje. Od samego rana jara i spotyka się ze znajomymi, których nie lubię. Gdy ją odwiedzają, nie wychodzę z pokoju. Przynoszą ketaminę, vicodin, koks i inne dragi, których nazw nie wymieniają, a ja nie siedzę z nimi, więc nie widzę ich z bliska. Do tej pory lekarze przepisywali mi jedenaście różnych rodzajów leków i na wszystkie reagowałam jednakowo źle. Przez dziesięć ostatnich lat prawie nie ogarniałam rzeczywistości. Wymykam się do siebie z torbą czereśni ze straganu, zwijam się w kłębek na materacu i czytam.

W Tajpej wracam do biegania. Poza mrocznymi okresami, w których nie wychodziłam z domu, biegam nieprzerwanie od szkoły średniej, ale od pewnego czasu nie daje mi to takiej siły jak kiedyś. Jednak tutaj mieszkanie wydaje mi się czasem zbyt duszne, więc na całe godziny zagłębam się w zaułki miasta i choć nie znam języka i nie umiem odczytywać drogowskazów, zawsze odnajduję jakąś drogę powrotną. Zabieram ze sobą wizytówkę, na której zapisała mi po mandaryńsku nasz adres. W kieszeni szortów kartonik nasiąka potem i pismo się zamazuje, ale nie proszę o nowy. Mam przy sobie klucze i gotówkę, i znikam na długie godziny, żeby nie słuchać jej gadaniny; powietrze jest gęste i parne, gdzieniegdzie widać smog, ale obiegam po parę razy niewielki park przy naszym mieszkaniu, a potem pędzę przez targowiska, mijając ulicznych masażyistów stóp. Stare kobiety siedzące za swoimi niewielkimi straganami owocowymi czasem mnie dopingują, a ja się uśmiecham i przyspieszam.

Gdy któregoś wieczoru przyprowadza do domu przygodnego faceta, którego nazwiska nigdy nie poznamy, leżę właśnie tak na swoim materacu, z czereśniami i książką. Hotel du Lac: Edith, bohaterka powieści, po zniszczeniu swojego małżeństwa, zostaje wysłana samotnie do hotelu, „żeby dorosła”. Kiedy wchodzi, budzę się

z pestką czereśni w ustach i próbuję nie nasłuchiwać, jak toczą się do jej pokoju. Nazajutrz rano, gdy wychodzę do pracy, drzwi są otwarte i widzę ich jak na dłoni; przez cały dzień uczę bogate sześciolatkę i siedmiolatkę podstaw gramatyki, a w głowie mam obraz jej leżącego na nim ciała, ich nagich piersi.

Niecały miesiąc później, w środku tygodnia, wraca do domu z pierwszym testem ciążowym. Z początku myślę, że robi sobie jaja. Wspominam przelotnie, co się działo, gdy ona miała dwadzieścia, a ja dziewiętnaście lat. Jeszcze spocona po wieczornym biegu, czekam z kolejną torbą czereśni na kolanach przed telewizorem z wszechobecnym Prezydenckim pokerem, a ona pierwszy raz idzie do toalety. Przez cały wieczór krążymy między mieszkaniem a znajdującym się przecnicę dalej, jaskrawo oświetlonym sklepem, w którym dla pewności kupuje kolejne testy. Kroję mango, częstuję ją czereśniami i siedzę w milczeniu na sofie, a ona idzie po następny test.

Idziemy do lekarza w Tajpej, a on pyta nas (właściwie ją, bo ja nie znam języka), dlaczego marnujemy jego czas; orzeka, że ona i tak usunie ciążę. Po co przychodzimy po opiekę i witaminy? Nie jestem pewna, czy nie ma racji, ale nie mówię jej tego. Mijały lata, a ja nadal nie wiedziałam, czemu postanowiła ją donosić. Wiem tyle, że obie czułyśmy się całkowicie wyczerpane. Znużone i pełne lęku. Kiedy sześć lat później wpatrywałam się w kawiarni w napis „ciąża” i myślałam o swoim dziecku, przypominałam sobie tego zagniewanego mężczyznę i jego lekceważący ton. Sądzę, że może chciała mieć kogoś, kogo będzie mogła kochać i kto będzie kochał ją. Tego wieczoru moja pierwsza myśl o niej jako matce – a nasza przyjaźń polegała wcześniej głównie na tym, że ona mnie prowadziła, wydawała polecenia, a ja słuchałam – brzmiała: no przecież.

Planujemy podróż. Namawiamy się od miesięcy: najpierw, za zaoszczędzone pieniądze, dwumiesięczna podróż po regionie, a potem wylot do domu. Mamy za sobą ślęczenie nad mapami i sprawdzanie połączeń lotniczych, kolejowych i autobusowych. Skończyłyśmy pracę. Sasha jest w szoku, ale mimo wszystko opróżniamy mieszkanie: większość rzeczy sprzedajemy, resztę zostawiamy właścicielowi. Pakujemy plecaki i lecimy z Tajpej do Wietnamu. Samolot jest mały, czuć w nim dymem tytoniowym i zimnym, zatęchłym powietrzem, i Sasha ciągle wymiotuje. Wymiotuje w autobusie do Sapy na nocnym targu w Ho Chi Minh, w zaułkach, hostelowych toaletach, do restauracyjnych serwetek. W Hanoi wyklóca się z rykszarzem, który nieproszony zabiera nas na dwugodzinną przejażdżkę po peryferiach. Nim nas wysadzi - nadal daleko od hostelu, późnym wieczorem, nie wiadomo gdzie - Sasha już na niego wrzeszczy, a on trzyma ją za ramię i nie chce puścić. Jest rozszalała i wściekła, a ja myślę wtedy, że zważywszy na jej stan, umiejętność podejmowania walki najbardziej jej się w życiu przyda, i trochę mniej się boję.

Tego wieczoru biorę nasze bagaże, a ją zostawiam w kafejce internetowej. Idę do najbliższego drogiego na oko hotelu, rezerwuję pokój i płacę kartą kredytową (rodziców). Od kilku lat radzę sobie bez ich pieniędzy - dostaję pensję na uczelni, a trzy wieczory w tygodniu pracuję jako kelnerka w Nowym Jorku - ale przed moim wylotem przysłali mi kartę kredytową. Już niebawem ją potnę, ale tego wieczoru kupuję jej tonik (jedyne, czego nie zwraca) i paczkę zachodnich chipsów, sprowadzam ją do hotelu i napuszczam ciepłej wody do wanny. Oglądamy telewizję, siedząc razem w ciepłku na wygodnym łóżku, i chyba po raz pierwszy, odkąd się znamy, nie zamieniamy ani jednego słowa.

Kiedy kilka dni później, w hostelu w Kambodży, postanawia wracać do domu, ma nadzieję, że polecę z nią. Dzwonimy do jej siostry, na którą i przedtem, i potem, bez względu na to, co o niej myślę lub mówię przez wszystkie te lata, zawsze może liczyć, czego

nie można powiedzieć o mnie. Zaczynamy planować powrót. Cały czas rozmawiamy tak, jakbym miała polecieć z nią, ale tuż przed telefonem do przewoźnika dociera do mnie, że zostaję. Taką stanowczością chyba się jeszcze przy niej nie wykazałam, zdaje się, że pierwszy raz świadomie postanowiłam się od niej oddzielić. Póki tego nie wypowiem, ta decyzja nie mieści mi się w głowie. A gdy już to robię, czuję zarazem strach i niewysłowioną ulgę.

O tym, że nie lecę z nią, mówię jej w budce telefonicznej przy hostelu w Phnom Penh; ona siedzi, a ja stoję, i patrzę, jak jej palce zaciskają się na starej czarnej słuchawce, patrzę przez szybę na przemykające za jej plecami ryksze i mam ochotę zapaść się pod ziemię.

- Ja chyba zostanę - mówię.

Do dziś widzę jej ramiona, jej przestraszoną minę, nieruchome spojrzenie. Ni stąd, ni zowąd czuję się lekka i wolna. Od tygodni próbuję jej pomóc, coś poradzić albo poprawić humor. Przez cały ten czas chciałam, żeby mnie potrzebowała, ale tego, czego teraz potrzebuje, nie mogę jej dać. Czekam z nią, aż dodzwoni się do operatora. Wydała więcej pieniędzy niż ja. Przez ostatnie tygodnie przed wyprawką wydzielałam coraz więcej pieniędzy ze swojego pudełka, a na lodówce wisiała kartka, na którym zapisywałyśmy jej dług. Wydawała masę pieniędzy na zioło i wieczorne wyjścia, a czynsz płaciłam najczęściej ja.

- Wszystko ci oddam - mówi, gdy podaję jej kartę kredytową, żeby mogła przedyktować numer.

- To nie moje pieniądze - odpowiadam.

- Wszystko im oddam.

Dzień po jej wylocie spędzam na terenie dawnej szkoły położonej nieopodal pól śmierci na obrzeżach Phnom Penh, pełniącej obecnie funkcję prowizorycznego muzeum: przechodzę z sali do sali i oglądam rzędy portretów pomordowanych. Ofiary podzielono według płci: w jednym pomieszczeniu chłopcy i mężczyźni, tablica za tablicą,

w innym kobiety i dziewczynki, rząd za rządem. Po kilku dniach, już w Siem Reap, wstaję przed świtem, ponieważ umówiłam się z młodym przewodnikiem, że obwiezie mnie po Angkor Wat; oglądamy wschodzące nad główną świątynią słońce i zapominam o zrobieniu zdjęcia, a ilekroć się odwracam, nie mogę wyjść ze zdumienia, że nie ma jej obok mnie.

Wyobrażam sobie godziny, które spędza w samolocie, jestem pewna, że nadal nękają ją mdłości. Najchętniej bym do niej poleciała, ruszyła jej śladem, choć na chwilę. Odliczam godziny do chwili, gdy powinna wysiąść z samolotu i trafić cała i zdrowa w bezpieczne miejsce. Ma ją odebrać siostra. Wysyłają mi maila z hotelu w Miami i czuję ulgę, że teraz ktoś inny otacza ją opieką.

Zostaję jeszcze na pięć tygodni i przez cały ten czas wymieniamy długie maile. W pewnym sensie to najlepszy od miesięcy, jeśli nie od lat, okres naszej przyjaźni. Z hostelowych korytarzy i kafejek internetowych w Tajlandii, Laosie i Kambodży, tak bardzo sama, że dniami i tygodniami prawie nie rozmawiam z innymi ludźmi, umiem wylać z siebie miłość do niej ze świadomością, że przyjmie ją całą, że jest tyle tysięcy kilometrów stąd i nie przyjedzie prosić o więcej. Przez całe późniejsze życie będę się lepiej sprawdzać w tego rodzaju przyjaźni i czuć się z tego powodu winna; lubię, gdy ktoś mnie potrzebuje, lubię dawać, ale nie z tak bliska, żeby nie móc uciec.

Miesiąc później obie jesteśmy już u rodziców na Florydzie, a ja czekam na rozpoczęcie studiów. Sasha prawie codziennie dzwoni albo pisze wiadomości. Jej ciało się zmienia, ale nie na tyle, żeby zauważył to ktoś poza mną i jej rodziną. Jest zmęczona i cierpi na nudności, przy czym nie wiadomo, czy z powodu hormonów, czy strachu. Znow, jak w szkole średniej, chodzimy na długie spacery po tej samej plaży. Gadamy jak najęte, ale rozmowy mają inny wydźwięk. Rzeczywistość nas przygniata, przybiera kształt i wagę tego, co przed nami.

Wyjeżdża do Kalifornii. Nie chce, żeby wszyscy w naszym małym mieście na Florydzie wiedzieli, że zaliczyła wpadkę, i choć przypuszczam, że to nie do końca samodzielna decyzja, rozumiem, że tam, gdzie urodzi, nie chce nikogo znać. Nie jestem wtajemniczona w jej rozmowy z matką. Znamy się pół życia, ale nie czuję się już swobodnie w ich domu, z jakiegoś powodu obawiam się, że jej matka obarczy mnie winą. Mogę sobie wyobrazić, że chce, by Sasha urodziła gdzieś, gdzie otoczenie nie uzna, że to odchylenie od normy przejęła po niej, tak jak urodę i inteligencję.

Trafia do domu brata matki. Ma swój pokój z widokiem na basen, na wzgórzach pod Los Angeles, i tam oczekuje dziecka oraz czyta i uczy się do egzaminu na medycynę. Twierdzi, że potrzebuje spokoju i czasu do namysłu, bez starych znajomych dopytujących ją o samopoczucie i dociekających na głos, co z ojcem; nie chce, żeby jej matka co dzień musiała udawać, że właśnie tak to sobie wszystko zaplanowała. Gdy dzwoni do mnie czasem i opowiada, jak to jest, gdy słyszy bicie jej serca w gabinecie, do którego jeździ sama; gdy przysyła mi MMS-y z niewyraźną czarno-szaro-białą papką, próbuję ją sobie wyobrazić jako matkę i nawet wszystko układa mi się w logiczną całość. To takie namacalne. Będzie miała kogoś do kochania na wieki, nieodwołalnie wejdzie w jakąś rolę.

Twierdzi, że wróci na wschód i razem wychowamy jej córeczkę. Niezupełnie przyjmuję to do wiadomości, bo myślę, że mówi to tylko po to, żeby nie poczuła się pominięta. Zakładam, że gdy będzie już ją miała przy sobie, przyjedzie z powrotem do mamy. Ja zdążyłam tymczasem wrócić na studia, a ona mówi, że znajdzie gdzieś niedaleko pracę, złoży papiery na medycynę. Tajemnica jej stanu, jego czar, coś w niej przebudziły, a mnie znów nachodzi przelotna myśl, że jakimś sposobem trafiła do świata, do którego ja nie bardzo mam dostęp.

Kiedy to się dzieje, nie wiedzą, co się stało. Jest w trzydziestym dziewiątym tygodniu i idzie na jedno z tysiąca rutynowych badań,

które wykonuje się w ostatnim trymestrze. Podpinają ją pod urządzenie badające tętno dziecka i nie słysząc żadnego dźwięku, lekarka zamiera, marszczy nos i przez krótką chwilę, niemal spokojnie, majstruje przy urządzeniu. Jest cicho, choć nie powinno być, a ona siada i czeka.

- Musimy... - zaczyna lekarka. Wzywa pielęgniarkę. - Ma pani po kogo zadzwonić?

Przyjeżdża jej wuj, nic nie mówi. Dzwoniła po matkę, ale może przylecieć z jej siostrą dopiero następnego dnia.

Trzy dni później wywołują poród. Nie ma mnie tam. Akcja się zatrzymuje i muszą robić cięcie. Znów cisza, drżenie po znieczuleniu zewnątrzoponowym; szczeka zębami i wtedy zaciągają jej zasłonę tuż pod piersiami i wyjmują dziecko, dziewczynkę. Mnie sześć lat później spotka to samo, tyle że gdy córka się wyłoni, usłyszymy ją i przytulimy; namówię męża do rozpięcia koszuli, żeby mógł ją przytulić w czasie, gdy będą mnie zaszywać. Gdy pojawia się jej dziecko, cała sala zamiera.

Jadę do niej po trzech tygodniach, po tym, jak jej siostra wróciła na studia, a mama poleciała do siebie. Zajmuje przestrzeń wiotko, beznamiętnie; nigdy nie widziałam jej tak znieruchomiałej. Przyjeżdżam wieczorem i wchodzę jej do łóżka; przez wszystkie noce leżę przy niej i nie jestem pewna, czy któraś z nas śpi, ale leżymy w milczeniu, czujemy ciepło swoich ciał. To nasz pierwszy bliższy kontakt ze śmiercią, ale i z narodzinami. Co rano pływamy w basenie pod oknem jej pokoju, w domu, który wydaje się stale pusty. Unosimy się bezwładnie na powierzchni, a ja usilnie staram się nie wypatrywać pod jej jednoczęściowym kostiumem śladów ciąży. Chodzimy na pobliski targ i próbuję przyrządzić kolację. Za grosz nie umiem gotować, ale kupujemy świeże warzywa, jajka i ser i przygotowuję nam w papierowych miskach wielkie porcje sałatki z gotowym sosem

z torebki, kładziemy je sobie na kolanach i oglądamy na chodzącym prawie non stop telewizorze filmy i programy z naszych nastoletnich lat. Dużo chodzimy, czasem pływamy, trochę jemy, ale prawie nie rozmawiamy. Trzeciego wieczoru siedzę w jej łóżku i czytam, ona długo nie wychodzi spod prysznic, a ilekroć się myje, wydaje mi się, że słyszę jej płacz. W końcu się pojawia: w turbanie z ręcznika i z drugim ręcznikiem zawiniętym nad biustem, staje przed dużym lustrem w naszym pokoju. Ma na sobie majtki, ale nic poza tym, i pokazuje mi jeszcze rwącą bliznę pod brzuchem, tak nisko, że musi odsunąć kciukiem majtki, a potem przesuwając po niej, szorstkiej, jaskrawoczerwonej i poszarpanej, moją dłoń.

- To dowód - mówi; oczy ma czerwone i zapuchnięte. - Że tam była.

Po dziewięciu dniach od przyjazdu - ponieważ nie wiem, co powiedzieć, i nie mogę jej pomóc, ponieważ zapisała się na dodatkowe zajęcia, a ja powtarzam sobie, że z tego wyjdzie; ponieważ została tylko pusta przestrzeń, której nijak nie mogę zapełnić - obejmuję ją, przytulam i każę obiecać, że będzie do mnie codziennie pisać i da znać, jeśli będzie mnie potrzebować, a ja w każdej chwili przylecę. A potem wracam na studia.

Nie wiem, dlaczego nie wraca do siebie, na Florydę. Jej wuj spędza większość czasu w pracy, a ona siedzi w tym wielkim, cichym domu całkiem sama. Dwa dni po moim wylocie dzwoni do dilerki mieszkającej godzinę drogi od niej, naszego wspólnego znajomego z czasów licealnych. Kupuje od niego zioło i piguły, a po tygodniu wraca. Zapisala się na kurs przygotowawczy do egzaminu kwalifikującego na studia medyczne i utrzymuje, że drągi ją wyciszają. Ma już vicodin i oksykodon, który ma brać „w razie potrzeby, gdyby ból po cesarskim cięciu okazał się nie do zniesienia”. Ale usłyszy też, podobnie jak ja później, żeby zażywać leki regularnie po to, by „wyprzedzić ból”.

Piszę do niej SMS-y, początkowo codziennie, a potem raz w tygodniu. Pytam, jak się czuje, ale ona tylko na wszelkie możliwe sposoby odpowiada, że w porządku, że nie ma pracy ani znajomych, ale jeszcze żyje. Przez telefon rozmawiamy dopiero niespełna miesiąc po moim wyjeździe. Wcześniej przed wybraniem numeru powstrzymuje mnie myśl, że będę musiała sama wypełnić tę ciszę. Sasha gotuje sobie obiady, pływa w tym samym basenie, wciąż czeka, aż jej życie zacznie się na dobre.

Egzamin kwalifikujący na studia medyczne zdaje śpiewająco. Kiedy dostaje się niemal na każdą wybraną uczelnię, jej matka chwali się tym w Internecie, piszę jej więc: „Gratki”, a ona odpisuje: „Dzięki”.

Pod jej nieobecność upływa mnóstwo czasu. Upływa jej, upływa mnie, ale nigdy nam razem. Czasem o niej opowiadam, „moja najdawniejsza, najbliższa przyjaciółka” – mówię, po czym czerwienię się po uszy i muszę iść spryskać twarz zimną wodą.

Wychodzę za mąż, a ona przyjeżdża – tak, jest na ślubie – i dziwnie mi z tym, że tak mało zna mojego przyszłego męża, a wręcz chyba nie chce go bliżej poznać. Siedzi obok, gdy mnie czeszą (na koszt mojej matki), jeszcze chudsza niż zwykle, z rozpuszczonymi włosami spływającymi swobodnie po plecach; trzyma stopy na kufierku fryzjerki i gada ze mną, jakby nigdy nic. Kobiecie, która skręca mi kosmyki u nasady szyi, mówi, co mi najlepiej pasuje. W pewnym momencie staje obok niej i puszcza luźno ciemne pasma wokół mojej twarzy. Na ślubie towarzyszy jej mężczyzna, którego zapamiętałam tylko jako wysokiego i bladego; raz, gdy chodzę od stołu do stołu i witam się z gośćmi, bo powiedziano mi, że taki mam obowiązek, widzę, jak jego dłoń wślizguje się pod jej sukienkę, jej twarz pozostaje obojętna i bierna, on szczerzy zęby w uśmiechu, cienka tkanina jej spódnicy powoli się unosi i zaraz opada.

Później mijają lata. Zaczynam odzyskiwać równowagę, a ona wprost przeciwnie. Nie umiemy być ze sobą, gdy ona nas nie prowadzi. Czasem rozmawiamy raz w tygodniu, a czasem raz w miesiącu. W naszej wspólnej przestrzeni rozwierają się leje nieodebranych telefonów i pozostawionych bez odpowiedzi wiadomości, zarówno z jej, jak i z mojej strony; czasem upływają godziny, kiedy odbieram, a ona jest przygnębiona lub wściekła; poznała kogoś i nic dobrego z tego nie wyszło; nie chce już nikogo i niczego; musi się wypłakać i wykrzyzczyć swoją furię, i wtedy chodzę po naszym mieszkaniu z telefonem przyciśniętym do ucha i kombinuję, jak inaczej sformułować te same beznadziejne odpowiedzi, a tymczasem mąż pokazuje mi na migi, że obiad na stole, albo właśnie się z kimś spotykamy, albo mam jeszcze coś do przeczytania, napisania albo sprawdzenia, a on nie może znieść tego, że po tych rozmowach wyglądam jak wyżęta ścierka, bo ona całymi godzinami, a w końcu latami słyszy ode mnie to samo, tylko wyrażone w innych słowach.

Wychodzimy na kolację z klientem męża, człowiekiem, który zapytał go, czy nie byłby zainteresowany otwarciem sklepu meblowego. Dwa lata temu odszedł z pracy i chyba pierwszy, ale nie ostatni raz zastanawiamy się, czy nasze decyzje nie były całkiem chybione. Idziemy do metra, widzę, że dzwoni, i odbieram. Nie zejść pod ziemię, dopóki nie przestanie płakać.

- Co jest ze mną nie tak? - pyta.

- Nic - odpowiadam szczerze. - Nie mam na świecie drugiej tak ukochanej osoby.

Zerwał z nią. Przeszła jak burza przez kolejne lata studiów medycznych i może przebierać w ofertach rezydentury w całym kraju, ale nadal, jak chyba każdy, najbardziej pragnie czuć się bezpieczna i kochana. Matka i siostra są już nią wykończone. Przez krótką chwilę mają dla niej dużo cierpliwości, ale później, podobnie jak ja, tracą siły.

Jest zimno i mój mąż ostentacyjnie stawia kołnierz kurtki.

- Ja już mam po prostu dość - mówi ona.

- Wiem, S.

- Nie chcę już próbować.

Słyszymy, jak odjeżdżają dwa kolejne pociągi, a ona dalej gada. Mąż zwraca się do mnie po imieniu, tak, żeby słyszała.

- A ten co? - pyta wściekła.

- Sash... - mówię. - Musimy...

Płacze jeszcze rozpaczliwiej, ja zakrywam telefon dłonią.

- Idź - mówię. - Dojadę do was.

Mąż mamrocze coś, czego na szczęście nie słyszę, ostatni raz patrzy na mnie błagalnie, po czym schodzi sam do metra.

Dzwoni telefon, a ja nie odbieram i nie oddzwaniam, bo tłumaczę sobie, że jestem wykończona egzaminami i pisaniem pracy. Wysyłam jej zwięzłe SMS-y, w których piszę, że o niej myślę, bo tak czasem jest. Strasznie za nią tęsknię, nie mam nikogo takiego jak ona. Znajomi z Nowego Jorku poznali mnie już jako dorosłą kobietę; jesteśmy uprzejmi i praktyczni, umawiamy się z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Czasem myślę o niej i chcę z nią po prostu być. Ale potem albo do mnie dzwoni, albo ja sama długo noszę się z tą myślą, a wtedy w porę przypominam sobie, że tęsknię wcale nie za tą osobą, którą usłyszę w słuchawce, jeśli zdecyduję się zadzwonić. Początkowo odsłuchuję nagrane wiadomości i czasem na nie odpowiadam, potem, tuż po wstępnej konsultacji pracy doktorskiej, widzę wiadomość z jej imieniem, niebieska kropka oznacza, że wiadomość nie została odsłuchana; biorę głęboki oddech, zamykam telefon, niebieska kropka prześladowuje mnie całymi dniami, a potem miesiącami. Mijają lata. Przesuwam wiadomości w prawo i potwierdzam wybór ruchem kciuka, patrzę, jak znikają, bo danego dnia wyczerpuje mnie myśl o jej potrzebach, bo akurat nie rozmawiam z mężem, bo wróciłam na terapię, ponieważ on nie umie mnie naprostować, a ja jestem zła, że nie pomaga mi się naprostować. Wracam na terapię, bo jako doktorantka mam prawdopodobnie ostatnie porządne ubezpieczenie zdrowotne w życiu.

- Stawianie granic jest w porządku - mówi terapeuta, gdy opowiadam o Sashy.

- Ale ona mnie potrzebuje.

Jestem w ciąży i terapeuta wskazuje mój brzuch. Jestem w terapii między innymi dlatego, że wszyscy się o mnie boją. „Depresja poporodowa to nie przelewki” - mówią. „Odpocznij i skup się na dziecku”. Nie ukończyłam jeszcze studiów, dorabiam też sobie za barem.

- Ona nie jest dzieckiem - mówi o Sashy terapeuta, a ja podtrzymuję dłonią brzuch. - Ma pani dość spraw na głowie.

Rok później, gdy karmię na okrągło naszą pięciomiesięczną córkę i jednocześnie próbuję pisać doktorat, Sasha w swoim mieszkaniu blisko szpitala, w którym nadzoruje pracę rezydentów, połyka całe opakowanie oxycontin i musi wziąć zwolnienie z pracy; przylatują do niej matka i siostra, a potem dostaję od niej list z prośbą, żebym ją zabrała z odwyku, na który ją wysłali, bo jest okropny. Nie dzwoni do mnie, ani wtedy, ani później. Odpisuję jej coś idiotycznego, coś, że ją kocham, ale że według mnie powinna posłuchać siostry i matki. Wcale jej nie kocham. Nie wiem, czym jest miłość, odpisuje mi w pełnym furii liście. „Ja pierdolę. Czy ty kiedyś zrobiłaś coś dla innych poza czytaniem, gadaniem i myśleniem?”

CHILIJSKA PISARKA BIERZE do ust łyżeczkę crème brûlée, który jakimś sposobem trafił na nasz stół. Mówiłam i mówiłam, a teraz chcę już siedzieć cicho. Ujmuję oburącz filiżankę z kawą.

- Byłaś taka młoda - mówi.

- Ona też - odpowiadam.

- Ale co innego mogłaś zrobić?

Nie cierpię tego pytania, już je słyszałam i nie chcę słyszeć więcej.

- Przyjechać.

- A teraz?

- Jesteśmy dorosłe - odpowiadam. - Teraz klikamy. Kiedy moje dzieci idą spać, śledzę ją w Internecie.

- Czyli jest w ciąży? - pyta. - Wychodzi na prostą?

- Nie wiem, co to znaczy.

5

MÓJ MAŻ WZIAŁ zlecenie poza miastem i pod jego nieobecność, czyli przez trzy tygodnie, muszę się spóźniać do pracy. Ciągłe proszę o ustępstwa i zrzucam obowiązki na barki współwychowawczyń – proszę je, żeby doglądnęły niektórych uczniów i dopilnowały, czy dzieci dostają teksty, bo w tej sprawie nie ufam dwudziestoczterolatkowi – i przynajmniej odczuwam z tego powodu wyrzuty sumienia.

Od pewnego czasu jestem już prawie pewna, że choćbym nie wiadomo o co prosiła, na pewno mnie nie zwolnią. Jestem trzydziestoczteroletnią białą paniusią w kardiganie od J. Crew i z dyplomem prestiżowej uczelni, i choć moje współwychowawczynie ciężiej pracują i lepiej wykonują swój zawód, to gdy dyrektorka chodzi z wizytacją po klasach, zawsze donosi później kierownikowi, że podoba jej się mój „klimat”.

To, że mogę codziennie zawozić dziewczynki do przedszkola, zakrawa na cud. Czasem kłócą się ze mną, a czasem ze sobą nawzajem, nie chcą włożyć tych skarpetek, tej sukienki czy tamtych majtek, bywa, że któraś leży pod drzwiami wejściowymi i krzyczy, bo szew koszulki gryzie ją w obojczyk. Ale mogę trzymać je za ręce, prowadzić na przystanek i jechać z nimi autobusem. Odprowadzam je pojedynczo do sal i patrzę, jak pędzą do rówieśników, choć wiem, że się spóźnię. Czasem biegną z powrotem, cmokają mnie w nogę, proszą o jeszcze jeden uścisk. Nieraz wsadzam je do wózka do joggingu, pakuję do koszyka ubrania i torebkę, robimy rundkę wokół parku, odprowadzam je, przypinam wózek niedaleko szkoły, przebieram się w toalecie i idę do pracy, choć czuć ode mnie potem.

Tydzień przed powrotem męża przeglądam Instagram Sashy: następne wakacje, zdjęcia wybrzeża. Poleciała odwiedzić siostrę. Przyjeżdża też ich matka. Na zdjęciach widać ją tylko od piersi w górę; zastanawiam się, czy faktycznie była w ciąży. Odliczam tygodnie między poszczególnymi zdjęciami, zestawiam obrazy z wiadomościami, które mi przysyłała. Wyobrażam sobie, że jest blisko porodu, na pewno już coś widać. Znowu rozważam założenie konta na Facebooku, żeby zaprosić do znajomych jej męża.

Przez cały dzień siedzimy w domu i dziewczynki nie mogą sobie znaleźć miejsca, ale nie chce im się wkładać kurtek i butów. W końcu je przekonuję, bo mój mąż zapytał, co porabiamy, a ja zgodnie z prawdą chcę mu odpisać, że jesteśmy na dworze. Winda nie chce przyjechać i schodzimy schodami, każda dziewczynka z zabawką i książką, nadal skłócone, kto co wziął i dlaczego. Na półpiętrze mijamy jakiegoś mężczyznę, dzieci przestają płakać i machają do niego uśmiechnięte, a ja parskam śmiechem, bo przypominam sobie, jak szybko umieją się przestawić.

Wieczorem znowu śledzę Saszę, komputer szumi zbyt blisko mojej twarzy, i nagle słyszę za drzwiami wybuch. Podrywam się obudzić dzieci, które po popołudniu spędzonym w parku już od wielu godzin śpią.

Czuję dym. Wyje alarm.

Uruchamia się system tryskaczowy, powietrze wypełnia dym. Przyciskam do piersi okryte kocykami dziewczynki i znoszę je szybko po schodach, trzymając w jednej ręce telefon, klucze i portfel.

- Co się dzieje? - pyta czterolatka.

Jej siostra ma szeroko otwarte oczy, obie, jeszcze gorące i zarumienione od snu, patrzą to na mnie, to na siebie.

- Nie wiem - odpowiadam. - Nic takiego.

Dwulatka popłakuje i pyta o ojca.

- Tatusiu, tatusiu - powtarza, jeszcze w półśnie.

Wszyscy wyszli na dwór, jest nas tak wiele, ale nigdy nie gromadzimy się w jednym miejscu. Kamienicę zamieszkują w połowie dawni najemcy, w połowie zaś gentryfikatorzy, którzy nie mogą sobie pozwolić na mieszkanie w odremontowanym budynku. Są tu starzy, śniadzi, czarni, młodzi, biali, a wszyscy gromadzą się w grupki. Rozglądam się w poszukiwaniu garstki sąsiadów, których znam z windy, próbuję wypatrzeć Josslyn.

Podchodzą do nas strażacy, a ja pytam, czy ją widzieli.

- Sześć Ce - rzucam w przestrzeń. - Sprawdźcie sześć Ce.

Jest zimno i sprowadzają dla nas miejski autobus. Wśród lokatorów jest wiele starszych osób, które potrzebują leków. Nie wszyscy mają wierzchnie okrycia. Policjanci przynoszą nam ciemnoniebieskie koce z szorstkiej wełny, okrywam siebie i dziewczynki, tulę je we wnętrzu pojazdu z uruchomionym silnikiem i przyglądam się sąsiadom, do których od lat się uśmiecham, choć nie wiem, jak się nazywają. Sześć pięter, a na każdym cztery mieszkania. W niektórych mieszkają po dwie, trzy rodziny.

Jedna z mieszkających tu od niedawna kobiet, również młoda biała matka, odłącza się od męża i pyta, czy czegoś potrzebujemy.

Najchętniej zadzwoniłabym do męża, ale nie wiem, co mu właściwie powiedzieć, nie wiem, co się stało. Nie chcę go przestraszyć, nie chcę, żeby robił sobie wyrzuty, że musiał nas zostawić i jechać do pracy.

Podchodzę do Dominikańczyka, który tydzień po każdym moim porodzie przynosił nam podarki: kartkę z gratulacjami, cygaro dla mojego męża i kwiatek ze sklepiku naprzeciwko dla mnie. Od lat mamrocemy do siebie pod nosem, zostawiamy uchylone drzwi. Pytam, czy wie, gdzie jest Josslyn. Mężczyzna mówi tylko po hiszpańsku, patrzę więc na stojącą obok niego starszą kobietę i pytam, czy zna Josslyn.

- *No se* - odpowiadają i kręcą głową nad zatłoczonym autobusem: ludzie stoją, rozmawiają, śpią.

Dziewczynki nie śpią, ale siedzą cicho, z szeroko otwartymi oczami. Mają na sobie niedobre piżamy: dwulatka ma spodnie w serca i górę ze Świętym Mikołajem, a czterolatka jedną część w ciężarówce, a drugą w króliki.

Patrzemy przez okno, jak strażacy wysypują się z budynku, a potem do niego wracają. Dym wydobywa się z piątego, czyli naszego piętra. W końcu dziewczynki usypiają i dzwonię do męża. Pyta, czy ma przyjechać, ale jeśli nie zostanie, nie będziemy mieli na najbliższy czynsz; staramy się zaoszczędzić tyle pieniędzy, żebym jesienią nie musiała pracować w szkole. Mówię mu, że wszystko w porządku, że sobie poradzę, że musi zostać. Że bez względu na to, co się stało, i tak nic tu nie pomoże.

Wchodzi policjant i prosi, żebyśmy się nawzajem policzyli. Po nim wchodzi policjantka i powtarza to samo najpierw po hiszpańsku, potem po mandaryńsku. Lecimy piętrami. Kolejno, powoli zgłaszają się wszyscy lokatorzy z parteru oraz pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego piętra; po autobusie niosą się westchnienia ulgi. „W porządku, wszystko w porządku” – powtarzamy. Gdy przychodzi nasza kolej, wstajemy: ja i Dominikańczyk. W autobusie nie ma starszych państwa, którzy mieszkają obok Josslyn, i Dominikańczyk ich woła. Hiszpańskojęzyczna policjantka przerywa mu i zadaje jakieś pytanie. Rozmawia z kolegą, a on zerka na listę.

- Odesłano ich do szpitala – mówi. - Nawdychali się dymu.

- Josslyn – mówię. - Nie ma Josslyn.

Nie znam jej nazwiska. Mieszkam tu od sześciu lat, a nie znam jej nazwiska.

- Sześć Ce – dodaję. - Byliście w sześć Ce?

Dziewczynki wlepiają we mnie obłąkańcze, rozochoczone spojrzenia świadczące o skrajnym zmęczeniu, takim, które nie pozwoli im już dzisiaj zasnąć.

- Sześćdziesięcioparoletnia kobieta? Czarna? – pyta policjant.

Podchodzę do niego.

- Tak. Gdzie ona jest?

- Poproszę panią ze mną - odpowiada policjant.

Dominikańczyk stoi za nim i równie rozgorączkowany jak ja zagaduje policjantkę po hiszpańsku. Łapię dziewczynki i wyprowadzają nas z autobusu.

- Czy Josslyn mieszkała sama? - pyta policjant.

Ktoś w autobusie znalazł iPada i dziewczynki oglądają *Dorę*. Ktoś inny dał im paczkę cheetosów, więc siedzą jak urzeczone, z pomarańczowym proszkiem na twarzach i dłoniach.

- Chyba tak - odpowiadam. - Gdzie ona jest?

Przesuwam dłońmi po rękach i nogach dziewczynek. Na dworze jest zimno, a one są za cienko ubrane. Wielki koc jest sztywny i nie otula nas jak trzeba.

- Nic jej nie jest? - pytam.

Policjant patrzy na mnie, a potem uśmiecha się do dziewczynek i nie odpowiada.

- Rozpozna ją pani na zdjęciu?

Hiszpańskojęzyczna policjantka rozmawia z naszym sąsiadem, a on w drodze do radiowozu chwytą mnie za ramię. Ujmuję jego dłoń.

Pokazują nam niewyraźne czarno-białe zdjęcie. Wygląda jak stopklatka, zrzut ekranu. Kiwam głową i płaczę, choć sama nie wiem dlaczego.

Sąsiad otacza mnie ramieniem. Ma ziemistą cerę, wiem, że trzy razy w tygodniu jeździ na dializy.

Policjantka rozmawia z nim o zdjęciu.

- Gdzie ona jest? - pytam policjanta.

- Miała dzieci? - odpowiada pytaniem. - Partnera?

- Ma troje dzieci - mówię. Czasem mi o nich opowiada. Wiem, że są dorosłe, ale gdy o nich mówi, wydają się równie małe jak moje.

Pokazuje mi kolejne zdjęcie. Kolejną stopklatkę. Mężczyzna stojący na półpiętrze między czwartym a piątym piętrem. Na plecach ma jakiś zbiornik.

Robi mi się niedobrze.

- Stał tam dzisiaj - mówię.

Mijałam go. Stał na półpiętrze, a ja się do niego uśmiechnęłam. Dziewczynki przestały się kłócić i zrobiły to samo. Wzrok miał skierowany w dół.

Kiwają głową w moją stronę. Kolejna stopklatka: moje skulone plecy, dziewczynki trzymają mnie za ręce, a w wolnych dłoniach ściskają książeczki i zabawki.

- To pani? - pyta kobieta. Początkowo nie dociera do mnie, że to pytanie. Oczywiście, że to ja.

Patrzę na nich. Uchwycili konkretną sytuację. Dziewczynki patrzą na mężczyznę, a on ma nadal zwieszoną głowę.

Przytakuję.

- Widziała go pani kiedyś?

Odwracam się do sąsiada, który wpatruje się przerażony w ekran, a jego cera jest jeszcze bardziej ziemista niż zwykle.

- Nie sędzę - odpowiadam. - Chyba nie.

Na nagraniu z monitoringu, które oglądam po kilku godzinach w pokoju przesłuchań w obecności nazbyt skruszonych policjantów, widzę człowieka w kombinezonie do dezynsekcji. Dziewczynki siedzą w osobnym pomieszczeniu z policjantką, innym głównianym żarciem, tym samym iPadem. Na ekranie uśmiecham się do mężczyzny, poruszam wargami. Widocznie coś do niego wymamrotałam, pewnie „dzień dobry”, chciałam być miła, ale moje mamrotanie bywa za ciche i pozostaje bez echa.

Mężczyzna odwzajemnia uśmiech, stoi ze zbiornikiem przewieszonym przez ramię i lanca opryskiwacza w dłoni.

- Czyli to... - zaczynam.

Wepchnął ją do windy, a ona tam stała z rozdziawionymi ustami, może coś mówiła. Krzyczała, przekonywała, błagała. Mignęła przez chwilę lanca, choć on sam był poza zasięgiem kamery. Lanca trzy razy pokazała się na chwilę na ekranie i wtedy prawie na pewno krzyczała. Wrzucił do windy jakiś mały, okrągły przedmiot, lanca znikła, drzwi się zasunęły, ekran zgasł.

Złapali go po kilku godzinach od wybuchu. Zarejestrowała go kamera. Na palcach i twarzy miał poparzenia.

Potwierdzam, że godzina wyświetlona na pasku u dołu ekranu się zgadza. Powtarzam, że widziałam tego człowieka, że stał na klatce schodowej.

- Spotkała go pani wcześniej? - dopytują w kółko.

Kręcę głową.

- Nie sędzę.

- Josslyn mieszkała sama?

- Chyba tak.

Dominikańczyk, który - jak zdążyłam się dowiedzieć - ma na imię Luis, za pomocą gestów, hiszpańszczyzny i angielszczyzny informuje mnie, że o zabójstwo podejrzewają jej syna.

Zostawiam dziewczynki z iPadem i Luisem i dzwonię do męża opowiedzieć mu, co się dzieje.

- Jezu - mówi.

Chce mi się płakać, patrzę wprost przed siebie, brakuje mi jego obecności, czekam, aż mi powie, co robić.

- Zadzwoił ktoś do jej rodziny? - pyta.

- Chyba tak.

- A jak dziewczynki?

- Oglądają *Dorę* - odpowiadam. Co za szczęście, że małe dzieci można tak łatwo pocieszyć. - Jedzą jakieś gównno i wszyscy je rozpieszczają.

- A ty?

Milczę, bo nie możemy sobie pozwolić, żeby usłyszał mój płacz. Jeśli się rozpłaczę, gotów wrócić do domu, a wtedy nie będziemy mieli z czego zapłacić czynszu.

O wybuchu robi się głośno i dzwonią do mnie trzy moje koleżanki.

- Musicie się wyprowadzić - stwierdza czterojęzyczna.

- Nie możemy - nie odpowiadam.

W mieszkaniu czuć spalenizną, wszędzie unosi się swąd po wybuchu i ostra, jakby chlorowa woń płynu gaśniczego. Ilekroć wchodzimy po schodach, mam dowód, że nachodzące mnie po tysiąc razy dziennie wspomnienie przemocy jest prawdziwe. Dziewczynki mają jeszcze krótkie, krępe nogi i męczą je wchodzenie na piąte piętro. „Na ręce” – powtarzają. Na drugim piętrze podnoszę je i idę dalej.

Przez trzy dni z rzędu biorę chorobowe, pakuję masę przekąsek i odbieram córki wcześniej. Idę z nimi do parku, ganiamy się i urządzamy sobie piknik. Działają już fontanny na placach zabaw i dziewczynki przemakają do suchej nitki, a potem w drodze do domu usypiają w spacerówce.

Czterolatka jest już chyba za duża na wózek, ale dzięki niemu szybciej się przemieszczamy i możemy zwiedzać miasto. Pcham go pod górę: wychylam się w przód, prostuję ręce i zapieram mocno stopami.

Szwendamy się po księgarni, czytam im na podłodze. Proszę, żebym im kupiła książki, ale wyjaśniam, że to ich dom i na razie muszą tu zostać. Wdrapują się na mnie, najpierw jedna, a potem druga, każda ze stosem książek u boku. Nasze nogi się splątują, dopóki któraś nie uzna, że noga drugiej zajmuje za dużo miejsca, a wtedy zaczyna się sprzeczka, w końcu obie wstają, a moje nogi ociekają potem. Ignoruję maile z pracy. Myślę sobie, że może już tam nie wrócę, a administratorowi budynku powiemy, że dopóki w mieszkaniu utrzymuje się swąd, nie będziemy płacić czynszu, a potem przypominam sobie o Josslyn i płaczę, ale zaraz przestaję, żeby nie przestraszyć dziewczynek.

Próbuję to jakoś pomieścić w głowie. Siedziałyśmy przed klatką, piłyśmy kawę, „cześć”, „dzień dobry”, „ucałuj dziewczynki”, „co u was”. Była kochanym, pełnym życia człowiekiem, a umarła w tak okropny, bezmyślny sposób. Wracam pamięcią do innych tragicznych zdarzeń w moim życiu i jak zwykle czuję, że nie potrafię tego należycie przepracować. Ilekroć wchodzimy po schodach,

przymuszam się do myślenia o niej, do żałoby, do opłakiwania. Mijając jej drzwi, staram się przywołać fakt jej istnienia i zaraz zmieścić też w głowie świadomość, że już jej nie ma. Nie wiem jednak, co z tą świadomością zrobić. Ten smutek przybiera przedziwną gruzłową formę. Tak naprawdę wcale jej nie znaliśmy. Przemoc, której doświadczyła, jest dla mnie całkowicie niepojęta.

Po dwóch dniach wraca mój mąż. Posprzeczał się z klientami. Chciał za wszelką cenę wrócić do domu, a oni nie chcieli mu zapłacić, bo jeszcze nie skończył, ale i tak wyjechał. „Jebać ich” - mówi, ale spuszcza przy tym wzrok. Mamy coraz mniej pieniędzy. Wieczorem, po tym jak położyliśmy dzieci do łóżka, po tym jak go wyściskały, wycalowały, powłaziły na niego, a on ugotował wszystkim kolację, przeglądamy tabelki, w których odnotowujemy dochody i wydatki. Upadłość nie zwolniła nas ze spłacania jego kredytu studenckiego, dostaliśmy stos pism od wierzycieli, z których jeden kwestionuje nasze położenie, musimy też dopłacić prawnikowi.

- Jak to możliwe, że ciągle robimy wszystko źle? - pyta mój mąż.

Musimy się ładnie ubrać i ściągnąć opiekunkę.

- Nie stać nas na opiekunkę - mówię.

- Nie stać nas na to, żeby nie iść - odpowiada.

Jeśli będziemy musieli zapłacić za siebie, to na ten posiłek też nas nie stać. Mężczyzna z Upper West Side, któremu mój mąż zabudował sześć ścian regałami na książki, chce z nim porozmawiać o „innych możliwościach”. Na koncie mamy siedemdziesiąt dwa dolary. Gdy zapłacimy opiekunce, zostaniemy bez grosza. Musimy iść, bo mój mąż zaczął się zastanawiać nad powrotem na łono systemu, z któregośmy się wycofali, a ten facet może mu zaproponować pracę, utorować drogę wstecz.

Maluję rzęsy, wkładam sukienkę, zdejmuję sukienkę, wkładam czarny golf i czarne spodnie, zmywam tusz. Wolę sprawiać wrażenie, że nie

obchodzi mnie, co sobie pomyślą, niż wyglądać jak osoba, która za bardzo się starała i nic z tego nie wyszło. Dzieci bawią się u siebie, idę do nich i czytam im książkę, a mój mąż się ubiera.

Przychodzi opiekunka, ujmuję twarze dzieci i je całuję. Mała przez chwilę ssie pierś. Dopiero wyszły z wanny, mają mokre włosy i wspinają się na mnie.

- Nie chce mi się iść - rzucam w przestrzeń.

- No chodź - nawołuje z przedpokoju mój mąż.

Na klatce nadal czuć swąd. Schodzimy schodami na sam dół.

- Zaraz, to co to za ludzie? - pytam w metrze.

- On ma start-upa - mówi mój mąż.

Może przed laty niepotrzebnie go przekonywałam, że powinien się zajmować tym, co chce, myślę teraz. To, z czego był dumny, z czego byliśmy dumni oboje - że nie jest taki jak oni - ostatnio coraz bardziej rozmija się z jego oczekiwaniami. Jesteśmy stale spłukani i mamy już tego dość.

- Aha - mówię. - Jebane start-upy.

Milczymy przez chwilę.

W wagonie wiszą reklamy jakiegoś serwisu internetowego dla freelancerów. Promocja pracy non stop, przedsiębiorczości. Nim dostałam tę pracę w szkole, pracowałam w pięciu miejscach, a mój mąż w dwóch, i właśnie wtedy zadłużyliśmy się na sto tysięcy dolarów.

- Ale chujowe te reklamy - komentuję.

Już to mówiłam, więc mój mąż tylko kiwa głową.

- Postaraj się dzisiaj aż tyle nie przeklinać - prosi.

Ludzie, z którymi się spotykamy, są w naszym wieku. Nie mogę sobie przypomnieć, skąd znam ją, dopiero po chwili dociera do mnie, że przed kilkoma miesiącami przysiadła się do mnie na przyjęciu na Long Island i gdy karmiłam córkę, trzymała ją za stopę.

Gość mówi do mojego męża po imieniu, ale zdrobniale, jakby byli kumplami. Tak samo zwracają się do niego dawni znajomi ze studiów, których zapraszamy z zakłopotaniem do siebie na kolacje, bo nie chcemy dopłacać do rachunku.

Kobieta chce mnie cmoknąć, ale za późno się orientuję i odsuwam, a ona spuszcza wzrok.

- Przepraszam - mówię.

Jest piękna. Ma długie, ciemne włosy, ciemnoczerwoną szminkę, umalowane oczy i duże kolczyki w uszach.

Radczyni prawna, przypominam sobie.

- To cudowne - zachwyca się, gdy mówię, że uczę w szkole średniej.

- Naprawdę kocham te dzieci - dodaję.

- Wierzę - odpowiada. Jakbym im robiła nie wiadomo jaką łaskę. - Wcale w to nie wątpię.

Zadaję sobie pytanie, czy czeka mnie cały wieczór rozmów w tym stylu.

- Jak tam wasze córeczki? - pyta.

- Dobrze - odpowiadam. - Bajecznie. - Co za ulga, że poruszyła ten temat.

- My się nadal staramy - mówi i przysuwa się do mnie. Z bliska budzi większą sympatię. W cieniach pod oczami, bliżej wewnętrznego kącika, kryje się niedostatek. W jej oddechu, na jej wargach wyczuwam jego woń, kwaskowatą, pełną desperacji.

W menu nie ma ani jednego dania, które kosztowałoby mniej niż cała zawartość naszego konta.

Zamawiam martini, a mój mąż whisky i odnotowuję w głowie, że jeśli będziemy musieli zapłacić połowę rachunku, zbliżymy się do przekroczenia limitu.

W oczekiwaniu na drinki opowiadam o dzieciach. Uwielbiam opowiadać o dzieciach i pokazuję jej ich zdjęcia w telefonie. Nachyla się nade mną, czuję, jak twarz płonie mi od alkoholu, i robi mi się jej żal.

- Długo się staracie? - pytam.

Dotyka wymanikiowanym paznokciem krawędzi swojego kieliszka z martini.

- Ze dwa lata.

Dotykam jej łokcia, a potem myślę, że może niepotrzebnie.

- Mam trzydzieści pięć lat - mówi.

Jestem młodsza, ale nie dzielę się z nią tą informacją.

- Przyjaciółka mojej mamy urodziła pierwsze dziecko, jak miała czterdzieści - mówię. Nie kłamię.

Kobieta uśmiecha się i dotyka dłonią ust.

Zamawiamy półmisek z przystawkami i teraz już oficjalnie nie stać nas na tę kolację. Piję coraz szybciej. Po chwili mam już pusty kieliszek i zamawiamy nową kolejkę. Upiłam się, bo jeszcze karmię i praktycznie nie piję.

Mój mąż coś mówi, a ona się na niego gapi.

- Mieszkacie na Brooklynie? - pyta.

Podaję jej nazwę dzielnicy.

- Nieźle - kwituje, kiwa głową.

- W naszej kamienicy doszło do zabójstwa - wypalam bez namysłu.

Najpierw wygląda na zakłopotaną, potem wstrząśniętą, a wreszcie wystraszoną. Opowiadam jej całą historię i z jakiegoś powodu fascynuje mnie to, jak odzwierciedla się ona na jej twarzy. Ciągnę opowieść i czuję, jak zbliżam się do niej i do Josslyn, a zarazem od nich oddalam.

- Złapali go? - pyta. - Nie wyprowadzacie się?

- Nie stać nas na przeprowadzkę - odpowiadam i wzruszam ramionami.

Popija drinka, a ja mówię jej, że złapali tego gościa po kilku godzinach od ucieczki. Wiedzą już, że to ktoś obcy, nie jej syn.

- Zdaje się, że to schizofrenik - wyjaśniam. - Miał poparzoną twarz i dłonie.

- Straszne.

Na koniec brakuje mi tchu, siedzę cała czerwona i wreszcie ogarnia mnie przemożny żal. Wstaję, wychodzę do łazienki i przez pięć minut siedzę w kabinie, żeby się nie rozpłakać. Chcę jechać do domu, położyć się z dziewczynkami i wstać dopiero, gdy dorosną.

Po powrocie zastaję na stole talerz ze stygnącym jedzeniem. Wszyscy wyglądają na zatroskanych, czekają z serwetkami na kolanach, nawet nie tknęli jedzenia.

- Wszystko okej? - szepcze do mnie mąż.

- Tak - odpowiadam i dotykam krawędzi kieliszka, tak jak ona.

- Mamy pewną propozycję - mówi ten facet.

Zdażyłam już usiąść i odkroić kawałek steku, ale jeszcze go nie pogryzłam. Patrzę na jedzenie. Odkładam widelec, sięgam po drinka.

- Uhm - mówi mój mąż. - Słucham.

Wracamy do domu, ja zapłakana, a mój mąż wściekły; telefon w mojej kieszeni milczy, dziewczynki śpią jak susły. Opiekunka ogląda telewizję na swoim laptopie i mój mąż idzie jej zapłacić. Siadam na krawędzi jednego z łóżeczek przerobionych na łóżka, patrzę, jak śpią, i jeszcze trochę popłakuję.

Chwytam dzieci za stopy i je całuję; męża zastaję w łóżku. Okazuje się, że nie chcą jego umiejętności ani pomysłu, nie proponują też stałej pracy, na którą tak liczyliśmy. Zaoferowali nam dwadzieścia tysięcy dolarów za jego nasienie.

Nazajutrz rano pada, wkładam koszulkę z długim rękawem i szorty, a telefon owijam folią i biorę ze sobą. Leje jak z cebra i nie spotykam żywego ducha; na dworze jest jeszcze ciemno. Woda chlupocze mi w butach i zalewa oczy, muszę je co chwilę ocierać. Gdy wbiegam czasem w kałuże, myślę przelotnie, że źle oceniłam ich głębokość, a wtedy sztywnieją mi uda i łydki, ale już po chwili stopy dotykają ziemi i mocno się od niej odbijają.

Po powrocie do domu zdejmuję ciuchy w przedpokoju. Zostawiam pod drzwiami mokrą stertę - buty, skarpetki, szorty i koszulkę -

kieruję się do łazienki, odkręcam wodę pod prysznicem i gdy pomieszczenie wypełnia się parą, zdzieram z siebie sportową bieliznę i wchodzę.

Mąż łapie mnie zniecka za nagie ramię, gdy owinięta ręcznikiem idę do naszego pokoju po ciuchy.

- Byłaś biegać - stwierdza.

Kiwam głową, wzruszam ramionami, uśmiecham się.

Dłoń ma dużą i ciepłą, ale moje ramię się nie rozluźnia i próbuję się odchylić. Nie jest zły, ale dotyk nie należy do delikatnych.

- Wyłączasz się i czekasz tylko na mnie - mówi. - Myślisz, że nie widzę?

W mieszkaniu Josslyn jest jakaś kobieta. Drzwi są uchylone, widzę, jak otwiera szuflady w kuchni.

- Halo! - wołam.

Minął miesiąc. Mieszkanie stoi puste. W korytarzu nadal brakuje kilku płytek, a listwa przypodłogowa jest jeszcze zwięglona.

- Cześć - mówi kobieta.

Jest w moim wieku, może trochę młodsza. Ma plisowaną spódnicę, wetkniętą za pasek koszulkę na ramiączkach, włosy związane w koczek. Ostatnio Luis mówił mi, że zdaniem policji to był nieznajomy człowiek, który od miesiący obserwował ją z naprzeciwka.

- Jestem Iffy - mówi.

Przedstawiam się.

- Ifeoma - dodaje. - Mam na imię Ifeoma, ale tylko mama mnie tak nazywa.

Kiwam głową.

W rogu stoi niewielki karton z jakimiś rzeczami na dnie, w pokoju za kuchnią widać ciemnoczerwoną kanapę z przewieszonym przez oparcie wełnianym kocem, a naprzeciwko stojący na skrzynce stary telewizor.

- Josslyn była moją mamą - mówi.

- Tak mi przykro.

Chyba mam ochotę ją przytulić, ale stoję jak wryta.

Kiwa głową, stoi nieruchomo z opuszczonymi rękami.

- Była trochę walnięta - dodaje.

Kręci głową, a ja robię krok naprzód, ale zatrzymuję się w progu mieszkania.

- To moja mama - powtarza.

W pracy odbieram maila od tej zamożnej kobiety. Pod jej nazwiskiem widnieją zastrzeżenia o prawie autorskim i poufności informacji. Stopka zajmuje dziesięć razy więcej miejsca niż kilkudzaniowa wiadomość.

„Martwię się, że przeżyłaś szok” - pisze. „I przepraszam. Znalazłam Twój adres w sieci, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Chciałam tylko napisać, że zwracając się do Was w tej jakże doniosłej dla nas sprawie, w żadnym razie nie chcieliśmy się Wam narzucać. Chodzi tylko o to, że bardzo polubiliśmy twojego męża, a desperacko poszukujemy skutecznych rozwiązań”.

Wszyscy lubią mojego męża, wszyscy do niego lgną; wszyscy się w nim zakochują.

Wspomina o nieudanych podejściach do in vitro i o tym, że nasienie jej męża jest słabej jakości. Dodaje, że próbowała sobie wyobrazić umieszczenie w macicy nasienia obcego człowieka. „Najpierw je oczyszczają” - pisze. „W specjalnym urządzeniu. To jest takie obce, zmedykalizowane, nie mogłam sobie wyobrazić, jak z takiej procedury może się wziąć dziecko. To takie abstrakcyjne, sztuczne, tak bardzo dalekie od tego, czego się spodziewałam. Pomyślałam po prostu, że warto zapytać, i przykro mi, jeśli się wkurzyłaś”.

Siedzę w szkolnym gabinecie z piątką innych osób. Nasze biurka oddzielone są płytami z imitacji drewna. Wszyscy wyglądają zawsze na szalenie zajętych. Ja też się tak czułam, ale teraz przychodzę tu gapić się na ekran, nie wiem, jak zapełnić cały ten czas. Ciągle

sprawdzam, czy ktoś mnie obserwuje. Ciekawe, czy dział kadr został zaalarmowany, że przez naszą sieć przeszło słowo „nasienie”.

Zamykam laptop i wracam do czytania *So Big* Edny Ferber. „Śmieszna sprawa z tymi błędami. Trzeba je popełniać, a co więcej: spróbuj powstrzymać innych przed popełnianiem ich własnych, to na pewno się zezłoszczą”.

Udaję, że nie dostałam tego maila. Chcę móc jej bez namysłu odmówić. Chcę jej dać to, czego chce, dostać to, czego chcemy my, i mieć wywalone. Nie wierzę już w świat, w którym każdy dostaje to, czego chce, i nie musi za to później zapłacić. Chyba jestem zażenowana swoją złudną nadzieją, że sami wyjdziemy na prostą.

„Przykro mi, jeśli się wkurzyłaś” - myślę.

Dzwonię do Melissy i dopytuję o postępowanie, chcę się dowiedzieć, czy ma kłopoty. Twierdzi, że nikt się do niej nie odezwał.

- A to oznacza - twierdzi - że prowadzą postępowanie w mojej sprawie, o cokolwiek mnie tam oskarżają.

- Z daleka jebie jakimś syfem - mówię.

- Nie da się ukryć.

Wszystko rozbija się o politykę. Na wydziale działają bliżej mi nieznane kliki - grupy kumotrów, którzy chętnie zatrudniają swoich. Grupy, które od dawna chciały ją wyrugować ze stanowiska.

Wychodzę wcześniej z pracy i robię dziewczynom niespodziankę.

- Mamusiu - pyta czterolatka, gdy maszerujemy do domu - a jak nie pójdziesz do pracy, to będziemy dalej żyć?

Przed rozpoczęciem nowego semestru chilijska pisarka poleciała na miesiąc do domu. Dzwoni do mnie, a ja, choć powinnam być w pracy, gapię się samotnie na obraz w galerii w East Village; to pejzaż miejski Rackstrawa Downesa, wystawiane są też jego szkice do obrazów. Nie jestem pewna, czy po tym, co jej powiedziałam, mogę przebywać z nią w tym samym pomieszczeniu, ale widzę jej imię i odbieram, chcę jej opowiedzieć o tym, co oglądam.

- Przyjadę do ciebie - rzuca. Nie mam szans zaproponować.

Jego malarstwo jest o włos od realizmu: pieczołowicie odwzorowane detale, nieoczekiwana perspektywa.

Jesteśmy blisko Chinatown i idziemy kawałek na południe, na wspólną porcję pierożków.

- Tęskniłam za tobą - mówi i kładzie mi dłoń na ramieniu; czuję, jak moje ciało skłania się ku niej.

Mówię mniej niż ona, poza tym nawet nie wspomina o Sashy.

- Moja siostra... - zaczyna. - Ta nieżyjąca...

Pierożki są z farszem wieprzowo-wołowym. Sól osiada mi na języku i muszę otworzyć szeroko usta, żeby pozbyć się ostrego posmaku.

- Po jej śmierci przysposobiliśmy jej najmłodszą córkę.

Otaczam dłońmi filiżankę z zieloną herbatą.

- Miała czternaście lat, a jej bracia byli starsi. To ona znalazła matkę wiszącą na sznurze. Mój syn jeszcze z nami mieszkał, a moje małżeństwo, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, dobiegało końca. I przyjęliśmy tę zdziczałą dziewczynę pod swój dach, bo zdawało mi się, że zabiłam jej matkę. Zresztą i tak nie miała dokąd pójść. Zachowywała się jak dzikuska, jak oniemiała. Ledwie nas znała; ojciec odszedł już wcześniej, matka nie żyła. Kolejne miesiące i lata to było coś okropnego. Próbowaliśmy wszelkich metod i sposobów, znajdowaliśmy prywatne szkoły i terapie, zamykaliśmy ją w pokoju, ale nic nie pomogło. Ale minęło trochę czasu i dorosła. Upływ czasu to teraz jedyne, w co wierzę. Nie żebyśmy się teraz przyjaźniły - dodaje. - Nie nazywa mnie mamą ani nie mówi, że mnie kocha. Ale ze dwa razy podziękowała, żeśmy się nią zajęli. Skończyła studia, ma niewielkie mieszkanie niedaleko nas. Jakoś raz w miesiącu daje się zaprosić na kolację. Kocham ją i myślę, że siostra byłaby mi za to wdzięczna. A ja się cieszę, że mogę ją kochać, że nadal mam okazję jakoś jej to wynagrodzić.

Spotykam się na kawie z bogatą kobietą, która chce kupić nasienie mojego męża. Podczas rozmowy dotykam bezwiednie brzucha. Robię to cały czas, ale dopiero teraz - świadoma swoich mocy prokreacyjnych w obecności tej kobiety, która całym jestestwem wydaje się świadczyć o swojej niezdolności do macierzyństwa - zdaję sobie sprawę, jak często.

Mam ochotę zapytać: „Nie możecie sobie gdzieś kupić tańszego nasienia? Jak to jest: mieć tyle pieniędzy?”. Nie mogę pojąć takiej władzy, tego, że jej codzienne ścieżki tak bardzo różnią się od moich. „Jak to jest, kiedy boli cię ząb i od razu idziesz go wyleczyć, zamiast czekać do momentu, w którym masz pewność, że jest martwy, bo niczego już nie czujesz? Jak to jest: nie być skazaną na krótkowzroczność, bo wybiegając wzrokiem naprzód, widzi się coraz więcej tego samego, tylko jeszcze droższego? Mieć coś innego, a nie stary, wielokrotnie reperowany telefon, który i tak trzeba wymienić, oraz kurtki zimowe, czapki i rękawiczki, które się nie rozpadają?” A jednak umiem sobie to wyobrazić, bo kiedyś to wszystko miałam, bo w takim świecie mnie wychowano i musiałam się go oduczyć, a przez to teraz o wiele bardziej go nienawidzę. Widzę go u innych na pierwszy rzut oka i mam im za złe, bo nadal zbyt często muszę sobie przypominać, że mają to, czego nie mam już ja.

- Nie bardzo znam się na genetyce - mówię. - Ale decyzja chyba nie należy do mnie.

- Twój mąż stwierdził, że raczej nie będziesz miała z tym problemu - odpowiada. - Tak przynajmniej powiedział Jeremy'emu.

Zapomniałam, że tak ma na imię jej mąż.

Dostaję chwilowego szału na myśl, że mój mąż rozmawiał z nim bez mojej wiedzy, ale doceniam to, że dał mi ostatnie słowo, choć o to samo mam też oczywiście pretensje.

Ciągle chcę jednego i drugiego, i tego żałuję, a to jeszcze bardziej mnie męczy. Chcę pieniędzy, które by nam dali, i chcę, żeby mój mąż czuł się z tym dobrze, chcę, żebyśmy sobie dali z tym spokój, udawali, że nic takiego nie zaszło, a jednocześnie przez kilka miesięcy nie

musieli się martwić o czynsz. Ale nie panuję nad swoimi myślami ani emocjami, a to, że na świecie pojawiłby się ktoś tak mały jak nasze dzieci, osoba, która jest jego częścią, ale my nie możemy jej kochać i chronić, nie możemy zajrzeć nocą do jej pokoju, przepętnia mnie smutkiem i strachem.

Bogata kobieta mówi:

- Czuję się jakaś taka jałowa.

Nie mogę spojrzeć jej w oczy. To osoba, która przeżyła stratę, ma swoje uczucia. Nie mam w mózgu przestrzeni do zamartwiania się jeszcze o nią.

- Przykro mi - mówię.

- Tak cię polubiłam, kiedy się poznałyśmy.

Myślę sobie, że nieźle mi wychodzi udawanie.

- Jeremy mówił, że macie pod górkę - dodaje.

Moja dłoń znów ląduje na brzuchu. „Wypierdalać” - myślę.

- Mówił, że podobno męczysz się w tej pracy. Możemy wam zaproponować...

Spodziewam się propozycji finansowej, której nie będziemy mogli odrzucić, i niemal drga mi ręka, jakbym chciała zasłonić jej nią usta.

Po spotkaniu idę przed siebie i dopiero po godzinie wsiadam do metra. Ponieważ pociąg się spóźnia, na peronie przeglądam Instagram Sashy i wtedy ją widzę: wymięta twarz, kępka gęstych czarnych włosów, plamista cera. Dziewczynka. A Sasha, piękna Sasha, trzyma ją na rękach i się uśmiecha.

6

DO KOŃCA SEMESTRU zostały dwa tygodnie i w zasadzie nikt już nie udaje, że ma coś do zrobienia. Nikt nie udaje, że się na tym zna.

Poszłam na spotkanie poświęcone przedłużeniu umowy na kolejny rok, kierownik jadł grzanekę z serem. Zaprezentował mi umowę z dwuprocentową podwyżką i oznajmił, że według niego lepiej nadają się do uczenia klas dziewiątych, mimo że przez cały rok uczyłam starszych, mimo że zatrudniono mnie po to, żebym pomogła uczniom najstarszego rocznika w przygotowaniach do egzaminów na studia.

Odpowiedziałam, że niezupełnie nadają się do uczenia w młodszych klasach.

- Wykładałam na uczelni - dodaję.

Skinął głową, wiedział o tym, starł z twarzy kawałek pomidora.

- Ale w dziewiątych klasach nie ma żadnych testów - stwierdził. -
A wiem, że nauka pod testy to nie jest twój konik.

Po tygodniu wróciłam do gabinetu i się zwolniłam.

Niektórzy ludzie, których lubię, zostają albo znajdują sobie pracę w innej szkole podobnej do naszej. Moje współwychowawczynie też zamierzają odejść, jedna na uczelnię, druga do innej placówki. Myślę sobie, że może im podziękuję za to, że pod moją nieobecność tyle razy mnie kryły, ale musiałabym im powiedzieć, że odchodzę, więc siedzę cicho. Ilekroć mówię komuś, że odchodzę, spuszcza wzrok. Podskubuję rąbek bluzki i wygłaszam gorącą, żarliwą krytykę wadliwego systemu. Ale po moim odejściu wcale nie będzie lepiej. Odchodzę, bo kocham swoich uczniów, ale nie tak bardzo, jak bym sobie tego życzyła, za mało, żeby pilniej i lepiej pracować, a wszystko to dlatego, że bardziej kocham własne dzieci.

Przez całe lato będę jeszcze dostawać wypłatę, a dzięki pomocy Melissy udało mi się złapać trzy inne kontrakty akademickie. Poza układami i strukturami nie umiemy żyć, ale okazuje się, że w ich ramach też już nie.

Po kamienicy krążą pogłoski - w ostatnim miesiącu coraz wyraźniejsze - że zarządca, któremu płacimy co miesiąc czynsz, zamierza potraktować śmierć Josslyn jako pretekst do przekształcenia mieszkań w lokale spółdzielcze i wymagać od lokatorów wykupienia udziałów. Coraz później wstaję i pokonuję biegiem coraz krótsze dystanse. Jem główniane darmowe posiłki w pracy i przestaję się mieścić w ubrania. Nie mam już ochoty na seks z mężem. Nie tak od razu, czasem jeszcze ustępuję, ale ilekroć mnie przytula, nie mogę przestać myśleć o tym skurwysynu z uczelni i o wszystkich innych podobnych mężczyznach, o których rozpisuje się co dzień prasa, a wtedy przechodzą mnie ciarki i mam ochotę ukryć się w rogu łóżka i iść spać.

- To skomplikowane - mówię w odpowiedzi na jego pytający wzrok. - Po prostu nie mogę.

- Nie ma niczego skomplikowanego w tym, że już mnie nie chcesz.

- Nie chodzi o ciebie.

- No właśnie chodzi.

- Chodzi o mężczyzn w ogóle - mówię. - W tej chwili nie chcę niczego dawać mężczyznom.

Jest dobrym mężem i to nie fair. Rozumiem to. A jednak nie chcę. Czasem się poddaję, bo chcę, żeby był szczęśliwy, bo go kocham i lubię, bo jest dobrym tatą i kocha też mnie. Ale potem zwijam się w kłębek jeszcze bliżej ściany.

Codziennie przed lekcjami spotykam się z Kaylą i kupuję jej śniadanie w dinerze naprzeciwko szkoły. Ze trzy miesiące temu napisała do mnie z metra, że jest głodna, a że przyjechała wcześniej, zaproponowałam jej posiłek. Usiadłyśmy tam wtedy, następnego dnia

również. Sobie biorę kawę, a jej kanapkę z kotлетem, jajkiem sadzonym i serem za cztery dolary; siedzimy i rozmawiamy albo milczymy, a ona je. Piję kawę z podwójnym mlekiem, a gdy idziemy w stronę szkoły, mam nieodpartą chęć otoczyć ją ramieniem.

- Lepiej uważaj - ostrzega moja współwychowawczyni, gdy widzi, że Kayla i ja przechodzimy ze śmiechem przez wykrywacz metali.

- Uważam - mówię, choć nie wiem dokładnie, co ma na myśli, wiem za to, że jeśli przestrzega mnie przed przekraczaniem granicy, to zrobiłam to już dawno temu.

Wysłałam Sashy gratulacje, chociaż nie dała mi znać. „Dzięki” - odpisuje następnego dnia i wstawia emotkę, a ja mam ochotę do niej zadzwonić albo polecieć, tylko że nie mogę, czekam więc na jej telefon i codziennie wypatruję nowych zdjęć, ale bezskutecznie. To, które ostatnio wrzuciła, wyświetla mi się jeszcze dwa razy, u jej matki i siostry, i późno w nocy przyglądam jej się, wyświetlam każdą wersję, zadaję sobie pytanie, jaka jest.

Wracam z pracy późno, bo zbliża się koniec roku i zaczyna do mnie docierać, że po upływie tego czasu nie spotkam się już więcej z uczniami. Daję im na wszelki wypadek swój numer i prywatnego maila. Sądzę, że odezwie się Kayla i może ze dwie inne osoby, dzieci, które wybierają się na studia i którym obiecałam pomóc z pierwszymi pracami zaliczeniowymi, o ile dadzą mi znać odpowiednio wcześniej; późnym wieczorem pod koniec pierwszego i drugiego semestru wyślą mi maile. Po egzaminach końcowych siadamy razem w klasie i pomagam im w redagowaniu listów motywacyjnych, ponieważ dyrektorka nie puści ich na wakacje, dopóki nie złożą w sekretariacie wersji roboczej dokumentu. W torebce mam słodycze z pokoju nauczycielskiego, rozdaję je szóstce obecnych dzieci. Każde prosi o odczytanie swojego listu, a potem wspólnie zastanawiamy się nad treścią. Jedna z dziewczyn pisze o tym, jak wyjechała na obóz letni i skończyły jej się pieniądze. Jej ojciec oszczędzał, żeby dostała

kieszonkowe na wyjazd, tyle że - jak pisze w liście - była z dziećmi, które wydawały pieniądze, jakby miały się nigdy nie skończyć. Obóz trwał trzy tygodnie, a jej po pierwszym zostało siedem dolarów. Pisze o tym, jak zadzwoniła do taty i poprosiła o dostanie kieszonkowego, a gdy słuchała długiej ciszy po drugiej stronie, czuła się, jakby przeniesiono ją nagle do dawnego życia. Jak szybko zatarł jej się w głowie obraz rodziców, którzy od rana do wieczora pracują na stojąco: tata jest mechanikiem, a mama zaplata warkoczyki. Wysłał jej te pieniądze, a ona zmusiła się do poruszenia wyobraźni i pomyślała o tym wszystkim, czego musieli sobie odmówić, ile przepracować, żeby spełnić jej życzenie. Jakiś chłopak pisze o zadawaniu pytań, o tym, że ma taką manię; inny o obiedzie, który ugotował mamie, i o wycieczce zorganizowanej przez organizację Outward Bound. Pomagam im w przestawianiu szyku i wydzielaniu akapitów. Śmiejemy się, zaczynają pisać coraz lepiej i nachodzi mnie myśl, że może powinnam zostać.

Po kilku godzinach pojawia się mój szef. To ostatni dzień szkoły, tydzień po egzaminach i mnóstwo dzieci albo już dawno wyszło, albo w ogóle się nie pokazało. Szef, który lubi być w centrum uwagi, wchodzi i pyta, co robimy, dlaczego moi uczniowie nie są na innych lekcjach. To uczniowie jedenastej klasy i nie uczę ich od miesiący.

- Nie mamy innych lekcji - mówi jeden z nich. - Pani nam pomaga.

Szef patrzy na mnie, potem na nich, potem znów na mnie.

- Pani od nowego roku odchodzi. Mówiła wam już, że nie wraca?

Kiwają głowami, wiedzą, chociaż im nie mówiłam. Za bardzo się bałam. Ale wiedzą, bo niewielu nauczycieli wytrzymuje dłużej niż rok. Mieli wiele lat, żeby się nauczyć, że w szkole nie należy się do nikogo przywiązywać. Znów myślę, gdy tu z nimi siedzę, że chciałabym być wyjątkiem, że mogłabym być wyjątkiem, że mogłabym dołączyć do wąskiego grona, które zostaje tu dla nich. Zdecydowałam inaczej, jak prawie każdy mój poprzednik i każda moja poprzedniczka, ludzie, którzy wyglądali jak ja. Chciałabym móc im wyjaśnić, że jeśli warto

zagrać tu miejsca, to wyłącznie z ich powodu. To jeszcze dzieci i mogę sobie tylko wyobrazić, że widząc, jak szybko odchodzą ci, którzy przyszli, muszą przynajmniej choć trochę przeczuwać, że to ich wina, i chociaż się mylą, to wątpię, żeby umieli się oprzeć takiemu wrażeniu.

Jadę metrem do domu. Czytam LaRose Louise Erdrich. Dziewczynki są z moim mężem, wstępuję więc do baru nieopodal domu i zamawiam sobie drinka z ginem. Wyjmuję książkę i wtedy dostrzegam córkę Josslyn. „Ifeoma” – powtarzam dwukrotnie w głowie, nim wymówię jej imię głośno – guglowałam je i słuchałam wymowy – bo bardzo chcę je wypowiedzieć prawidłowo.

- Cześć – mówi. – Zapomniałam, jak ci na imię.

Podpowiadam.

- No tak.

- Nie wiedziałam, że tu jeszcze jesteś.

- Zatrzymałam się w Airbnb niedaleko stąd – wyjaśnia. – Próbuję sprzedać rzeczy mamy i znaleźć jakiś sposób na przewiezienie reszty do siebie, na południe.

- A gdzie mieszkasz?

- W Atlancie.

- Tylko raz tam byłam.

Uśmiecha się.

Już mam jej powiedzieć, że pochodzę z Florydy, tyle że Floryda to nie żadne południe. Moje rodzinne strony to jakaś dziwna, zdegradowana i wyposażona w plażę wersja Nowego Jorku czy New Jersey.

- Podoba ci się tam? – pytam.

- Pewnie. Wychowywałam się tutaj i zawsze chciałam wyjechać.

- Tutaj-tutaj? – pytam, mając na myśli naszą kamienicę.

- Uhm.

- I jak się tu żyło?

Opowiada, że jest pielęgniarką i chodziła do szkoły medycznej w okolicy.

- Mama chciała, żebym została lekarką - mówi. - Ale ja miałam dość.

- Josslyn była... - zaczynam. - Bardzo mi przykro, że ją to spotkało.

- Przecież nie miałaś z tym nic wspólnego.

- No tak, ale zawsze była dla mnie taka miła - odpowiadam. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

- Dla mnie też.

Mam ochotę zapytać, czy wie coś więcej. Po każdej tragedii mam wewnętrzny przymus zrozumienia tego, co się stało, jakby miało mi to co najmniej zapewnić bezpieczeństwo.

- Kiedy rodziły się nasze dzieci, przynosiła nam lasagne - mówię.

- O Jezus, mam nadzieję, że ją wyrzucałaś.

Śmieję się i przytakuję.

- Tak właśnie robiłam.

- Nie mogła jeść laktozy - mówi. - Dorzucała do wszystkiego gumowaty zamiennik sera. Trochę jej odwaliło - dodaje. - Była samotna.

- Masz rodzeństwo? - pytam, chociaż znam odpowiedź.

- Dwóch braci, na zachodzie. Ale wbrew temu, co podejrzewały przez chwilę te zęby, żaden z nich nie zrobił mamie krzywdy.

- Odezwali się?

- Myśmy się wszyscy strasznie kłócili.

- Każdy jest czasem egoistą - mówię. - Albo za wszelką cenę chce, żeby sprawy ułożyły się po jego myśli.

- Dzwoniłam do niej. W każdą niedzielę.

- Na pewno bardzo się cieszyła.

Kiwa głową.

- Podobno tak.

W przypiływie skruchy spontanicznie zaprosiłam Kaylę na kolację. Wspominała, że jest sama w domu, i choć wiem, że przyjedzie z daleka, że wieczorem będzie wracała sama metrem, chcę ją ugościć.

„Mogę wziąć brata?” – pisze.

„Jasne” – odpisuję. Mężowi mówię o tym dopiero w ostatniej chwili, gdy dziewczynki idą już do łóżek.

- Przyjedzie z bratem.

- A ile ma lat? – pyta.

- Pięć.

- Musi jutro wstać do szkoły.

To był okropny pomysł, aroganckie przekroczenie granic, ale teraz już nic nie poradzę.

Kayla jest mocniej umalowana niż w szkole. Ma krótką sukienkę, a długie włosy zaplecione w ciasne warkoczyki. Brat przywiera do niej mocno i unika mojego spojrzenia, gdy wpuszczam ich do kamienicy i prowadzę do mieszkania. Jest pyzaty i krępy, ubrany jeszcze w szkolny mundurek. Buty ma zapinane na rzepy, tak jak nasze córeczki.

Dziewczynki, które mają już umyte włosy i zęby i właściwie idą spać, są podekscytowane, pobudzone.

- Kto przyszedł? Kto przyszedł?

- Znajoma mamy – odpowiada mój mąż.

- Uczennica – prostuję.

Najpierw patrzą na brata Kayli, bo jest mniej więcej ich wzrostu, ale on kryje twarz w jej nodze. Kayla pochyla się, żeby uściskać dziewczynki.

- Jak tam podróż metrem? – pyta mój mąż.

Kayla parska śmiechem, oddycham z ulgą, a dziewczynki przenoszą na nią spojrzenia.

- Długa – odpowiada.

Mój mąż też się śmieje.

Nasze córeczki prowadzą gości do połączonej z kuchnią jadalni, w której sami się ledwie mieścimy. Stoi tam mała sofa dla dwóch czy trzech osób, stół z dwoma dorosłymi krzesłami i dwoma starymi krzeselkami dziecięcymi z Ikea.

- Muszę siku - oznajmia brat Kayli.

- To chodź. - Czterolatka bierze go za rękę.

Chłopiec robi wielkie oczy, ale pozwala się prowadzić.

- Cudowny jest - mówię do Kayli na widok dzieci drepczących do toalety.

- One też - odpowiada.

Mój mąż wyjmuję z piekarnika kolację; stół jest już nakryty, dostawiam tylko szklanki z wodą, Kayla odpowiada tymczasem na pytania dwulatki o buty i sukienkę.

- Jak tam w szkole? - pyta mój mąż, może dlatego, że mnie nie słucha, gdy opowiadam, co tam się dzieje, a może nie bardzo wie, o co innego zapytać nastolatkę.

- Dobrze - odpowiada Kayla.

Próbuję sobie przypomnieć, o czym rozmawiamy w szkole, ale nie jesteśmy przecież w szkole.

- Nauczyła cię czegoś? - pyta mój mąż.

- Nie uczę jej - wtrącam.

- Trochę mnie nauczyła - mówi Kayla, a ja czuję, że się czerwienię.

Wracają czterolatka i brat Kayli, mają mokre ręce, siadają na sofie i bawią się klockami magnetycznymi, które dziewczynki przyniosły ze swojego pokoju.

- Jesteś głodny? - pytam chłopca.

Kręci głową.

- Jak kogoś nie zna, to raczej się nie odzywa - wyjaśnia Kayla.

- Do mnie się odzywa - mówi czterolatka.

Kayla się śmieje.

- To dobrze.

Jest późno i czuję, że mój mąż zaczyna się niepokoić. Jeśli dziewczynki nie pójda niedługo spać, przyjdzie załamanie. Przetrzymana czterolatka zacznie wirować w kółko i wspinać się na meble, stanie się nie do opanowania. Dwulatka zacznie płakać i nieprędko przestanie.

- Chcecie iść się pobawić? - pytam czterolatkę.

Bierze chłopca za rękę i biegną do pokoju dziecięcego. Dwulatka przez chwilę odprowadza ich wzrokiem, zaczynają jej się kleić powieki.

- Mogę do ciebie na kolana? - pyta.

Chyba zwracała się do mnie i już się zgadzam, ale widzę, że podnosi ją Kayla.

- Dobrze sobie radzisz z dziećmi - zauważa mój mąż.

Kayla przytakuje.

- Z niektórymi.

- No tak, dzieci są różne - mówi, a ona się uśmiecha.

Dwulatka złapała jeden z jej warkoczyków i przesuwając nim tam i z powrotem po każdym swoim palcu.

- Skarbie... - zaczynam i wyciągam rękę, ale Kayla kręci głową i mówi, że jej to nie przeszkadza.

- W której jesteś klasie? - pyta mój mąż.

- W dziesiątej.

- Wiesz już, co chcesz robić?

Zdaję sobie sprawę, że nigdy jej o to nie pytałam.

- Iść na psychologię.

- Całkiem słusznie - mówi mój mąż.

Ciekawe, czy ona myśli, że mówiłam mu o jej ucieczkach z klasy i szkoły. Nie mówiłam, choć sama nie wiem czemu.

- Chcę zrozumieć, dlaczego ludzie robią to, co robią - stwierdza.

- Nadajesz się do tej pracy - odpowiadam.

Z pokoju dziecięcego dobiega nas krzyk. Wstaję i idę tam, a za mną Kayla.

Brat Kayli siedzi zapłakany na podłodze, a czterolatka stoi z trzema maskotkami w rękach.

- Co się stało?

- To moje specjalne zwierzątka.

- Trzeba się dzielić - mówię. - Mamy gościa i trzeba się dzielić.

Widzę, że drga jej warga. Kayla bierze brata w objęcia i chłopiec powoli się uspokaja.

- Którym chcesz się pobawić? - pytam.

Wskazuje fioletową ośmiornicę, którą czterolatka ścisła kurczowo w dłoni.

- Młoda, daj mu ją - mówię.

Kręci stanowczo głową i przygryza wargę.

- Hej - odzywa się siedząca przy bracie Kayla. Jej głos brzmi inaczej, czulej i ciszej. - Mam pomysł. - Zwraca się do czterolatki. - Chodź tu do mnie.

Czterolatka patrzy to na nią, to na mnie, przyciska maskotki do siebie, zęby nadal ma wbite mocno w wargę.

- No chodź - powtarza Kayla.

Idzie do niej powoli, nie spuszczając wzroku z jej brata. Kayla przyciąga ją do siebie i szepcze jej coś na ucho. Patrząc, jak czterolatka rozluźnia szczękę. Patrząc, jak dźwigają jej się kąciki ust.

Po słowach Kayli kiwa głową. Podaje jej bratu dwie z trzech maskotek i uśmiecha się do niego.

- Przepraszam - mówi.

Chłopiec coś odmrukuje, łapie obie maskotki i wracają do wspólnej zabawy.

- Niezła jesteś - przyznaję.

- To prawda - odpowiada Kayla ze śmiechem.

Kolacja zjedzona, dwulatka ssie pierś na moich kolanach. Mój mąż daje Kayli i jej bratu po kilka ciastek, które upiekł z dziewczynkami, i proponuje, że zamówi im taksówkę.

Nie wiem, co powiedzieć, więc milczę. Przejazd stąd do ich domu będzie kosztował blisko sto dolarów.

- Na pewno? - pyta Kayla.

Mój mąż patrzy na jej brata gryzącego swoje ciastko i na czterolatkę, która kręci się przy nim i pyta, czy chce jeszcze kiedyś przyjechać się z nią pobawić. Wiem, że po ich wyjściu od razu rozpłacze się z żalu na podłodze i uda nam się ją uspić dopiero za kilka godzin.

- Oczywiście - potwierdza mój mąż. - Musicie wstać do szkoły.

Nie mamy na zbyciu stu dolarów. Jestem mu wdzięczna, że się tym nie przejmuję. Żegnam Kaylę i jej brata uściskiem, a potem siedzimy w milczeniu na schodach przed kamienicą w oczekiwaniu na taksówkę.

„Nie umiem” - pisze Sasha; odnalazłam telefon, kładę się z nim na łóżku i przewijam zawartość po tym, jak przez półtorej godziny przekonywaliśmy dzieci, że pora spać, po tym, jak leżałam z dwulatką, a następnie z jej siostrą, po tym, jak przeczytaliśmy im po sześć książeczek, a one płakały, więc głaskaliśmy je po plecach i śpiewaliśmy kołysanki.

„Nie wiem jak” - dopisuje.

Wpatruję się w wiadomość i myślę sobie, że może powinnam zapytać męża. „Ja też nie” - myślę.

„Umiesz” - odpisuję i zaraz kasuję. Chyba powinnam do niej zadzwonić, ale odejmuję telefon od ucha i próbuję zredagować idealną odpowiedź. Kasuję wszystkie po kolei, mój mąż zdążył już usnąć obok, a dwulatka przebudziła się i znowu płacze, domagając się spania z nami, biorę ją więc i karmię, a gdy z powrotem zasypia i chucha mi w bok gorącym oddechem, odpisuję: „Umiesz”.

„Nie mogę tu zostać” - pisze niemal natychmiast.

„Co się dzieje?”

„Jestem w tym słaba” - odpisuje. Kropki w okienku raz są, raz ich nie ma, raz są, raz ich nie ma. Siadam na łóżku i przypadkowo potraćam małą. Drga, coś mruczy, chwyta mnie za rękę i na nowo zapada w sen.

„Nikt nie jest w tym dobry” – piszę.

„Ale też nie mogę jej stracić”.

„Co mogę zrobić?” – pytam.

7

SĄDZIŁAM, ŻE MOŻE poprosi mnie o przyjazd i będę mogła jej pomóc. Mogłabym nosić dziecko i zajmowałybyśmy się nim razem. Mogłybyśmy zrobić to, co należało zrobić wcześniej. Wtedy nie byłam gotowa, chyba żadna z nas nie była, ale teraz chyba wiem, co i jak; mogłabym to wszystko naprawić, gdybym tylko wierzyła jeszcze, że coś takiego jak naprawa jest możliwe. Chcę do niej pojechać i poznać jej męża, przytulić ją, przytulić dziecko, nosić je, gdy bierze prysznic, robić pranie; mogłabym jej przynosić posiłki, przyjaźnić się z nią tak, jak się przyjaźnię z innymi ludźmi, gdy nikt nie oczekuje więcej, niż można w danej chwili dać. Po dwóch dniach dostaję wiadomość, że jej samolot wylądował na JFK i jedzie do nas taksówką. „Za pięć minut będę”. Nie wiem, kogo powiadamia o wyjeździe, kto zostaje z małą. „Jestem sama” – pisze. Oblewam się potem i ciągle przeglądam w lustrze w naszej małej łazience. Przeczesałam palcami włosy i zastanawiam się, czy obejmę ją, nim się spostrzegę, że ją obejmuję, zastanawiam się, czy w końcu zdołam dać jej to, czego potrzebowała przed wielu laty.

To ona, ale nie ona: opuchnięta twarz z przebarwieniami, zero makijażu, włosy upięte i zaniedbane, uroda bez zmian. Zerkam ukradkiem w dół w poszukiwaniu niemowlęcego fotelika, bo myślę, że może coś mi umknęło, może przyleciała z dzieckiem. Patrzę na jej brzuch i myślę, że może je sobie zmyśliła.

- Cześć - mówię.

Tyle gadaniny, całe lata lektur: w pewnym momencie zdawało mi się, że język może mieć pewną wartość, ale życie bywa na ogół mdłe i nudne, i to, co mówimy, też takie jest. A może po prostu życie jest

tak bardzo osobliwe, że język go nie pomieści, człowiek powtarza więc te same wytarte frazesy i pozostaje mu tylko liczyć, że to, kto i jak mówi, wystarczy do precyzyjnego wyrażenia myśli.

Wygląda, jakby miała się roztopić, rozpaść pośrodku naszego przedpokoju. Wydaje mi się, że powinnam ją podnieść, zanieść do naszego pokoju, przytulić i głaskać po plecach, aż zaśnie.

Już mam ją objąć, ale zostaję w progu.

- Ładnie tu - mówi.

- Wejdz. - Cofam się do przedpokoju.

- Coś się pali? - pyta, ale nie wchodzi.

Patrzę ponad jej ramieniem na drzwi Josslyn.

Mój mąż jest w pracy. Dziewczynki są w domu, ale z opiekunką.

- Kto przyszedł, mamusiu? - krzyczą i wybiegają ze swojego pokoju.

Czterolatka łapie Saszę za rękę i próbuje ją wciągnąć do swojego pokoju.

- Chcesz się z nami pobawić?

- Mariah - mówię do opiekunki. - Dzieci - dodaję.

Sasha zdążyła się rozplakać. Nasza czterolatka nadal trzyma ją za rękę i tłumaczy jej, że jak się płacze, to ciało wypłakuje smutek i to dobrze.

Opiekunka zgarnia je z powrotem do pokoju.

- Chcesz kawy? - pytam. - Wody? - Przeglądam spiżarnię. - Ginu?

Tylko takie napoje mam pod ręką. Podnosi na mnie wzrok spod strzechy włosów i mówi:

- Woda będzie super.

Podaję jej szklankę i umykam spojrzeniem, nie chcę, żeby rozplakała się jeszcze rzewniej. Po obu stronach jej bluzki dostrzegam plamy i dociera do mnie, że cieknie jej mleko.

- Chcesz laktator? - pytam, wskazując jej piersi.

Patrzy w dół.

- O kurwa.

Przynoszę dwa laktatory: ręczny z łazienki i elektryczny z naszej sypialni, żeby mogła sobie wybrać. Wskazuje elektryczny, który odciąga pokarm z obu piersi jednocześnie, popija wodę, a ja w tym czasie dokręcam butelki i podłączam urządzenie do prądu.

- Co za jebany syf - mówi.

Podciąga bluzkę i widzę, że nie ma na sobie stanika. Po jej zwiotczałym, obwisłym brzuchu widać, że nosiła niedawno dziecko.

Laktator zaczyna warkotać, siedząca na sofie Sasha głęboko oddycha. Mleko kapie do butelek, wypełniają się powoli. Nalewam sobie wody do szklanki i siadam przy stole kuchennym, żeby przypadkiem nie pogłaskać jej po plecach.

- Jak ci się leciało? - pytam.

- Długo.

Nie chcę pytać o dziecko, ale słyszymy śmiech i zabawę moich córeczek; po chwili czterolatka krzyczy na siostrę, Sasha i ja uśmiechamy się, ale ona zaraz znów płacze.

- Są już takie duże - mówi.

- No wiem - odpowiadam i kręcę głową.

- Bardzo są do ciebie podobne.

Wstaję, podchodzę do sofy i odbieram lejki, żeby założyć nakrętki na butelki, a Sasha się wyciera. Myję urządzenie w zlewie i chowam butelki do lodówki, a ona obciąga bluzkę, bierze łyk wody i rozsiada się wygodniej na sofie.

- Zimno jest - mówi. Przyjechała bez kurtki. - Niewiele się zastanawiałam - dodaje. - Kiedy wychodziłam.

- A o czym...? - zaczynam. - Wszystko w porządku?

Patrzy na mnie bez słowa. To było głupie pytanie.

Słyszę, jak opiekunka woła głośno po imieniu naszą dwulatkę, a ona otwiera drzwi i drepcze pospiesznie w moją stronę.

- Mleczko? - pyta i sięga mi pod bluzkę.

- Nie teraz, skarbie - odpowiadam.

- Proszę, mamuś.

- Mnie to nie przeszkadza - wtrąca Sasha.

Dwulatka bierze to za dobrą monetę i wdrapuje mi się na kolana, a Sasha patrzy. Rozpinam stanik, pozwalam jej się przyssać i wołam do opiekunki, że wszystko gra.

Sasha chyba chce dotknąć stopy dziecka, ale się waha.

- To takie zwierzęce - mówi.

Śmieję się.

- To fakt.

- Ile ma lat?

- Dwa.

- A druga? - pyta.

Zdaje się, że zna jej imię; ciekawe czemu go nie użyła.

- Cztery.

- Jakie są czterolatki?

- Cudowne - odpowiadam bez namysłu. - Tak dużo mówi. Już naprawdę widać jej osobowość.

Chyba nas obie nachodzi przelotna myśl o dziecku, które miałyby teraz dziesięć lat.

- No tak - mówi, nie spuszczać wzroku z dziecięcych stóp.

Chcę przekierować rozmowę na nią. Chcę się upewnić, czy wszystko u niej dobrze, choć jednocześnie wiem, że to absolutnie niemożliwe.

- A twoje... - zaczynam. „Dziecko”, „małżeństwo”, „życie” - wszystkie te słowa przebiegają mi przez głowę jak okropne surogaty tego, co najbardziej mnie teraz u niej martwi. - Czy ty...?

- Możemy tak po prostu posiedzieć? - pyta.

Wraca mój mąż i gotuje nam wszystkim kolację.

Wita się z nią uściskiem, a ja jestem mu taka wdzięczna, temu dobremu, życzliwemu mężczyźnie, który od razu się zorientował, że płakała.

- Co u ciebie? - pyta go ona, zaskakująco uważnie.

- Wszystko dobrze - odpowiada i wskazuje piszczące dzieci i bałagan w naszym mieszkaniu. - Czysty chaos.

Sasha się śmieje, a jak czuję, że go kocham na milion innych sposobów niż wtedy, gdy ją objął, na milion innych sposobów niż wtedy, gdy się poznali, całe lata temu.

Podczas kolacji czterolatka wygłasza dziesięciominutowy wykład o szynszylach, a potem razem z siostrą demonstruje, jak wysoko skaczą tam w Andach, gdzie mieszkają. Dwulatka opowiada Sashy, jak to wyszła na podwórko i huśtała się z koleżankami. Mój mąż opowiada o domu, w którym teraz pracuje, o tym, że przy oczku wodnym na terenie posiadłości są wodospad i jaskinia. Sasha przeważnie milczy, czasem zadaje dziewczynkom pytania, uśmiecha się do mnie, gdy kroję im jedzenie, wycieram rozlane napoje, na prośbę dwulatki daję jej się napić swojej gazowanej wody.

Ona obserwuje ich, a ja ją, i myślę sobie, że nieprzyzwoita ze mnie szczęściara. Stale kogoś dotykam: to małej, to jej siostry, to męża, gdy przechodzę obok niego, by donieść czterolatce jedzenia.

Mój mąż kąpie dzieci, a my siedzimy razem na sofie i Sasha dalej dopytuje o nasze obecne życie. Opowiadam jej dość ogólnikowo o pracy.

Ściele jej na sofie w pokoju przylegającym do pokoju dzieciennego.

- Nigdzie indziej nie... - Nie kończę, bo uznaję, że chyba jeszcze gorzej ją przeproszać za to, że musi spać tak blisko naszych dzieci. Zastanawiam się, czy zadzwonić do jej męża. Chyba mam też numer jej siostry. Mogłabym napisać do niego na Instagramie, wrzucić jej zdjęcie, otagować ją, powiadomić go, że jest cała i zdrowa.

Wchodzę do łóżka, do czytającego męża.

- Nic jej nie jest? - pyta.

- Sama nie wiem.

Całuje mnie, a ja odwzajemniam pocałunek, ale tak, żeby wiedział, że nie mówię po prostu dobranoc. Przysuwam się bliżej i uprawiamy seks, pierwszy raz od miesiący jestem na górze, potem on zasypia, a ja wpatruję się w sufit i próbuję dosłyszeć jej oddech, aż

w końcu sama odpływam. O drugiej nad ranem budzę go i znów uprawiamy seks. Przesuwam dłońmi po jego plecach, zmieniam pozycję, proszę go, żeby zwolnił, zsuwam się, przywieram plecami do jego klatki piersiowej i czekam, aż wsunie się z powrotem. Trzyma dłonie na moim brzuchu, kołyszę biodrami, po chwili dochodzi i ja też. Całuje mnie w czoło, a gdy wkrótce potem wracam z toalety, śmieję się, bo widzę, że już śpi.

MIJA PARĘ GODZIN, mój mąż nadal śpi, w bokserkach, ale bez koszulki, ze skłębioną pościelą u stóp. Ja zakopałam się pod kołdrą i przytuliłam do ściany.

Chyba do niej pójdę. Porozmawiam. Chcę ją obudzić i usiąść koło niej, tak blisko dzieci, że usłyszymy ich oddechy.

Chcę ją przeprosić. Powiedzieć, że to, co brałam za przyjaźń, było z mojej strony podyktowane potrzebą, a gdy ona potrzebowała mnie, dałam nogę. Chcę jej powiedzieć, że zostawiłam ją samą sobie i tego żałuję; porzuciłam ją dwukrotnie. Trzeba było z nią wrócić z Azji, trzeba było dzwonić do niej codziennie, dopóki nie doszła do siebie, być z nią przez cały ten czas.

Chcę do niej pójść i powiedzieć jej, że boję się, że już nigdy poczuję się tak jak czułam się kiedyś, gdy tylko stałam u jej boku. Chcę jej powiedzieć, że boję się, że jestem zbyt wycieńczona i zmordowana, że ten towarzyszący mi nieodłącznie bolesny niepokój nie jest związany z moją pracą, dziećmi albo wszystkim, co sprawia, że życie jest nie takie jak trzeba, tylko ma źródło we mnie samej, jest moją dominującą cechą. I że tak mocno przywiązałam się do myśli, że można coś naprawić, ulepszyć. Że złudność tej nadziei, świadomość, że wszystko będzie nadal takie samo, wyczerpuje mnie bardziej niż wszystkie nieprzespane noce i pokonane biegiem kilometry.

Chcę wyrzucić wszystkie słowa z głowy w przestrzeń, a potem posłuchać jej. Chcę usiąść tylko z nią i połączyć wszystkie słowa

w ciąg, nie tylko logiczny, ale będący czymś lepszym, donioślejszym, stabilniejszym niż wcześniejsza zbieranina i niż nasze dawniejsze losy.

Chcę jej to wszystko powiedzieć, ale innymi słowami, może jakoś zgrabniej, ale gdy słyszę warkot laktatora i schodzę z antresoli, słyszę w ciemności jej cichy płacz i wiem już, że to nie czas ani miejsce na takie rozmowy.

Jest jeszcze coś, o czym długo nie wiedziałam, właściwie przez cały okres naszej przyjaźni, coś zarazem prostszego i bardziej złożonego niż wszystkie słowa, cały niedostatek. Coś, czego nauczyły mnie chyba dzieci, gdy je karmiłam, podcierałam, przewijałam, tuliłam nocą, gdy nie mogły spać: to miłość, ale nie taka zachowawcza, przegadana, tylko sprawcza, taka bez drugiej strony medalu, i to jest w niej najgorsze, ale i najlepsze.

Siadam w milczeniu bardzo blisko niej, zaczyna płakać, a ja nie próbuję jej uspokajać. Słyszę oddechy dzieci. Plastikowe buteleczki się wypełniają, kap, kap, kapie mleko, a my siedzimy bez ruchu. Ociera piersi, obciąża koszulkę. Do jednej ręki biorę lejki, do drugiej butelki. Kładzie się, a ja wstaję, idę włożyć mleko do lodówki, umyć lejki i odłożyć je do wyschnięcia na rozłożoną na blacie ściereczkę. Wdrapuję się z powrotem do łóżka i leżę bez ruchu, ale nie śpię, tylko ich nasłuchuję: jej, naszych córeczek, męża; wiercą się i obracają z boku na bok, a ja czekam, aż się obudzą i zaczną się dzień.

ZBIERAMY SIĘ, ONA pije w kuchni kawę. Pakujemy dzieciom prowiant, robimy śniadanie. Czterolatka mówi, że musi „wygonić z oczu senki”, leży po ciemku i pojękuje, dopóki jej nie podnoszę i zanoszę owiniętej po czubek głowy kocem do stołu, żeby zjadła owsiankę z pokrojonymi owocami.

- Muszę siku - mówi mała po dwóch kęsach śniadania.

- Okej - odpowiadam.

Patrzy na Saszę.

- Możesz ze mną?

- Trudno jej się wspiąć na toaletę - wyjaśniam.
- Sasha uśmiecha się do niej, zaciska dłoń na kubku z kawą.
- No pewnie.

Jedzie ze mną odstawić dziewczynki do przedszkola. Skończyłam już pracę, ale im zostało jeszcze kilka tygodni. Sasha prowadzi małą za rękę, a ona pyta ją, czy ma dzieci.

- Tak.
- Dwulatka patrzy na nią wyczekująco.
- Małą córeczkę.
- Możemy się z nią pobawić? - pyta czterolatka.
- Jasne - mówi Sasha.
- Kiedy?
- Chyba niedługo.

Idziemy dalej jakby nigdy nic. Teraz czterolatka trzyma za rękę ją, a dwulatka mnie.

Pytam, jak im się spało i co będą dziś robić w przedszkolu, żeby przestały ją indagować. Pytam, jakie mają na dzisiaj plany i co ich zdaniem dostaną na lunch.

- Możesz nas odebrać? - pyta czterolatka Sashę, a ona patrzy na mnie ponad ich głowami.
- Kto wie - odpowiadam.

Odprowadzamy dziewczynki do ich sal, zegniam je uściskami i pocałunkami. Przytulają się do Sashy, a ona nie wie, co zrobić z rękami, i czerwieni się po uszy.

- Kiedy były jeszcze naprawdę małe, trafiłam do szpitala - mówię. - Tuż po urodzeniu młodszej.

Idziemy ramię w ramię od kwadransa. Sasha ma na sobie ubrania z poprzedniego dnia, włosy związała w kucyk.

- Zakręciło mi się w głowie i upadłam, przestraszyłam się jak nie wiem. Wpisałam w wyszukiwarce swoje objawy i wyskoczyło mi duże czerwone okienko z napisem NALEŻY JECHAĆ DO SZPITALA.

Sasha się nie odzywa, więc mówię dalej:

- Wcześniej byłam biegać, potem karmiłam. Mała jadła co godzinę i prawie nie spała.

Przechodzimy przez ruchliwą ulicę i odruchowo chwytam Saszę za łokieć. Chyba czuję, jak mi się poddaje. Milczymy aż do następnej, mniej gwarnej przecznicy.

- Siedziałam na łóżku szpitalnym, przez całe osiem godzin nikt niczego ode mnie nie chciał, ani nie potrzebował, i taka spokojna nie czułam się od miesięcy.

- Nic ci nie było? - pyta.

- Nie. Przynajmniej nie stwierdzili niczego podejrzanego.

- Tak długo na nią czekałam.

- Macierzyństwo jest przerażające.

- W końcu ją mam, jest moja, ale ciągle myślę, że nie miałam do niej prawa, że nie jestem dobrą matką, że nie powinni mnie dopuścić...

- Żadnej z nas nie powinni dopuścić - wtrącam.

- Myślę o nim, o dziecku - mówi. - Tym drugim. Ciągle o nim myślę. Chyba sobie wmówiłam, że tak wygląda macierzyństwo.

- Bo to...

- Zaczęłam myśleć, że pozostało mi tylko ją kochać, kochać je obie, ale z daleka, bo z bliska stanowią dla nich zagrożenie i ją też bym zabiła. Że i jej zrobiłabym jakąś krzywdę.

Znam powody, dla których powinnam jej zamknąć usta, ale tego nie robię.

- Ja jej tak naprawdę nie chciałam - mówi. - Nie wiedziałam, czego chcę. Przez lata myślałam, że umarła, bo nie chciałam jej tak, jak powinnam.

Patrzy na mnie, twarz ma dorosłą, znużoną. „Sasha” - myślę. „Tak mi przykro”.

- Byłaś bardzo młoda - mówię.

- Kaprys losu - mówi. - Wybryk natury. Klęska komórek i chromosomów. Coś, co może się powtórzyć.

Nie odzywam się, ale idę bliżej niej. To dziecko jest zdrowe, idealne. Wybrykiem natury był tamten martwy poród. Lekarze ocenili później stan jej zdrowia jako doskonały, ale lęk wcale nie staje się przez to mniej dotkliwy.

- Nie przeżyłabym tego - mówi.

Ja chyba też nie.

- Nie mogę - mówi. - Jeszcze raz.

Mijamy zadaszone boisko do koszykówki, docieramy do ruchliwej ulicy i ruszamy długim przejściem dla pieszych. Tuż przy niej zatrzymuje się autobus, a ja chwytam ją znów za rękę, wzdryga się, puszczam i idziemy dalej, tak blisko siebie, że niemal stykamy się ramionami.

W trzecim tygodniu życia naszego pierwszego dziecka moja matka przyleciała je zobaczyć. Karmienie nam się nie udawało. Byłam stale zmęczona. Mleko płynęło mi zbyt szybko i zbyt obficie, więc mała krztusiła się i charczała. Zaciskała szczęki, żeby zahamować strumień, a to bolało; ja się spinałam, ona się spinała i obie płakałyśmy dzień i noc. „Ja ją podtapiam” - mówiłam mężowi. On szedł spać, jakbyśmy co najmniej nie musieli stale czuwać i pilnować, żeby była bezpieczna i zadowolona. „Jak śmiesz?” - myślałam, czułam się odizolowana i zdana sama na siebie. Pokryłam się pokrzywką i dostałam gorączki. Drapałam skórę, wysypka krwawiła i gdy zdarzało mi się wychodzić, mimo lata nosiłam bluzki z długimi rękawami. Snułam się w tę i z powrotem korytarzami naszego przedpokoju i nie zgadzałam się na podawanie jej czegokolwiek poza moim mlekiem, bo w książkach i w Internecie pisali, że w przeciwnym razie srogo ją zawiodę, nie będę godna jej przy sobie zatrzymać. Tryskałam mlekiem, a ona płakała. Byłam przekonana, że przyjdzie ktoś z wyższej instancji i mi ją zabierze. Ale zjawiała się moja matka: z ubrankami przewidzianymi chyba dla wszystkich brooklyńskich niemowląt, kocykami i jaskrawymi plastikowymi zabawkami, które świeciły i wydawały różne dźwięki.

- Z nią nie jest dobrze - szeptała do mojego męża. - Jest pod czyjąś opieką? - pytała, ona, która nigdy nie wierzyła w specjalistów.

Byłam pod czyjąś opieką, ale tylko do porodu.

- Może nie powinna zostawać z nią sama - mówiła, a ja stałam pod drzwiami kuchni i słuchałam.

Nie wzięłam macierzyńskiego, bo straciłabym ubezpieczenie zdrowotne. Obwiązywałam ją chustą i karmiłam w gabinecie między zajęciami, próbując dalej czytać, pisać i myśleć.

- Ona się leczyła - powiedziała matka.

- Nic jej nie dolega - odparł mój mąż. - Jest przemęczona.

- Musi jej po prostu dać butlę - stwierdziła.

- Nie mogę jej mówić, co ma robić.

Wyszłam roztrzęsiona z domu. Zostawiłam dziecko. Piersi stale mnie bolały, mleko przeciekało przez bluzkę. Miałam przy sobie klucze i telefon, i zadzwoniłam do Sashy, a ona odebrała, choć nie rozmawialiśmy wtedy od lat. Chyba założyłam, że nie odbierze, ale stało się inaczej.

- Przerasta mnie to - powiedziałam bez wstępu.

Wiedziała, że urodziło się nam dziecko. Wysyłałam grupowego maila. Nie miałam pojęcia, co więcej mogę jej o tym powiedzieć.

- Sash... Już nie mogę.

Gdy tylko odebrała, wiedziałam, że nie mam prawa prosić.

- Weź oddech.

- Moja mama przyjechała.

- Au.

Zaśmiałyśmy się obie.

- A jeśli ją zabierze? - spytałam.

- Ona jest twoja - powiedziała. - Nie może jej zabrać.

Zamilkłyśmy wtedy na dłuższą chwilę. Myślałam o dziecku, którego nadal nie ma, dziecku, które urodziła, ale którego nigdy nie miała.

- Jak ty... - zaczęłam.

- Radzisz sobie - powiedziała. Nigdy, przenigdy nie chciała o tym ze mną rozmawiać. - Poradzisz sobie.

Wymówiłam jej imię, ona wymówiła moje i stałam tak na ulicy; przejeżdżały samochody, ludzie się na mnie gapili. Nie miałam na sobie stanika i mleko spływało na mój pępek, pas poporodowy i skórę na podbrzuszu, która piekła mnie jeszcze po tym, jak kilka dni wcześniej mnie rozcięli, tak jak wcześniej ją.

- Wracaj do domu - powiedziała.

A ja posłuchałam.

- Słyszałaś o odruchu nurkowania? - pyta.

Kręcę głową. Zbliżamy się do naszego mieszkania, mijamy naszą pralnię samoobsługową i bar, w którym siedziałam z Ifeomą.

- To termin biologiczny - mówi. Robi śmieszoną minę, na co ja się uśmiecham.

W liceum zdarzało się, że zaczynała mówić o biologii, którą się interesowała, a ja krzyczałam, żeby przestała, bo kochałam literaturę i uważałam, że nauki przyrodnicze są bez sensu.

- To fizjologiczna reakcja organizmu na zanurzenie - mówi. - Wiesz, co to są odruchy homeostatyczne?

Kręcę głową.

- W reakcji na bodziec organizm dąży przede wszystkim do utrzymania homeostazy.

Nie do końca wiem, o czym mówi, ale zachwyca mnie zmiana w jej wyglądzie i tonie głosu; emanuje z niej pewność siebie. Staram się nie przybliżać do jej twarzy.

- Organizm rozumie, że znalazł się pod wodą, i w odpowiedzi dostarcza tlen do najważniejszych narządów, serca i mózgu, dopóki nie może na nowo zaczerpnąć go z powietrza. Gdy nos wypełnia się wodą, znajdujące się w nim receptory inicjują stosowny odruch i dzięki temu możemy pozostać pod wodą dłużej, niż byśmy mogli, gdyby ten odruch nie występował.

Oderwała się już od mojego ramienia i stoimy na rogu przy naszej kamienicy, mijają nas przechodnie i samochody, a ja słucham.

- Na studiach, po tym wszystkim, byłam na ciebie wściekła - mówi. - Ale potem się o tym dowiedziałam i pomyślałam o tobie, o nas obu. Byłyśmy pod wodą. Miałyśmy ograniczoną ilość tlenu.

Po powrocie do mieszkania proszę, żeby pokazała mi zdjęcia dziecka, a ona wyjmuje telefon.

Przeoglądam różne ujęcia wymiętej twarzyczki.

Sasha mnie obserwuje.

Uśmiecham się na widok malutkiego, pomarszczonego stworzenia.

- Śliczna - mówię, co nie jest prawdą, ale trochę jest, a ona kiwa głową i zagląda mi przez ramię.

Zaczyna płakać, ja przyciągam jej głowę na kolana, tak jak ona z tysiąc razy przyciągała moją.

- Wracaj do domu, Sash - mówię.

Jej włosy opadają mi na nogi, patrzę na nią długo i nie zamieniamy ani słowa.

Potem siada, idzie obmyć twarz, daję jej swój komputer, dzwoniemy do jej męża i szukamy połączenia.

W DNIU JEJ WYLOTU mój mąż jedzie do nowej pracy i pada deszcz, zostajemy więc w domu i dziewczynki oglądają telewizję, rysują malują. Zaczynają się sprzeczać o fioletowy pędzelek i po chwili obie płaczą, ale potem czterolatka znajduje inny, też fioletowy, i wraca do malowania, lecz dwulatka nie może się uspokoić.

- Oddychaj, skarbie - mówię.

Próbuję ją karmić, ale mnie odpycha i dalej płacze; ciało ma rozpalone, twarz mocno czerwoną.

- Czasem dobrze włożyć uczucia gdzie indziej. - Mówię, że jej siostra wkłada uczucia w malowanie, a ja w pokonywanie biegiem wielu kilometrów.

Mała na mnie patrzy. Dopiero uczy się świata i próbuje coś pojąć z tego, co właśnie wymyśliłam, żeby ją uspokoić. Przykłada dłoń do głowy i dalej zanosi się płaczem.

- Ale mamusiu - mówi i ryczy jeszcze głośniejsze, teraz już rozpaczliwie. - Ja nie sięgnę do środka głowy po te uczucia.

8

TYDZIEŃ PO ZAKOŃCZENIU roku przedszkolnego przyjeżdżają z północy rodzice mojego męża i zabierają na tydzień dzieci, a ja wpadam w stan nieważkości. Mieszkanie jest spokojne i ciche, puste. Jadą z nimi siedem godzin na północ Maine, a ja co wieczór stoję w ich pokoju i myślę, że może mogłabym wsiąść w samochód i przywieźć je z powrotem.

Fucha mojego męża się przeciągnęła, a ja dostałam od czterojęzycznej koleżanki tygodniowy nielimitowany karnet na jogę. Po porannym biegu idę na pierwsze zajęcia. Zainstalowałam sobie na okres próbny apkę dla biegaczy i każdego ranka kobiecy głos instruuje mnie, ile mam przebiec kilometrów i w jakim tempie, a ja czuję ulgę, że zawczasu podejmuje za mnie tę decyzję. Przez resztę dnia wędruję po mieście. Wchodzę do restauracji, żeby skorzystać z toalety. Weszłam tam wczoraj, kelnerzy byli sympatyczni, a łazienka bardzo czysta - mydło pachniało cytrusami i przez resztę dnia wachałam dłonie - więc dziś postanawiam tam wrócić. Jakiś mężczyzna, który siedzi przy barze i czyta gazetę, dokładnie tak samo jak wczoraj, zatrzymuje mnie, gdy przechodzę przez główną salę.

- Widzę, co pani kombinuje - mówi.

- Słucham? - Niedawno brałam prysznic po bieganiu, mam na sobie zwiewną letnią sukienkę i kardigan, na stopach japonki, a na ramieniu niewielką płócienną torbę z książkami. - Co kombinuję?

- Widziałem panią wczoraj - mówi. - Toalety są dla klientów. Pani nie jest klientką.

- Przepraszam - odpowiadam zakłopotana, ale i zła; gość mówi do mnie takim tonem i tak na mnie patrzy, że mam ochotę pobiec

z powrotem do domu i wejść pod kołdrę.

- Może pani wejść - dodaje. - Ale ostatni raz.

Korzystam z toalety, myję ręce smakowicie pachnącym mydłem i wychodzę, nie patrząc w jego stronę. Wracam metrem na Brooklyn i w słabo klimatyzowanej kawiarni czekam na kolejną sesję jogi. Przychodzę na miejsce wcześniej i długo leżę bez ruchu na macie.

Spotykam się ze znajomym, posiadaczem pakietu członkowskiego muzeum Whitney, i idziemy na wernisaż wystawy, której nie mogę obejrzeć sama, bo placówka nie honoruje mojej legitymacji służbowej. Czytałam o tym artyście i choć nigdy nie widziałam na żywo jego prac, od lat rozmyślałam o tym, czego się dowiedziałam na temat jego życia, twórczości i śmierci. Znajomy pokazuje bileterowi kartę członkowską i oglądamy pierwszą część wystawy: zrobione w różnych miejscach Nowego Jorku czarno-białe fotografie ludzi w maskach z twarzą Rimbauda. Z jednego z podpisów wynika, że artysta chciał zostać pisarzem. Z Rimbaudem łączyły go queerowa tożsamość, duch aktywizmu oraz przekonanie o mocy i osobliwości słów, które można przekręcać i składać na nowo w innych celach.

Rozmyślałam o tym, na ilu poziomach zawiodły mnie książki, na ilu poziomach nie spełniły moich oczekiwań, ale w tej wystawie i tak najbardziej porusza mnie język. Kolorystykę obrazów odbieram jako boleśnie odpychającą; przymiarki do zilustrowania piękna, wielkie kwiaty na niebiesko-zielonych płótnach wydają mi się groteskowe. Ale ten jego język, świdrujący i pełen wściekłości. Można tu usiąść w pustym pomieszczeniu z dużym oknem zasłoniętym nieprzepuszczającą światła roletą i posłuchać, jak artysta opowiada z pasją o jednym ze swoich dzieł. Zmarł na AIDS w wieku trzydziestu siedmiu lat. Stracił tak wielu przyjaciół. Furię słysząc nie tyle w jego słowach, co w ostrym, bezpardonowym tonie. Wyobrażam sobie, że gdy skończył mówić, na twarzy miał ślinę.

Wieczorem, w łóżku, po wideorozmowie z dziećmi, po tym, jak opowiedziały nam o kąpielach i szukaniu w lasach łosi, po naszej wizycie w pobliskiej niedrogiej restauracji i kolejce bourbona, po tym, jak wróciliśmy do domu, on usiadł na krześle pod antresolą, żeby obejrzeć mecz, a ja na jego widok podeszłam, usiadłam na nim okrakiem w krótkiej letniej sukience i uprawialiśmy seks, po tym, jak poszedł spać, a ja usiadłam na łóżku i przewijałam wciąż niezaludnionego Instagrama Sashy, otóż po tym wszystkim dzwoni telefon i widzę, że to Kayla.

- Halo? - mówię.

- Cześć - mówi beznamiętnym tonem. - Zajęta pani jest?

Jest pierwsza w nocy.

- Tak sobie - odpowiadam.

Mój mąż siada na łóżku i pyta bezgłośnie, czy to dzieci. Kręcę głową i schodzę powoli z łóżka.

- Stało się coś? - pytam.

- Może pani przyjechać? Jest taka sprawa.

- Jaka sprawa, Kayla?

Mieszka na Bronksie i metrem jedzie się do niej co najmniej godzinę. Samochodu nie mamy. Nawet sobie nie wyobrażam, ile zapłaciłabym za taksówkę.

- Jestem na policji - mówi. - Potrzebuję tu kogoś. - Zaczyna płakać, a ja sięgam do szafy po dzinsy, stanik i koszulkę.

- Podaj adres.

Mówię mężowi, dokąd jadę, ale on jest zaspany, półprzytomny. Całuję go, sprawdzam, czy łąduje mu się telefon, upewniam się, czy mam w torebce ładowarkę.

- Dawaj znać - mówi, gdy wychodzę.

Metro kursuje zaskakująco często i dojeżdżam na komisariat przed podanym Kayli czasem. W środku panuje spokój, tylko za kontuarem siedzi policjantka, zaprasza mnie gestem.

- W czym mogę pomóc? - pyta policjant za drugim kontuarem.

Podaję nazwisko Kayli, a on patrzy na mnie nieufnie.

- Pani nie jest jej matką.

- Jestem... jestem jej nauczycielką - mówię.

Okazuje się, że odebrać ją może tylko opiekun prawny.

- Co się stało? - pytam. - Nic jej nie jest?

- Tu jest potrzebny opiekun - odpowiada policjant. - Może pani udowodnić, że ma prawo do opieki?

- Nie.

Nie mam do niej żadnego prawa.

Właśnie wtedy wychodzi, zbliżam się do niej i ją obejmuję. Ma opuchniętą wargę i ślad ugryzienia na dekolcie.

- Skarbie... - mówię.

Nie płacze, stoi z zapartym tchem.

- Skarbie... - powtarzam. - Nic ci nie jest?

- Wdała się w sprzeczkę z mężczyzną, który jest u nas w areszcie.

- Nie wzięliście jej na badanie?

- Nie wyraziła zgody na udzielenie pomocy medycznej - wyjaśnia mężczyzna.

- Kayla...

- Nic mi nie jest - odzywa się w końcu, nie odrywając wzroku od swoich butów.

- Mogę ją zabrać? - pytam. - Czemu ją przetrzymujecie?

- Jeśli chce wnieść oskarżenie o napaść, musi zostać.

- Chcesz? - pytam. - Skarbie? Co chcesz zrobić?

Kayla kiwa głową.

- Zostać.

- Potrzebuje opiekuna - powtarza policjant. - Pani nie jest opiekunką.

Patrzę na Kaylę.

- Gdzie mama? - pytam.

Podaje mi telefon i widzę jedenaście nieodebranych połączeń od jej matki oraz SMS-y, również od niej.

- Nie zadzwoniłaś do niej?

Kręci głową.

Zabieram telefon do pierwszego pomieszczenia i dzwonię.

- Kay? - mówi jej mama. - Kochanie? Wszystko w porządku?

- Pani Kane?

Mówię jej, kim jestem.

- Czemu pani ma jej telefon? - pyta. - Gdzie moje dziecko?

- Pani Kane, jestem na komisariacie. - Podaję jej adres. - Kayla wdała się z kimś w bójkę. Chyba. Może pani przyjechać?

- A czemu... - urywa. - Już się zbieram.

Pojawia się po dziesięciu czy dwudziestu minutach, rozgorączkowana, w turbanie, dżinsach i koszulce. Mija kontuar i pędzi prosto do Kayli. Patrzy tylko na nią.

- Moje dziecko - mówi. Otacza ją ramionami i długo tuli, a potem odsuwa się, kładzie jej dłonie na policzkach i patrzy z bliska na jej twarz.

Rozmawia z policjantami, a oni mówią jej, co się stało. Patrzy na Kaylę, tym razem bardziej przenikliwie.

- Chryste Panie - mówi. - Nic ci się nie stało?

Wręczają jej papiery, podpisuje je i szepcze coś do córki. Kayla przytakuje w milczeniu, głowę ma spuszczoną, nie patrzy ani na matkę, ani na nikogo innego. Policjantka wyprowadza Kaylę do innego pomieszczenia.

- Beze mnie nic nie mów! - woła za nią matka. - Wszystko w porządku. Zaraz tam przyjdę.

Jeszcze raz do niej podchodzi, ujmuje jej twarz i coś szepcze. Przyciąga ją do siebie, a potem idzie do mnie.

Wyciągam rękę i się przedstawiam.

Mama Kayli patrzy na moją rękę, bierze ją i zaraz puszcza. Przedstawia się.

- Chodź na stronę - mówi.

Zerkam nad jej ramieniem, wypatruję Kayli.

- Poradzi sobie - mówi jej matka.

Prowadzi mnie dalej od policjanta, w stronę pustego kontuaru.

- Masz dzieci? - pyta.

Kiwam głową.

- To dobrze - odpowiada.

Znów przytakuję.

- Chcesz, żeby kto inny próbował je wychowywać?

Kręcę głową.

- Też dobrze.

Kiwam posłusznie głową, nie chcę usłyszeć, że mam już nie rozmawiać z Kaylą. Chcę móc się z nią kontaktować, ale wiem, że jeśli jej matka mi zabroni, to tego nie zrobię.

- Zajmij się swoimi sprawami - mówi.

- Tak - odpowiadam. - Staram się.

- Zajmij się swoimi dziećmi - dodaje. „Swoimi” wymawia nieco bardziej stanowczo, głośniejsz niż pozostałe słowa.

Znów przytakuję.

Rzuca mi przeciągłe spojrzenie i wraca do córki.

Zajęcia jogi prowadzi dziś instruktorka, której nigdy nie widziałam. Ma solidniejszą budowę niż pozostałe kobiety, jest niska i przysadzista. Ubrana jest w cienką czerwoną koszulkę z białym napisem, która naciąga jej się na piersiach i opina tyłek. Ma związane w kucyk kręcone, jasnorude włosy oraz tęgie, zaokrąglone nogi.

- Dziś płynna Vinyasa na zróżnicowanym poziomie - mówi - co znaczy, że wasze sąsiadki mogą wprowadzać modyfikacje, ale proszę, żebyście nie patrzyły na nie, tylko słuchały mnie.

Powtarza to przez całe zajęcia, nieco strofująco. Nie nadążam i muszę obserwować kobiety przede mną albo za mną, i mam treść, mam nadzieję, że nie przyłapie mnie na podpatrywaniu.

- Proszę nie podglądać innych - mówi, gdy siedzimy w przysiadzie, a ja myślę, że już nigdy do niej nie przyjdę.

Tyle że te zajęcia mają rytm, a ja go łapię. Poruszamy się szybciej, niż przywykłam, i zdaje mi się, że zaraz stracę równowagę albo straci ją kobieta za mną, którą widziałam wcześniej i która umie stanąć na

głowie: przewróci się ze śmiechu, gdy zobaczy, że nie umiem nawet dotknąć czubka stopy.

Pocę się mocniej niż zwykle na jodze, prostuję i rozciągam plecy, wciągam brzuch bliżej kręgosłupa i patrzę wprost przed siebie.

Średnio co dwa dni dostaję wiadomość od Sashy i zdjęcia dziecka. Dotykam ekranu telefonu i uśmiecham się do niej. Nie wiem, jak jej opisać, z jaką nadzieją myślę o niej i o dziecku, jak bardzo chciałabym im teraz towarzyszyć. Wysyłam jej tylko zdjęcia naszych dziewczynek.

Chyba już jesteśmy przyjaciółkami. Jest inaczej. Myślę sobie, że może tym razem nasza miłość do siebie nawzajem będzie mniej gwałtowna, ostrożniejsza.

Dostaję maila od Melissy. „Chciałam cię tylko powiadomić, że oczyszczono mnie z zarzutów, choć nie do końca wiem, o co w ogóle poszło. Chciałam ci podziękować”. Proponuje też wspólną kolację, a ja zgadzam się bez namysłu.

„Bardzo chętnie” – odpisuję. „Daj znać, kiedy i gdzie”.

– Jak tam? – pyta Melissa.

Spotykam się z nią przed restauracją. Jest bardzo chuda, już nie piękna, ale układ jej twarzy jest jak palimpsest jej dawnej urody i mocy.

Obejmujemy się, pierwszy raz. Czuję zapach dymu, przypadkowo ocieram się ręką o jej brzuch.

– Nie sądzę, żeby dawali tu jakieś szczególnie dobre jedzenie – mówi. To ona wybrała lokal. – Ale jest blisko mojego mieszkania, no i serwują mocne drinki.

Uśmiecham się, choć nie wiem, czy powinno mi być do śmiechu.

Kelner prowadzi nas do stolika w ciemnym zakamarku sali. Melissa zamawia martini, ja z wdzięcznością biorę to samo, a ona odsłania zęby w uśmiechu.

– U ciebie wszystko dobrze? – pyta.

Nigdy nie interesuje się moimi dziećmi i zawsze ją za to lubiłam. Sama ich nie ma. Podobno ich nie lubi, choć słyszałam to od kogoś innego.

- Tak się cieszę, że wszystko się wyjaśniło - mówię.

Wjeżdżają nasze drinki i Melissa bierze łyk.

Zwraca się do mnie po imieniu i dodaje:

- Gdybyś ty wiedziała.

- Nie jestem pewna, czy chcesz o tym rozmawiać.

- Nie ma sprawy - mówi. - Już po wszystkim.

- Co się stało? - pytam. - I co to w ogóle miało wspólnego z tobą?

- Przyjaźnię się z Davidem.

David to człowiek, o którym rozmawiali studenci, człowiek, w którego sprawie zgłaszałam niesprawdzone zarzuty, a który teraz najwyraźniej został z nich oczyszczony.

- Pewna grupa ludzi chciała go dorwać - dodaje. - Zwłaszcza dlatego, że jest moim sojusznikiem.

Melissa jest prozaiczką. Czytałam tylko jedną z jej powieści, której bohaterka sypia ze swoim sześćdziesięcioletnim wykładowcą i mentorem. Melissa jest wspaniałą pisarką. Znaczna część książki to urozmaicone sceny erotyczne rozgrywające się w wielu różnych miejscach. Nie brak też opisów Nowego Jorku, nocą i wczesnym rankiem, i do dziś mam w głowie niektóre obrazy parku i nabrzeża.

- Coś się ostatnio dzieje - mówi. - Ludzie jakby szukali ofiar.

Dostajemy jedzenie. Popijam drinka, ona też.

- Wykorzystują to do ataku. A zresztą... - dodaje, dostrzegając przed sobą talerz z jedzeniem.

- Ale co się stało? - pytam. - Co się dzieje z Davidem?

- Spotyka się ze studentką.

„Przecież jest żonaty” - mam na końcu języka, jest mi głupio i niezręcznie, ale czuję też złość. „Jest żonaty. Ma małe dzieci”.

- Władze placówki się boją, stąd te nowe zaściankowe zasady.

Odgryza małe kęsy kanapki i powoli je przeżuwa.

Nie tknęłam jeszcze cheeseburgera.

- Któraś z tych przeczulonych panienek uznała to za niestosowne - mówi. - Poprosiła - ona, nie jego dziewczyna - o możliwość zwolnienia z jego zajęć. Nie widziałam ku temu powodów.

Popija drinka, a ja przyciskam dłonie do twardego drewnianego blatu.

- I wtedy na mnie nadała.

Podnoszę burgera i odgryzam kawałek.

- Nadal jednak nie mam jasności, dlaczego wkręcili w to ciebie - mówi.

Przeżuwam jedzenie i obie milczymy zbyt długo, żeby to o niczym nie świadczyło.

- No właśnie - odzywam się w końcu. - Kto to wie.

Kiedy wracam do domu, mój mąż jest już w łóżku. Na blacie kuchennym, tak żebym zobaczyła, leży pismo, w którym właściciele kamienicy informują nas, że przekształcają lokale w mieszkania własnościowe. Możemy wykupić nasze mieszkanie albo w ciągu miesiąca się wyprowadzić.

Nazajutrz rano dzwonię do bogatej kobiety.

- Możemy się umówić na kawę? - pytam.

- U nas zmiany - mówi.

Zwlekaliśmy zbyt długo i zaszła w ciążę. Spróbowali in vitro z nasieniem innego dawcy, nie mówi czyim, i poskutkowało.

Kładę odruchowo dłoń na brzuchu.

- To sam początek - dodaje.

- Rozumiem. Życzę wam powodzenia.

- Czy wy...?

- Chciałam zapytać, co u was.

Rodzice mojego męża prowadzą skromne gospodarstwo w Maine i mają bardzo mało pieniędzy, ale wypożyczyli nam samochód. Mamy

jechać do Maine i spędzić tam tydzień z nimi i dziewczynkami. Zatrzymujemy się w Bostonie u mojej koleżanki Leah, która niedawno urodziła bliźniaki i wprowadziła się do nowego domu; mieszkają na wzgórzu, za domem mają zagajnik złożony z ogromnych, ciemnozielonych drzew, a po drugiej stronie ulicy rozciąga się niewielki rezerwat przyrody. Mają buldoga angielskiego, ogromną suczkę, która towarzyszy im od dnia ich ślubu, a teraz ma osłabione stawy biodrowe i czasem nie kontroluje czynności fizjologicznych, więc co godzinę trzeba ją wynosić z domu, że nie sikała i nie srała na podłogę.

Leah i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego. Poznałyśmy się na trzecim roku studiów, gdy nie byłyśmy jeszcze dość dojrzałe, żeby wiedzieć, jak potoczy się nasze życie. Lubimy się. Lubimy się od tak dawna, że chyba warto podtrzymywać tę znajomość.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, obejmuję ją i porywam na ręce jej dziecko. Zanurzam twarz w jego włosach i biorę wdech; niemowlę wije się, czuję na piersiach jego ciepło i po tygodniu bez dzieci długo wypuszczam powietrze. Kiedy Leah nie jest na nogach - nie krząta się po domu, nie sprząta, nie gotuje - najczęściej ma przy którejś piersi dziecko.

Pierwsze półtora dnia spędzamy na nadrabianiu zaległości i gadaniu o niczym. Mąż Leah jest niebywale opanowany i życzliwy, a mój mąż pomaga mu zamontować w pokoju dziecięcym półki kupione wiele miesięcy wcześniej w Ikei. Pytają o nasze córeczki i o Nowy Jork, a gdy wspominam, że rzuciłam pracę w szkole, Leah i jej mąż milkną i patrzą po sobie.

- To co teraz planujecie? - pyta możliwie neutralnym tonem Leah.

- Jeszcze nie wiem - odpowiadam. - Na jesień mam zaklepane cztery posady.

- Ja też mam parę zleceń w kolejce - dodaje mój mąż.

Mam ochotę jej powiedzieć, że przynajmniej będziemy mogli się zająć dziećmi, ale nie mam takiej pewności.

O tym, że za dwa tygodnie zostaniemy być może bez dachu nad głową, nie wspominam.

Leah kładzie bliźnięta spać, otwieramy trzecią butelkę wina, siedzimy przed domem i patrzymy na drzewa, aż zaczynamy przysypiać, moja koleżanka mówi „chodźmy do środka” i rozchodzimy się do swoich osobnych pokoi.

Mój mąż zasypia natychmiast po przyłożeniu twarzy do poduszki. Ja jeszcze przez chwilę czytam. Przeglądam też własne konto na Instagramie, pełne zamieszczanych przez całe lata zdjęć i filmików z naszymi dziewczynkami, niemowlętami, starszymi, raczkującymi, roześmianymi, oglądam też ujęcia z ubiegłego lata w Maine. Zaglądam na chwilę do Sashy, gdzie nie ma niczego nowego poza zdjęciem niemowlęcia, czerwonego, wielkookiego, bezwłosego. Zostawiam serduszko, a potem podłączam telefon i próbuję zasnąć.

Sama nie wiem, czy w ogóle spałam, ale słyszę płacz któregoś z bliźniąt i wychodzę z pokoju gościnnego. Czuję, jak z lewej piersi cieknie mi mleko. Moja koleżanka już tam jest. Do pokoju, w którym sypiają dzieci, wstawili niewielkie łóżko i Leah nadal spędza tam każdą noc. Staję w progu, a ona idzie po płaczące dziecko. Drugie też się budzi i pytam, czy mam je wziąć. Leah przytakuje, a ja podnoszę niemowlę, przyciskam je do piersi, kołyszę i uspokajam.

Leah siedzi w ogromnym tapicerowanym fotelu na biegunach, który kupili im rodzice jej męża, gdy doszła do trzeciego trymestru i nie bała się już przyjmować prezentów. Rozpina koszulę nocną i przystawia dziecko do piersi. Dziewczynka, którą mam na rękach, już się uspokoiła i podtykam jej palec, żeby mogła sobie pogryźć, dopóki nie uśnie mi w ramionach.

- Jak się czujesz? - pytam i siadam na sofie.

Leah śmieje się i kręci głową, nie spuszczając wzroku z ssącego pierś dziecka. Oboje są maleńcy; dziewczynka jest lekka jak piórko, o wiele lżejsza niż moje noworodki.

- Co za koleś - mówi.

Śmieję się i podążam za jej wzrokiem: czerwone stopy, rączka zaciśnięta na jej kciuku.

- Wszystko w porządku? - pytam.

- Tak jakby.

Dziecko na moich rękach znów się wije i zaczyna głużyć, czuję na piersi jego gorący policzek. Podsuwam mu swój knykić, w gryza się w niego i znów uspokaja.

- Z czasem jest łatwiej - mówię.

Leah się krzywi, bo chłopiec próbuje się na nowo przyssać i chyba ją ugryzł. Słyszę, jak się krztusi i pluje, i wskazuję jej pierś.

- Mogę?

Wskazuje głową dziecko.

Ujmuję jej pierś i wkładam dziecku kciuk do ust, aż rozwiera je szeroko, wsuwam mu głęboko brodawkę, ono ją chwyta, a Leah robi wydech.

- To zależy od ciebie - mówi mój mąż.

Od dwóch godzin siedzimy w samochodzie i dopiero teraz zebraliśmy się na odwagę i zastanawiamy się, czy poprosić moich rodziców o pożyczkę.

- A jakie mamy inne możliwości? - pytam.

- Możemy się wprowadzić do moich rodziców - mówi.

Jego rodzice mieszkają w dwupokojowym domku tak wysuniętym na północ Maine, że na całe tygodnie, a czasem miesiące zasypuje ich śnieg.

- Możemy zrobić to, co robią inni, gdy nie mogą zadzwonić do bogatych rodziców.

Nasz sąsiad Luis przeprowadza się do swoich dzieci gdzieś na północ od Nowego Jorku. Dwoje innych przenosi się do domu opieki dla seniorów i nie posiada się z przerażenia. Gentryfikatorzy, czyli mieszkańcy, którzy wyglądają w większości jak my, albo wykupują lokale, albo szukają mieszkań na południe od parku.

Moglibyśmy wyjechać z Nowego Jorku, ale musielibyśmy wynająć furgon i znaleźć nową pracę. Poza tym musielibyśmy zapłacić ostatni i pierwszy czynsz oraz kaucję. Nie mamy samochodu, nasza zdolność kredytowa wynosi zero.

- Potrzebujemy pracy - mówię.
- Mógłbym zadzwonić do dawnych kumpli z Lehmana.

Odkąd rzucił tę pracę, minęło dziesięć lat. Wtedy miał dyplom prestiżowej uczelni, młodość i zapał, a teraz rok stosownego doświadczenia i wiek średni za pasem.

- Ale czego byś chciał?
- Mieć na rachunki - mówi. - Zajmować się dziećmi.

Nim stracimy zasięg, piszę do taty z pytaniem, czy może rozmawiać, a on odpisuje, że tak. Nie proszę o konkretną sumę, tylko możliwie spokojnym, neutralnym tonem opisuję nasze rozterki i ich różne aspekty. Potrzebujemy pieniędzy na kaucję i trzymiesięczny czynsz oraz pomocy poręczycieli, ponieważ nie mamy zdolności kredytowej.

- Tylko nie nazywaj tego pożyczką - mówi mój ojciec. - Nie udawaj, że będziecie w stanie ją spłacić.

Włączył zestaw głośnomówiący w samochodzie, jedzie z mamą. Połączenie jest słabej jakości, ich głosy brzmią głucho i niewyraźnie; słyszę, jak matka mamrocze coś dwukrotnie do ojca, a on każe jej się uspokoić. Budują ostatnio nowy dom na nowo nabytej działce.

- Okazuje się, że budowa jest droższa, niż przewidywaliśmy - mówi.

Zadają mnóstwo pytań, o moją pracę i powody, dla których nie chcę tam wrócić. Mam ochotę im powiedzieć, że wchodząc co rano do tego gmachu, czułam się, jakbym szła na skazanie, że w ogóle nie widywałam dzieci, że nie mogłam znieść myśli, że moi uczniowie nie dostają tego, co naobiecowano ich rodzicom. Mam ochotę powiedzieć, że zarabiałam tam mniej, niż zarobię na czterech nowych posadach, tylko że to nie ma znaczenia, bo żadna z tych decyzji nie jest dość opłacalna, byśmy mogli przeżyć.

- Spłacimy was - mówię.

Mam pracę na czterech uczelniach i zamierzam sobie dorabiać transkrypcją list dialogowych. Wysłałam CV do winiarni, w której pracuje moja dawna koleżanka, eksstudentka naszej uczelni.

- Ale jaki jest plan? - pyta moja matka.

- Słyszałaś przecież.

- Ale na dłuższą metę - mówi. - Jaki jest plan?

- Nie wiem - odpowiadam.

Nie wiem.

- To na pewno odbije się niekorzystnie na dzieciach - stwierdza. - Cały ten stres.

- Wiem. - Nie chcę się rozplakać, ale już za późno. - Nie wiem, jaki jest plan - mówię. - Nie wiem, czy w ogóle jakiś jest. Będziemy próbowali znaleźć więcej pracy i liczyli na to, że jakoś zwiążemy koniec z końcem.

- A w którym momencie zamierzacie się otrząsnąć? W którym momencie dacie sobie spokój z tym bujaniem w obłokach?

- Nie w... - zaczynam, ale nie rozumiem, o co pyta. - Jakich obłokach?

9

MŁODSZA SKOŃCZY ZA CHWILĘ trzy lata i domaga się przyjęcia. Nie możemy sobie na nie pozwolić, ale jej siostra miała swoje przyjęcie w grudniu i od tego czasu dwulatka ciągle mówi o własnym. Całe lato spędziły głównie w swoim towarzystwie, coraz częściej się kłóca i dopytują o swoje koleżanki.

W ostatniej chwili moi rodzice postanawiają przylecieć na przyjęcie. Na tydzień przed tym, jak mogliśmy się znaleźć na lodzie, przelali na nasze konto dziesięć tysięcy dolarów i poręczyli za nas przy wynajmie położonego w głębi Brooklynu mieszkania, w którym mój mąż zbudował nam kolejne łóżko na antresoli w pokoju połączonym z kuchnią, a dziewczynki dostały używane piętrowe łóżko z ogłoszenia, choć są na to za małe. Odkąd się tam wprowadziliśmy, co wieczór wchodzę na górę z czterolatką, bo boję się, że spadnie.

Nie wiem, co sądzić o tych pieniądzach. Jestem wdzięczna i zażenowana. Jestem rozpieszczoną szczęściarą, a moje dzieci mają ciepły kąt, są syte i bezpieczne.

Na początku nowego semestru do miasta wraca chilijska pisarka i zapraszam ją na przyjęcie. Zapraszam też swoje obie współwychowawczynie i ni z tego, ni z owego również dwudziestoczterolatka, który jako jedyny z naszej czwórki wraca w przyszłym tygodniu do pracy w szkole. Zapraszam swoją czterojęzyczną koleżankę z partnerem oraz dzieci z grupy dwu-, a właściwie już trzylatki, o ile mam namiary na ich rodziców. Mój mąż piecze ciasto, idziemy też do sklepu z towarami za dolara i kupujemy serpentyny, balony, talerzyki, kubeczki, serwetki, plastikowe świecidełka w białych siateczkach, które dziewczynki noszą po

sklepie, a ja je im kupuję, bo czeka nas przyjęcie, a kosztują tylko dolara. Kupujemy bajgle, kroję na kawałki winogrona, jabłka i brzoskwinie z nadzieją, że żaden rodzic z przedszkola nie zapyta, czy to produkty bio. Pozwalam dzieciom oglądać telewizję, szoruję łazienkę, kąpię je, ubieram, sama wchodzę na chwilę pod prysznic i zastanawiam się, co właściwie wypada włożyć na przyjęcie urodzinowe własnego dziecka. Wkładam czarne spodnie i czarną bluzkę, zaraz je zdejmuję i zmieniam na fioletową sukienkę z długimi rękawami, mała mówi na mój widok „Mamusiu, to mój ulubiony kolor” i mnie przytula, a ja wsuwam stopy w japonki i wklepuję w twarz krem, który co roku dostaję pod choinkę od mamy.

Pierwsi wchodzą moi rodzice, przyprowadzają moją siostrę. Mama włożyła różowo-zieloną sukienkę w różne zwierzęta, a ojciec ma o wiele za elegancką koszulę.

- Cześć - mówię. Nie pamiętam, jak się ich dotyka.

Dziewczynki wybiegają się z nimi przywitać. Rodzice biorą je na ręce, przytulają i całują. Pozwalam im się razem pobawić, a mój mąż i ja wracamy do przygotowań.

- Trzy latka - słyszę głos swojej matki. - Pamiętam, kiedy wasza mama miała trzy latka.

Dziewczynki zadają jej milion pytań, słyszę jej śmiech i widzę uśmiechniętą twarz, choć stoję odwrócona plecami.

- Była istną dzikuską - mówi. - Ciągle na golasa. Jak miała dwa lata, to nauczyła się pływać i gdyby mogła, w ogóle nie wychodziłaby z morza.

Co chwilę bzyczy domofon i goście wspinają się na trzecie piętro do naszego nowego lokum.

- Za dużo ludzi - mówi mój mąż.

W oknie mamy klimatyzator, ale wszyscy przebywamy w tym samym małym pokoju połączonym z kuchnią, piekarnik jest włączony,

bo jeszcze piecze się w nim ciasto, pocimy się jak myszy, a dzieci ganiają między kuchnią a drugim pokojem.

Cały czas obserwuję mamę. Przyklęka co chwilę, żeby porozmawiać ze wszystkimi dziećmi. Ma bardzo chude ręce i upstrzone piegami ramiona, a gdy mówi, gestykuluje zamasyście, zupełnie jak ja. Wchodzi chilijska pisarka, ściskam ją na przywitanie. Stoję z nią przez chwilę w przedpokoju, ujmuję mnie za łokieć, a ja myślę, że mogłabym jej opowiedzieć o wszystkim, co działo się przez ostatnie pół roku, ale tylko ponownie ją ściskam, a ona wprowadza mnie z powrotem do środka. Moja współwychowawczyni przyjechała samochodem z New Jersey, gdzie trafiła na uczelnię medyczną. Dwudziestoczterolatek siedzi na krzeselku z Ikei i podjada z miski popcorn, choć ma z metr dziewięćdziesiąt i wiele wskazuje na to, że krzeselko może się w każdej chwili załamać; garbi się, a ja usiłuję zaproponować mu piwo.

Na stole obok przekąsek, ciasta i dzbanka z wodą piętrzą się prezenty. W pokoju dziecięcym rozwinęłam rolkę papieru i rozstawiłam farby, mam nadzieję, że w większości zmywalne, mówię innym rodzicom. Dzieciarnia maluje po kartce, a potem po sobie nawzajem. Rodzice regularnie wracają do kuchni po piwo i wino. Moja mama robi zdjęcia, a tata siedzi na sofie z moją drugą, młodszą współwychowawczynią i rozmawia z nią o studiach, bo dostała się na psychologię. Ojciec opiera kostkę na kolanie drugiej nogi, moja koleżanka się uśmiecha, on zadaje jej kolejne pytanie, ona odpowiada, a on odwzajemnia uśmiech.

Zapomnieliśmy o świeczkach. Chilijska pisarka bierze moje klucze, idzie do mieszczącego się dwie przecznice dalej sklepu i wraca ze świeczkami, ale okazuje się, że to świeczki specjalne, niegasnące i dwulatka dmucha sześć razy, nim udaje jej się je zgasić. Wszyscy się śmieją, choć obawiałam się, że mała się rozplacze, ale ona, teraz już trzylatka, myśli najwyraźniej, że to czary-mary i klaszcze z radości, ale po zdmuchnięciu wszystkich markotnieje. Daję jej wszystkie świeczki na talerzyku, żeby sobie zlizwała lukier i to

jej poprawia humor. Podajemy ciasto i wszyscy mówią mi, że jest pyszne, a ja muszę powtarzać: „To nie ja piekłam, to mój mąż”, wszyscy patrzą na niego, potem na mnie i kręcą głowami, a on uśmiecha się z kuchni, gdzie stoi z czterolatką w objęciach.

Ktoś maluje dziewczynkom pościel, a ktoś inny siusia w kuchni. Moja matka na bieżąco zamieszcza w Internecie cały album zdjęć, dwudziestoczterolatek wychodzi wcześniej, a na odchodnym ściska mi dłoń. Odprowadzam swoje współwychowawczynie do samochodu, ściskam je i proszę, żeby nie zapomniały do mnie zadzwonić. Chilijska pisarka siedzi na sofie i rozśmiesza mojego męża. Mój tata zaczyna sam sprzątać pokój dziecięcy, każe mu przestać, ale nie słucha. Moja siostra trzyma na rękach jakieś małe dziecko, nie wiem czyje.

- Elizabeth - mówi moja matka. To jedyna osoba na świecie, która potrafi wymówić moje imię na złośliwą nutę; słyszę jej głos blisko siebie i odwracam się do niej.

Mieszkanie jest już prawie puste. Z sąsiedniego pokoju dobiega mnie głos mojego męża i chilijskiej pisarki.

Od razu myślę, pod iloma względami jest niewystarczająco, pod iloma względami ja taka jestem. W rogu łazienki w fugę wżarła się pleśń i szorowałam ją bezskutecznie przez pół godziny; ona wiedziałaby, jak ją usunąć, a ja nie. Podłoga w pokoju dziecięcym jest pokryta farbą i zasłana duplo i innymi zabawkami. W poduszkę czterolatki ktoś wsmarował pół kawałka ciasta.

- Miło było - mówi moja matka.

Wzruszam ramionami, patrzę na swoje stopy i na rozsypane klocki.

Podnoszę jeden i wrzucam go do pojemnika. Stojąca za moimi plecami matka nachyla się i podaje mi małego różowego kucyka Pony i kolejny klocek. Podnoszę lalczyną sukienkę, konika, trzy plastikowe dinozaurki. Słyszę, jak wrzuca do pojemnika klocki magnetyczne. Próbuję zdrapać palcami ciasto z poduszki czterolatki. Raz, kiedy płakałam w swoim pokoju - gdy miałam czternaście lat, często

siedziałam u siebie zapłakana, a ona na ogół zostawała na dole, gotowała kolację, rozmawiała z moim ojcem i moją siostrą i udawała, że mnie tam nie ma - ale raz weszła po schodach, wzięła mnie na kolana, choć byłam wyższa od niej, kołysała mnie w ramionach i trzymała za rękę.

Prostujemy się, podłoga jest z grubsza wysprzątana, choć widzę jeszcze zabawki pod łóżkiem. Obok przebiegają dziewczynki, myślę, że może mnie dotknie, ale nie robi tego. Mała chwyta mnie za nogę, a jej siostra na nią napiera. Nie widzę mamy, ale zdaje się, że nas obserwuje.

- Są takie śliczne, Elizabeth.

Mała zaczyna płakać, bo siostra na nią wchodzi i ją za mocno ściska, biorę ją więc na ręce, a wtedy jej siostra zaczyna płakać, bo jej siostra jest na rękach, a ona też chce na ręce, poza tym tylko jej siostra dostała prezenty i urodziny są nie fair, a w ogóle to ktoś jej zlizął cały lukier z ciasta, a więcej już nie ma. Nachyliłam się, żeby podnieść i ją, ale moja mama jest pierwsza i bierze ją w ramiona.

Odwracam się do niej z uśmiechem. Czterolatka chwyta twarz mojej mamy i wgniata jej palcami policzki. Teraz już trzylatka przyciska swoją gorącą buzią do mojej twarzy, a ja mówię:

- Dzięki.

PODZIĘKOWANIA

Dla Kerry Cullen i Sarah Bowlin, które tak niezbcie wierzyły w to coś.

Dla pierwszych czytelniczek i czytelników, rozmówczyń i rozmówców, analityczek i analityków: Mirandy Popkey, Marcy Dermansky, Lindsay Hatton, Adrienne Celt, Lucasa Knipschera, Bryanta Musgrove'a, Robina Wassermana i zawsze, przede wszystkim Rumaana Alama.

Dla uczestniczek kolacji literackich: Eleny Megalos, Elizy Schraeder, Yuriny Ko, Sanaë Lemoine.

Dla Karen i Sama Stegerów, Cristiny de la Vegi i Kenny'ego Stronga, Kayleen Hartman i Emily Bender, rodzin, w które się wrodziłam i wżeniłam, oraz tych, które wybrałam.

Dla Zipporah Wiseman za tę rozmowę w samochodzie o tym, co ustanawiać i dlaczego.

Wszystkim moim studentkom i studentom, dawnym i obecnym, za wasze zaangażowanie, fascynację, szczodrość i troskę.

Peterowi, Isabel i Luisie, za wszystko, czym jesteście.

O AUTORCE

Pierwsza powieść Lynn Steger Strong zatytułowana Hold Still ukazała się nakładem wydawnictwa Liveright/W.W. Norton w 2016 roku. Teksty niebeletrystyczne autorki ukazywały się w „The Paris Review”, „The Cut”, „Guernice”, „Los Angeles Review of Books”, Elle.com, Catapult, Literary Hub i w innych mediach. Uczy sztuki pisarskiej: prozy i non-fiction.

Najlepsza książka roku według „Time” i „The New Yorker”!

Elizabeth jest zmęczona. Wiele lat temu przyjechała do Nowego Jorku jak do ziemi obiecanej, a dziś okazuje się, że jedyne, co udało jej się osiągnąć, to mąż, dwójka dzieci, doktorat, dwa niepełne etaty i... bankructwo. Balansując między marzeniami a ponurą rzeczywistością, wstaje co rano o nieludzkiej porze, by przebiec wiele kilometrów nad lodowatą rzeką i uciszyć myśli. Pewnego dnia odnawia kontakt z Sashą, przyjaciółką z dzieciństwa. Czy wspólna przeszłość pozwoli tym dwóm kobietom odzyskać kontrolę nad teraźniejszością? Być może – zwłaszcza że Sasha również zмага się z osobistym kryzysem.

Lynn Steger Strong porusza problem subtelnych aktów systemowej przemocy, znanych wielu wrażliwym kobietom, które mają odwagę chcieć czegoś więcej. Pisze o macierzyństwie, finansowej niepewności, gniewie, bezradności i innych uczuciach, które trudno wyrazić słowami. Niedostatek to zaciekle osobista powieść, która wibruje gniewem i... miłością.

Lynn Steger Strong stawia ważne pytania: czego pragniemy, a raczej czego potrzebujemy? Co jesteśmy w stanie dać i kiedy? Jej bohaterka należy do pokolenia złamanym społecznym obietnic, które dawano bez pokrycia. W tym wszystkim pojawia się macierzyństwo, które nie jest idealne. Na szczęście czasami wystarczy po prostu być. I to daje nadzieję. Autorka stawia na piedestale drobne zdarzenia, na które składa się nasza codzienność. Opowiada historie, które mogłybyśmy uznać za mało ważne. Ale to przecież one są budulcem naszych lęków i aspiracji. Ważne i aktualne.

— Karolina Kaja Gołuchowska, redaktorka naczelna portalu *Ofeminin*

Każdy z nas boryka się z myślami, których nigdy nie wypowie na głos. One są najczystsze, najbardziej szczerze. To historie pozbawione filtrów poprawności. Dlatego szczerłość tej książki zwala z nóg. Nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Wiesz, jak to jest grać drugoplanową rolę w swoim własnym życiu? Z ciekawością śledzić historie innych, żyć nimi, choć przez to nasze życie wydaje się blade i pozbawione sensu? To rodzi poczucie niedosytu, braku satysfakcji. Niedostatku. To lekka książka o niedoskonałości. O braku harmonii, stałości i balansu, a czyta się ją jak letnią powieść. Może dlatego mówi o nas, kobietach, więcej, niż same chciałybyśmy przyznać.

— Monika Pryśko, autorka bloga *Tekstualna.pl*



Fame Art
BOOKS & MUSIC

ISBN 978-83-961074-0-4



9 788396 107404

MECENASI



Polish Herbs
Polski Dostawca Surowców Zielarskich



Kruszywa Niemce S.A.

MATRONAT MEDIALNY

ofeminin